KAROL ČAPEK

# METEOR

POWIEŚĆ

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

# METEOR

KAROL ČAPEK

# METEOR

Przełożył z czeskiego

*PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI*

WARSZAWA 1935

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

OKŁADKA PROJEKTU STUDIO LEVITT-HIM

DRUKARNIA B-CI DRAPCZYŃSKICH, WARSZAWA



# I

Gwałtowny wicher ostremi ciosami zgina drzewa w szpitalnym ogrodzie. A te drzewa za każdem uderzeniem wichru strasznie są wzburzone, niemal zrozpaczone i szamocą się jak tłum w panice. Teraz przycichają i drżą pełne niespokojnego wyczekiwania. Cicho, czy nie słyszycie? Uciekajmy, uciekajmy, już znowu, już znowu!...

Młody człowiek w białym płaszczu wałęsa się po ogrodzie i pali papierosa. Widocznie młody doktór. Wiatr czochra mu młode włosy, a jego biały płaszcz furkocze na wietrze jak chorągiew. Szarp go sobie i czochraj, dziki wietrze! Czyliż i dziewczęta nie lubią wczepić się wszystkiemi palcami w taką zwichrzoną i chełpliwą grzywę? Co za łeb zadarty dogóry z rozwianemi kudłami! Co za młodość! Jakie bezwstydne zadufanie w sobie! Dróżką ogrodową pędzi młoda pielęgniarka, a wiatr rzeźbi na jej fartuchu ładne łono. Obiema dłońmi porządkuje włosy, podnosi oczy ku rozwichrzonemu drągalowi i o

czemś mówi mu śpiesznie. No-no, siostro, naco zaraz takie spojrzenia i to porządkowanie włosów?

Młody doktór wspaniałym łukiem odrzuca papierosa i naprzełaj przez trawnik zmierza prosto ku pawilonowi. Aha, ktoś tam widać umiera, więc trzeba iść do niego takim właśnie doktorskim krokiem, który mówi o pośpiechu, ale nie o wzburzeniu. Do zabiegu lekarskiego należy przystępować szybko, ale ze spokojem i rozwagą. A zatem baczność, młodzieńcze, abyś nie tracił statecznego spokoju idąc ku łożu umierającego. Ale ty, siostrzyczko, drepcz sobie lekkiemi krokami pośpiechu, któremi wyraża się miłosierna i służbowa gorliwość, nie mówiąc już o tem, że ci z tem do twarzy i że to uwypukla ten i ów szczegół twego ciała. Dziewczyna jak malina — mówią ludzie. Szkoda takiej dla szpitala.

No, więc dobrze, ktoś umiera. Przy łoskocie wichury, śród szalonego szamotania się drzew umiera człowiek. Już się tu do tego przyzwyczajono, ale jednak — — — Po białej kołdrze błądzi zgorączkowana ręka. Biedna, niespokojna dłoni, czego chciałabyś się uchwycić? Co chciałabyś odrzucić? Czyż nikt cię nie ujmie? Nie bój się, oto jestem, niema tej straszliwej samotności, która cię przeraża. Młody doktór pochyla się nad łóżkiem, włosy opadają mu na czoło, ujmuje tę niespokojną rękę za przegub



i mruczy: puls cieniutki, agonja... Przysuń parawan, siostrzyczko.

Ale nie, tego lekkomyślnego, długowłosego młodzieńca nie usadowimy u łoża człowieka, który umiera przy dudnieniu organów wichury, vox coelestis, vox angelica i przy kwileniu głosu ludzkiego. Gdzież tam, miła siostrzyczko, to nie zejście, lecz jedynie atak — powiedzmy jakaś sprawa sercowa. Ten pot śmiertelny i niepokój, to tylko kurcz. Człowiek ten ma takie uczucie, jakby się dusił; zastrzykniemy mu morfiny i będzie spał.

Poeta odwrócił się od okna. — Doktorze — pytał, — co to za pawilon, ten naprzeciwko.

— Wewnętrzny — mruczy chirurg, pochłonięty obserwowaniem płomienia maszynki spirytusowej. — Bo co?

— Tak sobie — odpowiada poeta i znowu patrzy na korony drzew miotanych wichurą. A więc jednak jest to pielęgniarka z oddziału wewnętrznego i nie trzeba się wysilać, aby sobie wyobrazić jak dygocą jej usta nad krwawem rzeźnictwem stołu operacyjnego. Zabierzcie to, siostro, i waty, waty — — Nie, nic podobnego. Stoi jak boże drzewko, bo umie jeszcze niewiele i widzi tylko rozwichrzony łeb tego młodzika w białym płaszczu. Tak jest, a nie inaczej. Nie inaczej! Zakochana w nim po uszy i chodzi do niego w odwiedziny, do jego pokoju. Co za

drab! Co za fanfaron, zadufany w sobie i pyszałkowaty! Nie bój się, dziewczyno, nic ci się nie stanie. Jestem przecie lekarzem i wiem, co i jak.

Poeta się rozzłościł. Znamy to, oczywiście, to już jest w każdym chłopie, ta wściekłość i udręka, gdy spostrzega, że ta, czy owa z upragnionych kobiet jest kochanką innego. Powiedzmy, że to jest zazdrość płciowa, poprostu zazdrość. Możnaby się zastanowić, czy moralność płciowa nie jest ugruntowana na tem niezadowoleniu, że inni ludzie użyją z sobą trochę uciechy. Miała piękne łono, wyrysowane przez wiatr. I to już wszystko, a ja zaraz z plotkami! Jestem zbyt wścibski.

Nadąsany i rozsierdzony spogląda poeta na ogród wstrząsany wichurą. Co za straszliwa szarpanina, miły Boże, jaki smutny jest wicher!

— Co pan mówi? — pyta chirurg.

— Jaki smutny jest wicher.

— Działa na nerwy — rzekł chirurg. — Niech pan się napije czarnej kawy.

## II

Zapachniało karbolem, kawą, tytoniem i mężczyznami. Dobry i krzepki zapach, coś jakby lazaret. Albo, jeszcze lepiej: kwarantanna. Tytoń z Kuby, kawa z Portorico i wichura jamajska. Duszno, wiatr i suchy trzask miotających się palm. Siedemnaście nowych przypadków, doktorze. Umierają jak muchy. Nie żałujcie krezolu, oblewajcie wszystko chlorkiem wapna. Ruszajcie się, ludzie, i pilnujcie wszystkich dróg! Nikomu odejść stąd niewolno, jesteśmy pozarażani. Tak, nikt z nas nie wyjdzie stąd, dopóki nie wyzdychamy do ostatniego. — Poeta zaczął uśmiechać się do siebie ironicznie. Bo w tym wypadku, panie doktorze, odpowiedzialne stanowisko musiałbym zająć ja, autor. Ja toczę tę bitwę, jako stary kolonjalny konował, ostrzelany wyga, który wie, jak trzeba radzić sobie z zarazami. A pan jest moim naukowym asystentem. Albo nie pan, lecz ten kudłaty młodzieniec z oddziału wewnętrznego. No, chłopcze, mamy siedemnaście nowych przypadków, materjał pierwszej klasy. Jak się mają pańskie bakterje? — Młodzian wytrzeszcza oczy ze zgrozy i grzywa opada mu na czoło. Doktorze, doktorze, zdaje mi się, że jestem zarażony... No, to byłby przypadek osiemnasty. Do łóżka! Tej nocy, siostrzyczko, pozostanę przy nim ja. O, jak spogląda ta dziewczyna, jak patrzy na jego włosy zlepione gorączką! Wiem, że go kocha. Głupia dziewczyna, całowałaby go, gdybym się oddalił. Jeszcze się zarazi. Jak szumią i trzaskają te rozgibane oreodoksy! Zgorączkowana dłoni, czego chciałabyś się uchwycić? Nie wyciągaj się ku nam, my nic nie wiemy, nic nie możemy. Podaj

mi rękę, biedny człowieku, poprowadzę cię, iżbyś się nie bał. Puls cieniutki, agonja. Parawan, siostrzyczko!

— Cukru? — pyta chirurg.

Poeta wyrwał się ze swego marzenia. — Co?

Chirurg bez słowa podsunął mu cukiernicę. — Miałem dziś dużo roboty — mówi do siebie. — Cieszę się, że wakacje blisko.

— Dokąd pan pojedzie?

— Strzelać.

Poeta spojrzał uważnie na milkliwego pana. — Powinien pan kiedy wyjechać możliwie daleko, na tygrysy, albo na jaguary. Dopóki jeszcze jest ich trochę.

— Chętniebym pojechał.

— Czy pan to sobie żywo wyobraża? Czy umie pan to sobie przedstawić? Naprzykład świt w lesie dziewiczym. Gwizdanie jakiegoś nieznanego ptaka, coś jakby xylofon, napuszczony rumem i oliwą.

Chirurg potrząsa głową. — Nic sobie nie wyobrażam. Ja... ja muszę porządnie wytrzeszczać oczy. Muszę widzieć, rozumie pan? A gdy się strzela, to także trzeba dobrze uważać, żeby się wszystko widziało — wywodził z przymrużonemi oczyma.

Poeta westchnął. — To bardzo dobrze, proszę pana. Ja także ciągle patrzę na wszystko, ale przytem coś sobie wyobrażam. Albo powiedzmy raczej, że



samo z siebie zaczyna się we mnie takie zmyślanie, idzie jakaś gra, zaczyna coś żyć na własną rękę — — Oczywiście, ja się w to wtrącam: doradzam, poprawiam i tam dalej. Rozumie pan?

— A potem pan te rzeczy pisze — mruczał chirurg.

— Gdzie tam! Zazwyczaj nie. Takie głupstwa...

— Podczas gdy pan gotował kawę, w taki właśnie sposób rozegrały się dwa wydarzenia, dotyczące pańskiego kudłatego kolegi z oddziału wewnętrznego. Proszę pana — zapytał nagle — co to za człowiek?

Chirurg zawahał się. — No—odpowiedział wreszcie — troszeczkę fanfaron... Bardzo dużo pewności siebie, jak wogóle u młodego doktora. Pozatem — wzruszył ramionami — nie wiem, co mogłoby pana jeszcze interesować w nim.

Poeta nie zdołał się opanować. — Czy on nie romansuje z tą małą pielęgniarką?

— Nie wiem — sapnął chirurg. — Co panu do tego?

— Nic — rzekł skruszony poeta. — Co mi wogóle do tego, jak się rzeczy mają naprawdę! Rzemiosłem mojem jest zmyślanie, igranie, kombinowanie — — —

Poeta wysunął naprzód swoje ciężkie ramiona.— W tem jest właśnie cały kłopot, panie doktorze, że

mi czasem tak bardzo zależy na rzeczywistości. Dlatego zmyślam, muszę ciągle coś zmyślać, żeby do tej rzeczywistości dotrzeć. Mnie nie wystarcza to, co widzę, chcę widzieć więcej i dlatego zmyślam sobie to i owo. Proszę pana, czy to ma wogóle sens? Czy ma to coś wspólnego z życiem? Dajmy na to, że akurat teraz nad czemś pracuję — — —

— Przypuśćmy, że coś piszę — powtórzył po chwili roztargniony poeta.—Ja wiem, że to tylko fikcja. Ale ja wiem, proszę pana, co to jest fikcja, i wiem, jak to się robi. Powiedzmy część doświadczenia, trzy części fantazji, dwie części logicznej kombinacji, a reszta to spryciarska kalkulacja, żeby rzecz była nowa, na czasie, żeby się w niej coś rozwiązywało czy wykazywało, a głównie, głównie, żeby wywierało wrażenie. Ale takie to dziwne przy tem wszystkiem — wybuchnął poeta głosem stłumionym, — że wszystkie te triki, całe to marne literactwo, wzbudza w człowieku, który się niem zajmuje, żywe i namiętne złudzenie, iż ma to coś wspólnego z rzeczywistością. Niech pan sobie wyobrazi magika, który wie, jak się wyjmuje z kapelusza króliki, a jednocześnie wierzy, że naprawdę i uczciwie wyczarowuje je z owego kapelusza siłą swej magji. Co za błazeństwa!

— Coś się panu nie udało, prawda? — pyta chirurg sucho.



— Nie udało się. Pewnego wieczora szedłem ulicą i słyszałem za sobą głos kobiecy, mówiący: — Tego mi przecie nie zrobisz? — Nic pozatem. Może nawet i tych słów nikt nie wymówił i tylko mi się zdawało. Tego mi przecie nie zrobisz!

— No i co dalej?

— Cóż miałoby być dalej? — spochmurniał poeta. — Z tego urosła taka historja, że ola. Ta kobieta miała słuszność, uważa pan? Przepracowana, zła, nieszczęśliwa kobieta — — — I ta nędza, człowieku, w jakiej tacy ludzie żyją! Ale ona miała słuszność. Bo ona to rodzina, to ognisko domowe, ona jest — — — jednem słowem porządek. Natomiast on — — — poeta machnął ręką. — Drań, taka ślepa i masywna rewolta, łajdak i brutal.

— I jak się wszystko skończyło?

— Co niby?

— Jak to się skończyło? — powtórzył chirurg niecierpliwie.

— Nie wiem. Ona powinna była mieć rację. W imieniu wszystkiego na świecie, w imieniu najwyższych praw powinna była mieć słuszność. Rozumie pan, wszystko zależało od tego, że ona ma rację. — Poeta zaczął miętosić w palcach kawałek cukru. — Ale tamten drab uparł się, że i on ma rację. Im był straszliwszy i godniejszy pogardy, tembardziej czuł, że ma rację. Pokazało się mianowicie — mruczał

poeta, — że i on także cierpi. Ale cóż robić? Jak tylko zaczął w pewnej chwili żyć naprawdę, nie pozwolił grać sobie po nosie i żył jak mu się podobało, ciężko i fatalnie — — — Poeta wzruszył ramionami. — I żeby pan wiedział wszystko, powiem panu, że tym niegodziwcem, tym rozpaczliwym łajdakiem i wyrzutkiem byłem ja sam. Im bardziej tamten cierpiał, tembardziej byłem nim ja — — — A mówią poczciwi ludzie, że to fikcja!

Poeta odwrócił się ku oknu, albowiem są takie rzeczy, o których daleko lepiej mówić w pustkę. — Niema rady, muszę się tego wyzbyć. Chciałbym... powinienbym igrać sobie z czemkolwiek... z czemś nierzeczywistem. Żeby to nie miało nic, ale to nic wspólnego z rzeczywistością i ze mną także. Żeby już raz mieć spokój i być wolnym od tego straszliwego osobistego uczestnictwa. Niechże pan sam pomyśli: czyż koniecznie muszę przecierpieć każdy ludzki ból? Chciałbym kiedyś zmyślić coś możliwie odległego i bezsensownego. Jakbym puszczał bańki mydlane.

Zaterkotał telefon szpitalny. — Więc czemu pan tego nie zrobi? — rzekł chirurg, sięgając po słuchawkę, ale już nie miał czasu czekać na odpowiedź. — Hallo! — wołał, stojąc przy telefonie. — Tak jest, przy aparacie — — — Co? — Nie może



być! — — — Zanieść zaraz na operacyjną! — — — Naturalnie. Ja zaraz przyjdę.

— Przywieźli kogoś — rzekł chirurg, zawieszając słuchawkę. — Spadł z nieba. Mianowicie samolot spadł i spłonął. Co to było u djabła, żeby podczas takiej wichury... Pilot podobno zwęglony, a ten drugi, no, biedak. — Doktór zawahał się chwilę. — Muszę tu pana zostawić samego. Niech pan poczeka, poślę tu pewnego pacjenta; bardzo ciekawy. To jest pod względem chrurgicznym banalny. Przecinałem mu abces na karku, ale ten człowiek jest jasnowidzem. Taki jakiś neuropata, ale ciężki. Tylko niech mu pan za dużo nie wierzy. — I chirurg wybiegł, jak postrzelony, nie czekając na protesty poety.

## III

A więc to ma być jasnowidz, ta żałosna figurka w prążkowanej pyjamie, z szyją owiązaną i głową na bakier. O, ty biedaku! Pyjama wisi na nim, jak szmaty na wieszadle; wlecze się ku stołowi i drżącemi zimnemi palcami zapala papierosa. Gdybyż przynajmniej nie miał oczu tak blisko jedno przy drugiem, gdyby spojrzenie jego nie było takie roztargnione, gdybyż przynajmniej patrzył! Bóg zapłać, panie doktorze, za takie miłe towarzystwo! O czem też można rozmawiać z takiem straszydłem? Juści nie o rzeczach ziemskich. Jak wiadomo, jest to ponie-

kąd nietaktowne zaczynać z osobami, należącemi do zaświata, rozmowy na temat ostatnich nowości.

— Hu, co za wichura — rzekł jasnowidz, i poeta odetchnął. Niechże będzie błogosławiona pogoda, albowiem jest ona wspólną własnością ludzi, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia. Co za wichura, powiada, ale nie uważa za konieczne spojrzeć oknem na tragiczną szarpaninę drzew. Juścić, jasnowidz. Naco patrzeć?! Skoncentruje spojrzenie na koniuszku swego ostrego nosa i patrzcie, odrazu wie, że na dworze szaleje wichura. Wielka to nowina! Mówcie sobie co chcecie, ale to jasnowidzenie... Prawda?

Ładny widok na tych dwoje ludzi. Poeta wysuwa naprzód ciężkie ramiona, wysuwa i podbródek i z niedelikatną ciekawością, a nawet spojrzeniem wrogiem, bada pochyloną głowę, chudą pierś i cienki ostry dziób tego człowieka z przeciwka. Ugryźć go, czy nie ugryźć, bo poprostu wzbudza troszeczkę obrzydzenia, raz dla niektórych powodów fizycznych, powtóre dlatego, że to jasnowidz. Jakby taki jasnowidz był czemś nieczystem i wstrętnem. Ale ten drugi, może nawet nie dostrzega tego wszystkiego. Wytrzeszczonemi oczami spogląda w nic, głowę przechyla nabok jak ptak. A między nimi leży coś obcego, napiętego, odpychającego.



— Mocna osobistość — mruczy jasnowidz, jakby się wdawał w rozmowę z samym sobą.

— Kto?

— Ten, co go tu przywieźli. — Jasnowidz wypuścił z wydechem duży kłąb dymu. — Jest w nim straszna jakaś — — — intensywność, że tak powiem: płomień, pożar, ogień... W tej chwili, oczywiście, jest to coś, jakby dogasające zgliszcza.

Poeta uśmiechnął się ironicznie. Nie znosił takich słów patetycznych i nieokreślonych. — Więc i pan słyszał już o tem? — rzucił pytanie. — Płonący samolot i tam dalej?

— Samolot? — powtórzył roztargniony jasnowidz. — Więc on leciał — — — Niech pan pomyśli: w takiej wichurze! Jak rozżarzony meteor, który lada chwila musi pęknąć. Dlaczego mu się tak śpieszyło? — Jasnowidz kręcił głową. — Nie wiem, nic nie wiem. Jest nieprzytomny i nie wie, co się z nim stało. Ale i ze zczerniałego popieliska można odgadnąć, jak wysoko wystrzelił płomień! Jak głęboko sięga spalenizna! Jaki żar bucha jeszcze od tego wszystkiego!

Poeta odsapnął zgorszony. Nie, stanowczo nie zgodzi się z tym zdechlakiem. Juścić, musiało być djablo gorąco, jeśli zważymy, że przy tej sposobności usmażył się pilot. A to pasiaste straszydło nawet nie

pożałuje tamtego biedaka. Oczywiście, racja: dlaczego ten z nieba spadły człowiek musiał wybrać się w drogę podczas takiej wichury?

— Dziwne — mruczał jasnowidz półgłosem. — I z tak daleka! Na drodze jego leżał ocean. Dziwne to, jak do człowieka lgnie miejsce, na którem ostatnio przebywał. Do niego przylgnęło morze.

— Według jakich oznak?

Jasnowidz wzruszył ramionami. — Poprostu morze i dal. Musiało być dużo podróży w jego życiu. Nie wie pan skąd przybywa?

— Powinienby pan chyba poznać to sam — odpowiedział poeta, wkładając w słowa swoje jak najwięcej jadowitej ironji.

— Jakże miałbym to poznać? — przecie jest nieprzytomny i o niczem nie wie. Czy pan potrafiłby czytać książkę zamkniętą? Możliwe to jest, ale niesłychanie trudne, bardzo trudne.

— Czytanie zamkniętej książki — mruczy poeta. — Powiedziałbym raczej, że to rzecz conajmniej zbędna.

— Może dla pana — mówi jasnowidz, zezując ku kątowi izby. — Tak, dla pana to rzecz zbędna. Pan chyba poeta, prawda? Niechże pan się cieszy, że nie musi pan myśleć ściśle. Niech pan będzie rad, że nie musi czytywać książek zamkniętych. Pańskie zadanie łatwiejsze.



— Niby co? — pochyla się poeta wojowniczo.

— Właśnie to i nic innego — odpowiada jasnowidz. — Zmyślać, a poznawać to nie to samo.

— A z nas dwojga pan jest tym, który poznaje. Prawda?

— Zgadł pan tym razem — odrzekł jasnowidz i kiwnął głową, jakby nosem robił kropkę za wygłoszonem zdaniem.

Poeta zaczął uśmiechać się ironicznie. — Zdawałoby się, że my dwaj postanawiamy nie zrozumieć się. Prawda? Owszem, racja, że ja wszystko zmyślam, wyobrażam sobie tylko to, co mi się podoba. Tylko tak sobie dla dogodzenia kaprysowi i przypadkowości...

— Wiem — przerwał mu jasnowidz — Pan także myślał o tym człowieku, który spadł z nieba. Pan także wyobrażał sobie, że za nim jest morze. Ja wiem. Ale pan wpadł na tę myśl tylko drogą logicznej kombinacji, wiedząc, że większość linij lotniczych ma połączenie z portami. Jest to dowód całkiem powierzchowny, szanowny panie. Z tego, że mógł był nadlecieć od strony morza, nie wypływa bynajmniej, że stamtąd leciał naprawdę. I żeby pan wiedział — zawołał jasnowidz wyzywająco — ten człowiek ma naprawdę morze za sobą. Wiem to napewno.

— Skąd?

— Całkiem dokładnie. Przez analizę wrażenia.

— Pan go widział?

— Nie. Nie trzeba przecie widzieć skrzypka, aby wiedzieć, co gra.

Poeta w zamyśleniu głaskał się po potylicy. — Wrażenie morza... Pewno to dlatego, że morze kocham. Ale nie myślę o żadnem z mórz, które widziałem. Wyobrażam sobie morze ciepłe i gęste, jak oliwa, zdaje się być tłuste jakieś i połyskujące. Pełno tam trawy morskiej, jakby to była jaka łąka. Miejscami błyśnie coś jaskrawo i ciężko, jak rtęć.

— To ryby latające — mówi jasnowidz, jakby określał coś, nad czem medytował także i on.

— Byczy z pana chłop — mruczy poeta. — Ma pan rację, to ryby latające.

## IV

Na powrót chirurga wypadło czekać dość długo. Wreszcie przyszedł, ale był roztargniony i mruczał: — A, pan tu jeszcze siedzi.

Jasnowidz patrzył w pustkę, w której utknął jego melancholijny nos. — Ciężkie wstrząśnienie mózgu — mówił. — Niezawodnie uszkodzenia wewnętrzne. Złamanie dolnej szczęki i podstawy czaszki. Na twarzy i rękach opalenizny drugiego i trzeciego stopnia. Fractura claviculae.



— Tak jest — rzekł chirurg w zadumie. — Kiepsko z nim. A skąd pan o tem wie, proszę pana?

— Bo pan akurat o tem myślał — odpowiedział jasnowidz, jakby się tłumaczył.

Poeta spochmurniał. Idź do wszystkich djabłów, magiku, nie myślisz chyba, że mi tem zaimponujesz? I choćbyś nawet czytał słowo w słowo czyjeś myśli, to i tak ci nie uwierzę.

— A co to za jeden? — pyta, żeby zagadać o czem innem.

— Któż to wie? — mruczy doktór. — Jego papiery spłonęły. W kieszeni jego znaleziono trochę monet francuskich, angielskich i amerykańskich. I holenderskie dubbeltje. Może leciał przez Rotterdam, ale ten samolot nie należał podobno do żadnej linji stałej.

— On sam nie powiedział nic?

Doktór zakręcił głową. — Gdzie tam! Nieprzytomność głęboka. Dziwiłbym się, gdyby wogóle jeszcze powiedział cośkolwiek.

Zapanowała ciężka cisza. Jasnowidz wstał i powlókł się ku drzwiom. — Zamknięta książka, prawda?

Poeta spoglądał za nim okiem ponurem, dopóki nie znikł na korytarzu. — Czy pan naprawdę myślał o tem, o czem on mówił, panie doktorze?

— Co? A tak. To stwierdzenie stanu, który przed

chwilą podyktowałem. Ja tego nie lubię, tego jakiegoś odczytywania cudzych myśli. Ze stanowiska lekarskiego — rzekł praktycznie — jest to niedyskrecja.

Tem, zdawało się, sprawa jest wyczerpana.

— Ale przecież to humbug — wyrwał się poeta mocno podrażniony. — Nikt przecie nie może wiedzieć, o czem inny człowiek myśli. Do pewnego stopnia można to sobie wykalkulować rozumowo... Kiedy pan wrócił, wiedziałem odrazu, że myśli pan o tamtym człowieku, co spadł z nieba. Widziałem, że ma pan duży kłopot z jakiemiś wątpliwościami, dotyczącemi rzeczy ogromnie ważnych — Aha — pomyślałem — pewno jakieś uszkodzenia wewnętrzne.

— Jak pan do tego doszedł?

— Przez rozumowanie. Przez kombinowanie. Ja pana znam, panie doktorze, pan nie bywa roztargniony. Ale gdy pan wrócił, zrobił pan taki ruch, jakby pan chciał rozpiąć płaszcz operacyjny, którego, oczywiście, już pan na sobie nie miał. Z tego można było wywnioskować, że myślami bawi pan jeszcze u tego pacjenta. Łatwo się domyśliłem, że coś panu nie daje spokoju. Niezawodnie coś, czego nie mógł pan dojrzeć lub wyczuć dotykiem, najniezawodniej jakieś uszkodzenie wewnętrzne.



Zasępiony chirurg przyświadczył skinieniem głowy.

— Lecz ja się panu przyglądałem — mówił poeta. — W tem jest cały trik. Patrzę i kombinuję, to przynajmniej robota uczciwa. Ale ten pański czarownik — mówił wzgardliwie — patrzy na koniec własnego nosa i mówi panu o czem pan myśli. Dobrze uważałem, nawet nie spojrzał na pana. To było poprostu wstrętne.

I znowu cisza przerywana huczeniem wichury.

— Teraz także, panie doktorze, myśli pan o tym poranionym. Czy jest w nim coś takiego osobliwego? Chyba tak.

— Ależ on niema twarzy — rzekł chirurg cicho. — Taki jest popalony, że ani twarzy, ani imienia, ani świadomości — — — Żeby można było dowiedzieć się o nim choć tyle, co czarne za paznogciem!

— Albo też: dlaczego leciał podczas takiej wichury! Dokąd tak strasznie śpieszył? Co obawiał się stracić? Co go tak okropnie pędziło i zmuszało do pośpiechu? To pewne, że śmierci się nie bał. Zapłacę panu, panie pilocie, dziesięć razy tyle, ile pan chce, jeśli mnie pan zabierze. Zachodni huragan? Tem lepiej, bo tem szybciej polecimy... Czy u niego wogóle nic nie znaleziono?

Chirurg kręci głową. — Najlepiej niech pan sam

pójdzie spojrzeć na niego, skoro nie daje to panu spokoju — rzekł i wstał.

Siostra miłosierdzia, siedząca przy łóżku, z wysiłkiem powstaje. Ma grube obrzękłe nogi i płaską twarz bez wyrazu. Taki stary, wymęczony koń miłosierdzia. Staruszek na sąsiedniem łóżku bez zainteresowania odwrócił głowę. Był zbyt zajęty swojem własnem cierpieniem, aby mu się chciało przebywać tę odległość, jaka leży między każdym chorym, a resztą świata.

— Dotychczas się nie przebudził — melduje siostra miłosierdzia i składa ręce na brzuchu. Tak widocznie być powinno, gdy mniszka staje na baczność niby stara żołnierzyca przy raporcie. Tylko jej oczy mrugają troskliwie i po ludzku. Poeta przypomniał sobie ludzkie oczy małp i zawstydził się za to wspomnienie. No tak, ale przecie te oczy małpie są takie nieoczekiwanie i dziwnie ludzkie!

A ten tu jest więc tym, co spadł z nieba, tym dziwnym przypadkiem. Z sercem ściśniętem przygotowywał się zobaczyć coś, przed czem wypadnie uciekać z rękoma na ustach i z oczami pełnemi zgrozy. A tymczasem leży tu sobie coś takiego czyściutkiego i niemal ładnego. Nic, tylko wielki kłębek białego bandażu, troskliwie zwiniętego. Co tu dużo gadać: czysta robota i zgrabna jakaś. I to coś ma sztuczne ręce z waty, gazy i płócienka, duże bielutkie łapy,



spoczywające na kołdrze. Jakąż to kukłę potrafią ludzie zwinąć z waty i bandażu! Ktoby to powiedział!

Poeta zmarszczył brwi i syknął. Ależ ta kukła oddycha! Ledwo dostrzegalnie podnoszą się te łapy z białego bandażu, jakby właśnie one oddychały. A tutaj oto ta czarna luka śród bandażów głowy to niezawodnie usta. Zaś wyżej nieco, w tkliwym wianuszku waty, jest coś zapadłego w mroku, ach Boże, nie, chwała Bogu, to nie zagasłe oczy ludzkie, to tylko zwykłe zamknięte powieki. Byłoby straszne, gdyby ten człowiek patrzył otwartemi oczyma! Poeta pochylił się nad tą czystą robotą bandażową i nagle kąciki zamkniętych powiek drgnęły. Poeta cofnął się — zrobiło mu się mdło, ogarnęła go zgroza. — Doktorze! — szepnął — czy on się nie zbudzi?

— Nie zbudzi się — odpowiedział chirurg z wielką powagę, a siostra miłosierdzia po ludzku i prawidłowo mrugnęła; tak prawidłowo, jak chyba kapie woda. Panika współczucia pofolgowała. Tych dwoje zachowuje taki spokój! Ucisz się, ucisz, wszystko jest w porządku. Regularnie, jak kapie woda, podnosi się i opada kołdra na piersi nieprzytomnego. Wszystko w porządku, niema zamieszania i przerażenia. Już niema żadnego nieszczęścia, nikt nie biega bezradnie i nie załamuje rąk. I ból przycichnie, gdy stanie się cząstką porządku. Regularnie, obojętnie postękuje chory na sąsiedniem łóżku.

— Biedak! — mruczy chirurg — umęczony jak Zbawiciel. — Siostra miłosierdzia zrobiła znak krzyża. Poeta byłby najchętniej zrobił krzyżyk w powietrzu nad tą obandażowaną głową, ale jakoś zawstydził się samego nawet zamiaru. Spojrzał na doktora, nie wiedząc, co robić. Chirurg skinął. — Pójdziemy! I na palcach opuszczają salę. Niema teraz o czem mówić. Niechaj wygładzi się powierzchnia porządku i ciszy, niech nikt nie zakłóca tego zrównanego milczenia. Cicho, cicho, jakbyśmy opuszczali coś dziwnie i surowo dostojnego.

Dopiero w bramie szpitala, gdzie już zaczyna się bałagan i zgiełk życia, mówi chirurg w zamyśleniu:— Aż dziw, że taki jest nieznany. Musimy zapisać go u nas, jako Przypadek X. — Machnął ręką. — Niech pan już lepiej nie myśli o nim.

## V

Już drugi dzień trwa ten stan nieprzytomności. Ciepłota podnosi się, a serce słabnie. Niema wątpliwości, że którędyś życie ucieka. Ach Boże, cóż tu zrobić? W jaki sposób zatkać szczelinę, o której nie wiemy? Nic, tylko patrzeć na to nieme ciało, które nie ma ani twarzy, ani imienia, a nawet i dłoni, z których możnaby odczytać ślady życia dawnego. Gdybyż przynajmniej miał imię, gdyby miał jakiekolwiek imię, nie byłby taki... Nie byłby jaki? Może



nie byłby taki niepokojący, czy co? Tak, to się nazywa tajemnica.

Siostra miłosierdzia, zdaje się, wybrała sobie ten beznadziejny przypadek, jako przedmiot swojej nadzwyczajnej osobistej troskliwości. Siedzi zmęczona na twardem krześle w nogach łóżka, nad którego wezgłowiem niema imienia człowieka, lecz są jedynie nazwy łacińskie jego ran. Siostra nie spuszcza z niego oka, nie odwraca się ani na chwilę od tej białej urywanie oddychającej kukły. Widocznie modli się.

— No, czcigodna siostro — mruczy chirurg bez uśmiechu, — spokojny pacjent, co? Jakoś go sobie siostra upodobała.

Siostra miłosierdzia szybko mruga oczami, jakby się chciała bronić. — Taki osamotniony! Nie ma nawet imienia — — — Jak gdyby imię było człowiekowi jakiemś oparciem. — A w nocy śniło mi się o nim — rzekła i dłonią przesunęła po oczach. — Gdyby się, dajmy na to, przebudził i chciał coś powiedzieć — — — Ja wiem, że on chce coś powiedzieć.

Chirurg miał na języku słowa rezygnacji. On, kochana siostro, nie powie nam nawet dobranoc. Ale nie rzekł tego i zamiast jakiegokolwiek słowa, delikatnie pogłaskał siostrę po ramieniu. Tu w szpitalu nie szafuje się słowy pochwały i uznania. Stara mniszka wyłowiła z kieszeni dużą szorstką chustkę

do nosa i ze wzruszeniem czyściła nos. — Żeby przynajmniej kogoś miał — objaśniała zmieszana; zdawało się, że obrzękła nadmiarem troskliwości i że siedzi jeszcze szerzej i cierpliwiej, niż przed chwilą. Żeby biedak nie był taki osamotniony.

Żeby nie był taki opuszczony, tak, ale czy z jakim pacjentem robiono kiedykolwiek tyle ceregieli, jak z tym? Dwadzieścia razy dziennie włóczy się chirurg bez potrzeby po korytarzu, żeby niejako mimochodem zapytać: — Nic nowego, siostro? — Nie, nic. Każdy szuka okazji, żeby zajrzeć pod numer szósty. Robią to i doktorzy i pielęgniarki. Czy tu niema tego, lub tej? Ale to tylko pretekst, żeby przez chwilę można było postać nad tem łóżkiem bezimiennem, nad tym człowiekiem bez twarzy. Biedak! — mówią ludzie szeptem i oddalają się na palcach. A siostra miłosierdzia kiwa się troszeczkę, ledwo dostrzegalnie, przy swojem wielkiem i milczącem strażowaniu.

I już oto trzeci dzień trwa ta głęboka nieprzytomność, ale ciepłota podnosi się nad czterdzieści stopni. Przypadek jest niespokojny, jego ręce szukają czegoś na kołdrze, a usta mruczą coś niezrozumiałego. Jak to ciało broni się, jak walczy! Niema tu już świadomości, ani woli, iżby mogły tak się bronić, tylko serce kołacze jak czółenko tkackie w potarganej osnowie. Lata już napróżno i nie przewleka żad-



nych nici wątku w osnowie życia. Już się nic nie tka, ale maszyna jeszcze pędzi.

Siostra miłosierdzia nie odwraca oczu od tego łóżka głębokiego omdlenia. Chirurg chciałby jej powiedzieć, no, siostrzyczko, to wszystko nie zdało się już na nic i, dalibóg, siedzisz tu napróżno. Idź lepiej odpocząć trochę. Siostra mruga troskliwie oczami, ma coś na języku, co chciałaby powiedzieć, ale karność i zmęczenie zamykają jej usta. Pozatem mówi się mało i tylko szeptem nad tem łóżkiem.

— Niech siostra później zajdzie do mnie! — nakazuje doktór i idzie dalej drogą swej codziennej rutyny.

Sztywno i ciężko sadowi się siostra w pokoju chirurga i nie wie od czego zacząć. Omija spojrzenie doktora, a od wzburzenia wyskakują jej na twarzy czerwone plamy. — Co słychać, siostrzyczko, co słychać? — pomaga chirurg tej starej kobiecie, jakby to była młoda dziewczynka, iżby wreszcie zaczęła mówić. — Dzisiaj śniło mi się o nim już poraz drugi.

No, nareszcie powiedziała, co tak bardzo pragnęła powiedzieć, a doktór nie wybuchnął śmiechem, ani też nie rzekł nic takiego, co mogłoby czcigodną siostrę zmieszać. Przeciwnie, zwrócił ku niej oczy pełne zaciekawienia i czekał.

— Nie powiem, żebym wierzyła w sny — zapewniała go siostra miłosierdzia z wielkiem zakłopota-

niem, — ale gdy z nocy na noc śni się ten sam sen i gdy pierwszy sen ma dalszy ciąg, to już nie jest samo przez się. Prawda, panie doktorze, że czasem tłumaczę sobie sny, ale to tylko wówczas, gdy jestem zupełnie sama. Nie oczekuję przecie żadnego znaku, który dotyczyłby mojej osoby. Nigdy nie wyśnił mi się żaden mój sen. Jeśli więc zajmuję się swoim snem, to bynajmniej nie przez zabobonność. Wiem, że sny się powtarzają i powracają, ale żeby jakiś następny sen był dalszym ciągiem pierwszego, to już nie leży w naturze snów. Jeśli we śnie moim jest coś takiego, czego nie powinnabym powtarzać, niechaj mi to odpuści Przenajświętsza Panienka. Miałam więcej do czynienia z doktorami, niż z księżmi, więc powiem panu wszystko, jak na świętej spowiedzi.

Chirurg z wielką powagą skinął głową.

— Powiem panu wszystko — mówiła siostra dalej, — ponieważ chodzi tu o pańskiego pacjenta. Ale ten sen to tylko treść tego, com sobie później uporządkowała i powiązała w głowie. Kiedy mi się ten sen śnił, były to raczej obrazy, które zmieniały się bezustannie. Niektóre z nich były wyraziste, ale nie brakło też mętnych i pozbawionych związku, czasem prześcigały się w wielkim pośpiechu, jakby się śniło kilka snów odrazu. Czasem bywało tak, jakby ten człowiek naprawdę coś opowiadał, a potem



znowu zdawało mi się, że patrzę na jakieś zdarzenie. Było to takie pomieszane i bezsensowne, że nawet we śnie życzyłam sobie zbudzić się, ale nie mogłam. Ten sen był taki żywy i mocny, że miał swój dalszy ciąg nawet we dnie. Ale we dnie przypominałam sobie wszystko w lepszej kolejności, bez obrazów i w pewnym związku. To już nie był sen. Wszystkie rzeczy poprzemieniałyby się nam w puste sny, gdyby w tych rzeczach nie było pewnego porządku. Porządek jest czemś, co bywa tylko w prawdziwych snach. Dlatego ten sen przestraszył mnie tak bardzo, że znalazłam w nim daleko więcej związku, niż go się spotyka w snach zwyczajnych. Mogę go panu opowiedzieć tylko tak, jak go rozumiem teraz.

## OPOWIADANIE SIOSTRY MIŁOSIERDZIA.

— Wczorajszej nocy ukazał mi się poraz pierwszy. Był w białem ubraniu z mosiężnemi guzikami, na nogach miał skórzane nagolenniki, na głowie — biały kask. Ale ten kask nie był taki, jaki noszą żołnierze i wogóle nigdy nie widziałam takiego ubioru. Twarz miał żółtą jak cygan i oczy pełne żaru, takie same, jakie miewają ludzie chorzy na tyfus, przy wysokiej gorączce. Miał niezawodnie gorączkę, bo mówił od rzeczy.

— Gdy nam się o kim śni, to nie słyszymy jego słów i nie widzimy też, aby poruszał ustami. Tyle tyl-

ko, iż wiemy, co do nas mówi ten śniony człowiek i nigdy nie umiałam wytłumaczyć sobie tego, w jaki sposób to się śni. Wiem tylko, że odezwał się do mnie, że mówił szybko jakimś obcym językiem, którego nie rozumiałam. Wiem też, że parę razy przemówił do mnie „sor“, ale ja nie wiem, co to znaczy. Był niecierpliwy i poprostu zrozpaczony, że go nie rozumiem, i mówił długo. Ale potem, jak gdyby sobie uświadomił, gdzie się znajduje, zaczął mówić — powiedziałabym — naszym językiem. Ale było tylko tak, iż mogłam go odtąd rozumieć.

— Siostro — rzekł do mnie — proszę cię na klęczkach, abyś, jeśli to możliwe, uczyniła coś dla mnie. Widzisz przecie, w jakim jestem stanie. Co za nieszczęście, mój Boże, co za nieszczęście! Nawet nie wiem, jak to się stało. Było tak jakoś, jakby raptem ziemia pędziła naprzeciwko nam. O, gdybym przynajmniej mógł pisać palcem na kołdrze! Wypisałbym wszystko, co potrzeba, ale ty widzisz przecie, jak wyglądam! Pokazywał mi ręce, ale nie były obandażowane. Teraz już nie pamiętam, co ujrzałam na nich takiego straszliwego. — Nie mogę! Nie mogę!— narzekał. — Spójrz, siostro, na te ręce! Wszystko ci powiem, ale na Boga, dopomóż mi załatwić tę jednę sprawę! Leciałem jak szaleniec, aby wszystko załatwić, ale nagle ziemia pochyliła się gwałtownie i spadła na nas. Ja wiem, że coś się stało. Przeciwko nam



wystrzelił płomień, jakiego nigdy dotychczas nie widziałem, a ja widziałem niejedno. Widziałem płonący okręt, palących się ludzi, widziałem górę całą w ogniu, ale o tem mówić ci nie będę. Niema już nic ważnego, pozostało tylko to jedno, czego koniecznie potrzeba.

— Tylko to jedno — powtórzył. Ale teraz widzę, że to jedno, to właśnie całe życie. Ach, siostro, czy nie powiedzieli ci czasem, co się ze mną stało? Czy nie mam ran na głowie? Bo zapomniałem o wszystkiem i pamiętam tylko o życiu swojem. Zapomniałem o wszystkiem, co robiłem kiedykolwiek. Nie wiem już gdzie bywałem, zapomniałem imiona ludzi i nawet nie wiem, jak mnie na imię. To wszystko jest podrzędne i przypadkowe. Pewne jest, że doznałem wstrząśnienia mózgu, skoro nie mogę przypomnieć sobie nic już prócz tego, co było najważniejsze. Gdyby ci podano imię moje, wiedz, że jest ono nieprawdziwe. A gdybym zaczął majaczyć o wyspach i przygodach, poczytaj to na karb mego pomieszania. Są to szczątki, o których nie wiem do kogo i do czego należą, i z których niepodobna złożyć ludzkiej przygody. Cały człowiek jest już tylko w tem, co powinien jeszcze uczynić. Wszystko inne to tylko szczątki i ułomki, których niepodobna objąć jednem spojrzeniem. Tak, tak, tak, czasem człowiek wygrzebie coś minionego i myśli: to jestem ja. Ale

mój przypadek jest cięższy, siostrzyczko. Stało się coś, przy czem rozleciała się pamięć moja. Nie pozostało ze mnie już nic, prócz tego, co jeszcze chciałem wykonać...

## VI

Siostra miłosierdzia opowiadała, kiwając się nieznacznie i z uporem patrzyła w podłogę, jakby powtarzała coś, czego wyuczyła się napamięć. — Dziwne to, do jakiego stopnia taki sen jest wyrazisty i niejasny zarazem. Nie wiem, gdzie to było, siedział na drewnianych schodkach, po których wchodziło się do jakiegoś słomianego szałasu — — — Zawahała się na chwilę. — Tak jest, ten szałas stał na słupach, podobnych do nóg stołowych. On zaś siedział z nogami wyciągniętemi przed siebie na najniższym stopniu i uderzając fajeczką o dłoń, wytrzepywał z niej popiół. Twarz miał pochyloną, tak, że widać było tylko ten biały kask. Wyglądało to, jakby miał głowę obandażowaną.

— Trzeba ci wiedzieć, siostro — wywodził, — że nie pamiętam swojej matki. Rzecz osobliwa, że chociaż nie poznałem jej wogóle, w pamięci mojej pozostało jakby puste i ślepe miejsce, w którem powinno było coś się znajdować. Widzisz więc, że pamięć moja nigdy nie była pełna, bo zabrakło w niej matki. — Powiedziawszy to, kiwał głową. — Było mi zawsze tak, jakby na mapie mego życia była pusta płaszczyzna. Nie mogłem nigdy znać samego siebie, bo nie znałem swojej matki.



— Co do ojca mego — ciągnął dalej, — muszę powiedzieć, że wzajemny nasz stosunek nie był nigdy dobry, ani serdeczny. Co więcej, jeśli mam powiedzieć prawdę, leżała między nami cicha i nieprzejednana nieprzyjaźń. Mój ojciec był mianowicie człowiekiem nad miarę porządnym. Zajmował wysokie miejsce w swojem środowisku i zadanie życia swego widział w spełnianiu obowiązków z całą bezwzględnością. Obowiązkiem mężczyzny jest oddawać się pracy, wzbogacać się, a ponadto zdobywać szacunek swoich współobywateli. To wszystko są powinności tak wielkie, iż zakończyć się mogą tylko razem z życiem. Istotnie, umarł uroczyście i dostojnie, jakby z uczuciem zadowolenia, że spełnił i ten obowiązek. Ze mną nie rozmawiał inaczej, jak tylko dając mi za przykład siebie i napominając mnie stale. Najniezawodniej uważał życie ludzkie za coś zgóry gotowego, jakby za odziedziczony dom, czy też firmę, którą obejmuje następca. Bardzo szanował samego siebie, czcił swoje zasady i zasługi. Życie jego wydawało mu się godnem dalszego ciągu w jego następcy. Być może, iż kochał mnie na swój sposób i lubił myśleć o mojej przyszłości, ale nie

umiał wyobrazić jej sobie inaczej, jak tylko w postaci powtarzania jego własnych doświadczeń. Nienawidziłem go za to wszystko i to tak mocno, że ze wszystkich sił swoich, złośliwie i skrycie niweczyłem wszystko, czego ojciec byłby mógł oczekiwać po mnie, jako po rozsądnem i udanem dziecku. Byłem leniwy, uparty i występny, i już jako młody chłopiec sypiałem ze służącemi. Jeszcze dziś pamiętam, że miały szorstkie ręce. Dom ojca napełniłem utajoną dzikością i sądzę, że nieraz wstrząsnąłem dufną samowiedzą tego starego człowieka, bowiem we mnie samoż życie musiało mu się wydawać czemś bezładnem i wyuzdanem, nad czem nie miał władzy.

— Nie będę ci, siostro, opowiadał życia młodego człowieka. Oczywiście, nie brakło w niem niczego, co należy do rzeczy i z małemi wyjątkami niema w niem nic takiego, za co musiałbym się wstydzić. Prawda, że byłem złem i zepsutem dzieckiem, ale jako młodzieniec niebardzo różniłem się od swoich rówieśników. Jak i inni, byłem przedewszystkiem pełen samowiedzy i dufności. Mojemi były miłoście, doświadczenia, poglądy, wszystko na świecie było mojem. Dopiero później człowiek widzi, że wszystko, co uważa za swą własność, nie jest znowu takie bardzo własne, że są to rzeczy powszechne, przez które musi poprostu przejść, podczas gdy jemu wy-



daje się, iż je odkrywa. Daleko więcej pozostaje w człowieku z dni dzieciństwa, niż z wieku młodzieńczego. Dzieciństwo — ach tak! — to rzeczywistość pełna i całkowicie nowa, podczas gdy młodość... Bóg raczy wiedzieć, skąd bierze się w niej tyle pozorów i tyle nierzeczywistego. Dlatego też zapominamy o niej i dlatego przepada ona dla nas. Ale dzięki Bogu, niekażdy spostrzega, jak został oszukany i jak głupio dał się schwytać w sidła życia. Nie mam o czem wspominać, ale jeśli czasem wyłoni się coś w pamięci, to czuję, że to już nie ja jestem i że nie o mnie tu chodzi.

— W tym czasie nie mieszkałem już u swego ojca. Był on dla mnie czemś obcem i dalekiem, jak nikt inny, a gdy stałem nad jego trumną, ogarniało mnie uczucie zgrozy wobec odpychającej myśli, że wyszedłem z tego obcego, a teraz już śmiertelnie zmienionego ciała. Niczem, niczem, nie mogłem już nawiązać stosunków z nieboszczykiem, a łzy, które rzucały mi się do oczu, były tylko płaczem wobec świadomości, że jestem taki osamotniony.

— Może już ci powiedziałem, że po ojcu odziedziczyłem dość wielkie mienie, ale i te pieniądze były mi obce, jak gdyby przylgnęło było do nich coś z dostojeństwa i obowiązkowości mojego ojca. On gromadził ten majątek jako rzecz, w której mógłby żyć dalej, jego pieniądze miały być przedłużeniem jego

życia i stanowiska. Nie lubiłem ich i mściłem się na nich tem, że używałem ich jedynie dla dogadzania swemu lenistwu i rozkosznictwu. Nie robiłem nic, bo żadna konieczność do niczego mnie nie zmuszała. Ale sama powiedz, co warta rzeczywistość, która nie jest twarda i nieustępliwa jak kamień? Mogłem był zaspokoić każdy swój kaprys. Straszliwa to nuda, siostro, gdy trzeba się głowić, w jakiby sposób przeżyć dzień. To cięższe od tłuczenia kamieni przy drodze. Nic to nie było warte i wierz mi, siostro, że niestały człowiek mniej ma z życia, niż żebrak.

Przez chwilę milczał, a potem rzekł: — Jak widzisz, nie mam powodów, dla których miałbym żałować swej młodości. Jeśli teraz powracam, to nie dlatego, aby się napić ze źródła młodości. Wstydzę się, że byłem młody, bo tem zniweczyłem życie swoje. Była to najbardziej warjacka i najbardziej bezsensowna epoka mego życia. Ale właśnie w tej epoce przeżyłem zdarzenie, którego doniosłości wtedy nie zrozumiałem. Nazywam to zdarzeniem, chociaż niema w tem ani śladu przygody. Poznałem dziewczynę i postanowiłem ją zdobyć. Prawda, że ją kochałem, ale w młodości i to nie jest niczem nadzwyczajnem. Wie Bóg, że w życiu mojem nie była to miłość pierwsza, a nawet nie była to największa z namiętności moich, których imiona już pozapominałem.



VII

Siostra miłosierdzia kiwała zatroskaną głową. — Wszystko to mówił tak, jakby się spowiadał. Widać było, że niczego nie chce ukryć przede mną. Niezawodnie przygotowuje się na śmierć, ale mnie nie pozostaje nic innego, jak tylko modlić się za niego, aby Bóg cudem lub miłosierdziem przyjął za ważną tę spowiedź, odbytą we śnie i przed osobą niegodną. Może weźmie Bóg pod uwagę i to, że człowiek nieprzytomny nie może wzbudzić w sobie należytego żalu, potrzebnego do pokuty doskonałej.

— Muszę ci, siostro, opisać ją — rzekł potem, — żebyś wiedziała, jaka była. Rzecz osobliwa, że jej twarzy już sobie przedstawić nie umiem. Miała szare oczy i głos troszkę szorstkawy, jak chłopak. I ona także straciła matkę w dzieciństwie. Mieszkała z ojcem, którego ubóstwiała, albowiem był to piękny starszy pan i wielki inżynier przed obliczem Pańskiem. Dla jego i swojej uciechy ukończyła studja inżynierskie i poszła do fabryki. Siostro, siostrzycz-ko, chciałbym, abyś umiała wyobrazić ją sobie w tej fabryce maszyn śród młotów parowych, tokarń i półnagich robotników, którzy walili młotami w rozżarzone sztaby żelazne. Była jednocześnie dziewczynką deliktną, jak elf, i dzielnym chłopcem, a ci ludzie fabryczni ubóstwiali ją poprostu. Żyjąc śród

mężczyzn, poruszała się z jakąś osobliwą subtelnością. Pewnego razu, tak, pewnego razu zaprowadziła mnie do tej fabryki i wtedy zakochałem się w niej. Była taka delikatna, taka odważnie miła śród męskich bark połyskujących potem, z tym swoim nikłym i troszkę szorstkim głosem i z tą inżynierską władzą nad ogniem, żelazem i pracą! Możnaby rzec, że fabryka nie jest miejscem dla dziewczęcia. Boże odpuść mi grzechy, ale właśnie tam zadręczałem się tęsknotą za nią, tęsknotą bezsensowną, w chwili, gdy badała pracę i z nadmiaru skupienia marszczyła swoje długie brwi. Albo gdy stała ze swoim wielkim ojcem, zaś on kładł jej rękę na ramieniu, jakby była synem, któremu ojciec z uczuciem dumy przekazuje swoją pracę. Robotnicy mówili do niej „panie inżynierze", a ja wpijałem się oczyma w jej dziewczęcą szyję, dręczony pragnieniem, które mnie niepokoiło tak bardzo, jakby w niem było coś przeciwko naturze.

— Była ogromnie szczęśliwa: szczęśliwa i dumna ze swego ojca i z siebie, że ludzie ją kochają i że sama pracuje na siebie, szczęśliwa cichem i zrównoważonem zadowoleniem. Jej oczy promieniały spokojem, jej chłopięcy głos mówił mało i spokojnie. Na dłoniach i palcach miała od tuszu stałe plamy, które kochałem. Co do mnie, byłem młody i z tego powodu zarozumiały, byłem dandys i właśnie dlatego zapewne udawałem wielką pewność siebie, ale to dziewczę wzbudzało we mnie wielkie zamieszanie. Zdawało mi się, że chce być bezpłciową chłopczycą i z jakiejś niepojętej złości postanawiałem upokorzyć ją jako kobietę. Wyobrażałem sobie, że gdybym ją uwiódł, to wygrałbym coś wielkiego wobec niej samej. Wstydziłem się tej dziewczyny zapewne spowodu swej nicości i pustki, i dlatego, jedynie dlatego, pragnąłem błysnąć przed samym sobą zwycięstwem męskiej zdobywczości. Oczywiście, tak przedstawia mi się ta rzecz dzisiaj. Wtedy była to tylko miłość, tylko pragnienie, tylko straszliwe pragnienie pochylić się nad nią i wymusić z niej szloch wyznania, że mnie kocha.

— Zamyślił się i milczał przez chwilę. — A teraz, siostro, przechodzę do rzeczy, o których dość trudno będzie mi mówić. Ale powiem wszystko. Nie była to pierwsza miłość moja, w której, cokolwiek sądzilibyśmy o niej, dzieje się wszystko bezwiednie i nieuniknienie. Chciałem ją zdobyć i szukałem środków, które zdałyby ją na łaskę i niełaskę moją. Wstydzę się wspominać, jakie głupie i brutalne, a zarazem bezsilne były wszystkie znane mi podstępy światowca wobec dziwnej, niemal szorstkiej prostoty i czystości tej panieńskiej dziewczyny. Widziałem, że jest ona ponad wszystkiem i że przewyższa również mnie, że jest z materjału szlachetniejszego, niż

ja, ale zawrócić już nie mogłem. Człowiek bywa dziwny, siostro. Wżarłem się tak głęboko w dręczące i ohydne obrazy, że ani na chwilę nie przestawałem myśleć jakby ją środkami nikczemnemi, kłamstwem czy hipnozą, lekami, czy czemkolwiek uwieść i zbezcześcić, jak się bezcześci świątynię — słyszysz, siostro, niczego przed tobą nie ukrywam. Samemu sobie wydawałem się szatanem. I podczas gdy w taki sposób kalałem ją w duszy swojej, ona mnie kochała. Siostro, ona mnie kochała i pewnego dnia wyznała mi miłość swoją w sposób tak prosty, jak prosto opada kwiat z drzewa. Było to całkiem inaczej, o Boże, było to całkiem inaczej, niż namiętność moja zdołała sobie wyobrazić. Przedewszystkiem stałem się wobec niej niezręczny, jak chłopak, który kocha poraz pierwszy — — —

— Zakrył twarz dłońmi, gdy to powiedział i zdrętwiał. — Tak, jestem świnia — rzekł potem, — i zasługuję na wszystko, co spotkało mnie później. Pochylałem się nad nią, leżącą z oczyma zamkniętemi, i próbowałem wykosztować w pełni swój domniemany triumf. Byłbym chciał, żeby spod jej powiek były wyskoczyły łzy, aby była zakryła twarz ze wstydu i rozpaczy. Ale jej twarz była spokojna i gładka; oddychała tak, jak oddycha człowiek śpiący. Zrobiło mi się straszno i odwróciłem się ku oknu, aby wybiczować z siebie szatana pychy. Gdy obróciłem się ku niej, oczy jej spoczywały na mnie jasno i ufnie. Uśmiechnęła się i rzekła: — Tak, teraz jestem twoja!



— Przeraziłem się — tak, przeraziłem się ze zgrozy i poniżenia. Było w niej tyle jasności, prostoty, szczerości, nawet nie wiem, jak to nazwać. Całkiem prosto: teraz jestem twoja i wszystko w porządku. Oto jesteśmy tutaj, stało się i niema na to rady. Jaka ulga, jaka jasna rzecz, jakie proste i ogromne rozwiązanie. Tak, ta sprawa jest załatwiona z największą pewnością i z dojrzałością najbardziej dojrzałą. Ta rozsądna dziewczyna mówiła z ogromną pewnością siebie i bez wahania. Tak, teraz jestem twoja. O, jaka dumna, jaka zadowolona z siebie, że znalazła w sobie tę najświętszą, jasną, bezpieczną i żywą prawdę! Jeszcze ma oczy rozwarte szeroko od tego zdumiewającego i olbrzymiego odkrycia, a już napełnia ją wielki pokój rzeczy na wieczne wieki rozstrzygniętych. Te same delikatne rysy, które na kilka sekund wykrzywiły się bólem i zmieszaniem, odzyskały teraz nowy i ostateczny wyraz, możnaby rzec, wyraz człowieka, który znalazł samego siebie. Tak, teraz już wiem, czem jestem. Jestem twoja i to, co się stało, stało się sprawiedliwie i dopełniło się przeznaczenie rzeczy. Tak samo bywa, gdy zmącona woda uspokoi się, wygładzi i pozwoli spojrzeć aż do dna.

— Siostro, nie ukrywam przed tobą nic. Gdyby była rwała włosy, gdyby się była zachłystywała łkaniem, gdyby cokolwiek było krzyczało w niej wyrzutem, coś ty mi zrobił, zły człowiecze! — byłbym odczuwał tylko rozkosz zwycięstwa. Rozkosz złą i dobrą, pychę i wielkoduszność, może i żal, czy ja wiem. Byłbym może padł przed nią na kolana, aby przysięgać i całować jej ręce, poplamione minją i ołówkiem. Ale to zwycięstwo było nie moje; mojem było tylko pomieszanie i wstyd, w którym się gubiłem. Próbowałem jąkać coś o miłości. Podniosła brwi, jakby zdziwiona: o czem tu mówić? Czyż nie wszystko już powiedziane? Jestem twoja i w tem już jest wszystko. Tem wyrażona jest miłość, zgoda, rzeczywistość i wszelkie możliwe: tak! Czemś brutalnem i niedelikatnem było gadanie o uczuciach i wdzięczności. I naco wogóle gadanie! Ogromnie proste: stało się, jestem twoja. Gdybyś jeszcze chciał gadać, byłoby tak, jak gdyby tu było wogóle coś do zagadywania. Ach, siostro, siostro, czy nie czujesz, jaka w tem była mądra dojrzałość, jakie dostojeństwo i czystota! Czyliż nie jest tak, że ja chciałem grzechu, a ona zrobiła z niego świętość? Co za sromota! Nie wiedziałem co mam powiedzieć. Oglądała z dużem zainteresowaniem moje mieszkanie, jakby je widziała poraz pierwszy i nuciła piosneczkę, chociaż nigdy przedtem nie śpiewała! Nie powiedziała



tego, ale była u mnie jak u siebie w domu i należała do tego domu.

— Uśmiechnęła się, przysiadła się do mnie i tym swoim szorstkawym głosikiem mówiła — nie o tem, co jest, albo będzie, ale o sobie, o swojem dzieciństwie, o dziewczęcych upodobaniach. Oddawała mi przeszłość swoją, jakby ona miała odtąd należeć do mnie. Miałem ciągle to dziwne uczucie poniżenia i zmniejszonej wartości. Chciałem ją znowu objąć, ale podniosła tylko rękę — dla swej obrony potrzebowała tak niewiele! Nie — rzekła bez wstydu — innym razem. Wszystko było takie proste i jasne. Jeśli jestem twoja, to nie są to jakieś zbytki, ale jest to rzecz rozsądna, trwała i obowiązująca. Pocałowała mnie w usta, jakby chciała powiedzieć: nie dąsaj się, miły! Jak gdyby była moją matką, osobą starszą ode mnie i mocniejszą, dojrzalszą, niż ja — — Było to poprostu nieznośnie skłodkie, a przytem, Boże, odpuść, poniżające, jak policzek...

— Potem poszła — — — Sama wiesz, siostro: najcięższy krok ludzki to odejście. W sposobie, jakim człowiek się oddala, odbija się cała jego niepewność, chwiejność, skwapliwość, pewność siebie, lekkomyślność czy też miłość własna. Strzeżcie pleców, gdyż odchodząc, jesteśmy odsłonięci. Nie wiem, jak odeszła. Stała we drzwiach z głową nieco pochyloną, a potem znikła. Tak jakoś cicho i niedostrzegalnie.

Jest to takie ważne dlatego, że taką widziałem ją poraz ostatni...

— Tej samej bowiem nocy uciekłem, jak ulicznik.

## VIII

Czcigodna siostra głośno i z rozgoryczeniem oczyściła nos, używając grubej chustki, i mówiła dalej:

— Tak mi to powiedział. Jego czyn był ohydny i zdaje się, że mu żal. Ale muszę dodać, że nie powinien zapewne tłumaczyć tak gorliwie owego dziewczęcia, które, jak powiada, oddało mu się dobrowolnie. Chociaż według opowieści jego była to osoba delikatna i miła, kara, jaka ją spotkała, była zasłużona. Nie umielibyśmy powiedzieć, czy człowiek ów nie był w pewnej mierze narzędziem bożem. Lecz to nie pomniejsza jego winy.

— Gdy teraz rozmyślam — rzekł potem — o dziwnych pobudkach, które prowadziły mnie do tej ucieczki, osądzam je inaczej, niż wtedy. Wtedy byłem młody i miałem różne plany, mniej lub więcej awanturnicze. Prócz tego jeszcze z czasów dzieciństwa nosiłem w sobie bunt przeciwko wszystkiemu, co się nazywa obowiązkiem. Był we mnie opór przeciwko wszystkiemu, co byłbym mógł uważać za skrępowanie, a to swoje tchórzostwo uważałem za wyraz wolności. Przeraziła mnie surowość i obowiązkowość jej miłości. Chociaż czułem, że mnie ona



przewyższa, niepokoiło mnie to, że mam być przykuty do niej na wieki. Zrozumiałem, że muszę się zdecydować, wybierając albo ją, albo siebie, i wybrałem siebie.

— Dzisiaj rozumiem więcej i spoglądam na rzeczy inaczej. Dzisiaj wiem, że ona patrzyła dalej, niż ja, że w niej zadecydowane było wszystko, a we mnie nic, że ona była dojrzała, a ja byłem kołowatym, niedorosłym i nieodpowiedzialnym chłopakiem. To, w czem widziałem bunt przeciwko kajdanom, było strachem wobec jej przewagi życiowej i jej ogromnej pewności siebie. Ja nie zaznałem łaski należenia do kogoś, ja nie mogłem odpowiedzieć: i ja jestem twój, taki, jakim mnie tu widzisz, niezmienny, cały i ostateczny. Nie było we mnie pełni człowieka, którego byłbym jej mógł oddać w sobie. Mówię ci o tem tak sucho, jakbym ci składał rachunki. Mogę wszakże tak mówić, bo to jest najważniejsza pozycja księgi głównej mego życia. Winien — ma. Ona mi oddała siebie, mówiąc: Tak, teraz jestem twoja. A ja — — — wszystko, co miałem, czem byłem, co było miłością, namiętnością, stało się zobowiązaniem wątpliwem, czemś jak czek bez pokrycia. — Roześmiał się cicho. — Bo ja jestem kupiec, siostro, i chciałbym rachunki swoje mieć w porządku. Wiedz tedy, że ucieczka moja była ucieczką dłużnika niewypłacalnego. Jestem jej winien samego siebie.

— Zdawało mi się — rzecze siostra miłosierdzia— że uśmiecha się do mnie ironicznie, jakby sobie ze mnie podrwiwał. Wysilałam się, aby przemówić do niego, ale on uśmiechał się coraz ironiczniej i zaczął znikać. Z wielkim wysiłkiem zbudziłam się ze snu, zaniepokojona snem tak żywym. Modliłam się za niego i za tę dziewczynę i przyznam się panu, że przez cały dzień miałam tego wszystkiego pełną głowę. Nocy następnej długo nie mogłam zasnąć, ale zaledwie zasnęłam, odrazu zjawił się on, jakby był czekał. Znowu siedział na tych samych schodkach z głową pochyloną: zdawał się być smutny i niespokojny. Za tym szałasem falowało pole na wietrze, porosłe czemś podobnem do kukurydzy albo do tataraku na mokradle.

— To nie kukurydza — rzekł nieoczekiwanie, — to trzcina cukrowa. Zdaje się, że w ciągu długich lat skupywałem trzcinę na wyspach i wypalałem rum, aguardiente, jak tam mówią, ale to rzecz uboczna. Naprawdę nie byłem niczem więcej, jak niedojrzałym chłopakiem, który uciekł w daleki świat. Przykro mi, że opowiedziałem ci to w sposób niedość odpowiedni, więc zależało mi na złagodzeniu pierwotnego wrażenia. Naprzykład to: ja wiem, że do pewnego stopnia potępiasz tamto dziewczę. Gotowa jesteś widzieć w tem, co o niej powiedziałem, słabość wobec pokusy i grzeszne zadowolenie ciała. Gdyby



było tak, jak sądzisz, wówczas to, co wtedy wydawało mi się w niej jako ogromna uczciwość i cierpliwość miłości doskonałej, byłoby tylko złudzeniem zakochanego młodzika. Ale w takim razie, siostro, ta miłość doskonała musiałaby być we mnie, chociaż nie byłem sobie jej świadom, a moja ucieczka byłaby w takim razie skończonem błazeństwem. Byłaby czemś niepojętem i niepojętem byłoby całe moje życie. Ja wiem, że to jest dowód, który się nazywa pośredni. Mogłabyś powiedzieć, siostro, że życie człowieka jest niepojęte i nie może być objaśnione. Ale ja wiem, że tak nie myślisz.

— Mam jeszcze jeden dowód pośredni, że to, co ci opowiedziałem, jest prawdziwe. Dowodem tym jest życie moje, jakie prowadziłem od owej ucieczki, tak dziwnej. Musiałem był dopuścić się czegoś niesłychanie tchórzliwego, musiałem był naruszyć tą bezsensowną ucieczką jakiś głęboki ład świata, bo od tej chwili spoczęła na mnie klątwa. Nie mam tu na myśli trudności, jakie mnie spotykały, ale to, że od owej chwili nie miałem w niczem wytrwałości i spokoju. Powiem ci, siostro, że odtąd żyłem życiem niedobrem, życiem, na którem nie spoczywała łaska. Było to życie człowieka, któremu nie odpuszczono jego winy. Wyrażam to twemi własnemi słowy, co do mnie, to jestem człowiekiem zbyt świeckim i mógłbym powiedzieć o sobie, że żyłem

jak drański awanturnik, zbłąkany pies, oszukańczy agent i dalibóg wszystko, co najgorszego wyobrazić sobie mogę. A to wszystko dlatego, że w danej chwili haniebnie zawiodłem. Byłem zbyt próżny, pusty i wewnętrznie niedojrzały, abym mógł był stawić czoło czemukolwiek, gdy nagle zetknąłem się z pełnią życia. Nie wiem jakby ci to, siostro, powiedzieć, ale mam na myśli coś, co jest ładem i stałością, rozwiązaniem i powinnością, spokojem rzeczy na wieki załatwionych.

— Jeśli prawdziwa rzeczywistość jest czemś, co istnieje, a więc i trwa, tedy uciekłem przed rzeczywistością. Była to ucieczka przeklęta, bo już do niej drogi nie odnalazłem. Ty nie wiesz, siostro, jaka pusta i próżna jest wszelka niegodziwość. Musi się ona ciągle odnawiać, ale daremny to wysiłek! Człowiek niedobry nie dopełni samego siebie, a bluźnierca, morderca, zazdrośnik albo rozpustnik żyje życiem dziwnie kusem i nieustalonem.

— Ach, nie mogę scalić swego życia. Widzę same ułomki, same kruszyny, same kawałki, nie dające się ułożyć w żaden obraz. Daremnie, daremnie, dręczymy się swojemi marnemi i złemi sprawkami. Uczynki nasze są bez związku i niema w nich porządku, wszystko jest tylko śmieciem i okruchami i chaosem bez głowy i stopy. Tak jest, tak jest, amen. Nie, ty siostro, nazywasz to złem sumieniem.



— Mógłbym ci pokazać kieszenie swoje: bywały pełne złota. Mógłbym ci obnażyć ramiona, ujrzałabyś na nich ślady bicza i zęby mulatek. Sięgnij tu naprzykład: wątroba moja jest obrzękła i twarda od pijaństwa. Raz zwaliła się na mnie czerwona gorączka, innym razem ścigali mnie z karabinami, jako dezertera. Mógłbym ci opowiedzieć pięćdziesiąt żywotów, a wszystkie są kłamstwem: pozostały po nich tylko blizny.

— Tutaj, w tym szałasie, leżałem śmiertelnie chory, jak postrzelony kot i byłem sam. Przeliczałem żywoty swoje i nie mogłem się ich doliczyć. Zdaje się, że wszystkie pozmyślałem sobie tylko w gorączce, że były to ohydne i straszne sny. Dwadzieścia lat, mniej lub więcej, i sama plątanina, bezsensowne, zwichrzone, pierzchające sny. Wtedy to odwieziono mnie do szpitala, a nurses w białych płaszczach okładały mnie lodem. Boże, jak dobrze mi to robiło, jak mile chłodził lód! Okłady z białych fartuchów i tam dalej — — — Wiesz, siostro, było tak, jakby mi ogromnie na tem zależało. Ale już wtedy wstępowała we mnie śmierć.

## IX

— Powiedziałabym: palec boży! — rzekła siostra miłosierdzia. — Choroba to przestroga i bardzo mądrze czyni kościół boży, że sługi swoje posyła do ło-

ża chorych, aby byli przewodnikami i drogowskazami na tem rozdrożu. Ale za naszych czasów ludzie nadmiernie boją się choroby i śmierci i dlatego nie rozumieją tej przestrogi i nie potrafią przeczytać Mene Tekel, wypisanego ognistą ręką boleści.

— Wtedy wstępowała we mnie śmierć — rzekł więc. — Wyrwali mnie śmierci, ale leżałem jak bez ducha i byłem słaby jak komar. Nie mogę powiedzieć, abym się był obawiał śmierci. Tylko dziwiłem się, że mógłbym, że wogóle potrafiłbym dokonać rzeczy tak ważnej i doniosłej. Stałem wobec śmierci, jak uczeń, który nie wyuczył się lekcji. Było mi tak, jakby domagano się ode mnie czegoś zbyt wielkiego, poważnego i zdecydowanego, i jak gdyby daremnem było bronić się i tłumaczyć, że tego nie potrafię zrobić. Odczuwałem coś, jakby wielką niepewność i strach. Dziwne to, dawniej spotykałem się ze śmiercią tyle razy, bo dalibóg życie moje było niespokojne i częstokroć pełne niebezpieczeństw, ale jak dotąd śmierć miała dla mnie zawsze tylko oblicze ryzyka, albo przypadku. Mogłem z niej drwić, albo stawiać jej czoło. Lecz oto stanęła przede mną jako coś koniecznego, jako niepojęte i w najwyższej mierze obowiązujące i nieodwołalne postanowienie. Chwilami pokonywała mnie słabość i obojętność i wtedy mówiłem do niej: — No dobrze, zamknę oczy, a ty zrób, co potrzeba, beze mnie i szybko. Nie



chcę o niczem wiedzieć. Ale czasem złościła mnie moja dziecinna tchórzliwość. Przecie to nic takiego — mówiłem sobie, — niema w tem nic osobliwego, to tylko koniec. Każda przygoda miała swój koniec i oto będzie o jedną przygodę więcej. Ale rzecz dziwna, choć byłbym nie wiem jak medytował, nie zdołałem wyobrazić sobie śmierci, jako zakończenia czegoś, jako trzaśnięcia pękającej nici.

— Przyglądałem się jej wtedy z dość bliska i widziałem ją, jako coś rozległego i trwałego. Nie umiałbym się wyrazić dokładnie, ale śmierć jest czemś ogromnem w czasie, albowiem ona trwa. Powiem ci, siostro, że właśnie tego trwania bałem się strasznie. Czułem małodusznie, że tego zrobić nie zdołam. Nigdy przecie nie podjąłem nic trwalszego i nigdy nie podpisałem umowy, która obowiązywałaby mnie na czas dłuższy. Dość miewałem okazyj do osięścia gdzieś i prowadzenia życia porządnego bez wielkiego wysiłku, ale zawsze odczuwałem dla takiego życia ostry i nieprzezwyciężony wstręt. Uważałem to za oznakę swego charakteru, potrzebującego zmiany, przygód i wysp. A teraz miałbym pójść na taką umowę, obowiązującą na wieki?

— Zalewał mnie zimny pot i postękiwałem ze zgrozy. To przecie niemożliwe, to nie dla mnie, to nie dla mnie! Boże wszechmogący, dopomóż mi, bo jeszcze ciągle nie jestem dojrzały, abym mógł zde-

cydować się ostatecznie i nieodwołalnie. Oczywiście, byłoby całkiem inaczej, gdyby można było umrzeć na próbę, powiedzmy na trzy miesiące, na pół roku. Powiedziałbym, że dobrze i zgoda. Ale nie żądaj ode mnie, abym rzekł: — Tak, teraz jestem twój!

— Było to, siostro, jak błyskawica albo objawienie. Znowuż ją widziałem, tę dziewczynę, która spoczywała wtedy pełna radości i cicho, ufnie mówiła: — Tak, teraz jestem twoja. — I znowu stałem się malutki i poniżony wobec tego postanowienia, że chcę żyć, jak przedtem miotałem się śmiesznie, zdecydowany umrzeć. Zacząłem rozumieć, że tak samo, jak śmierć, tak i życie zrobione jest z materji trwania i że na swój sposób i przy pomocy swoich drobnych środków ma wolę i odwagę istnieć po wieki.

— Oto są dwie połowy, które się uzupełniają i zamykają. Tak, tak jest: tylko życie kuse i przypadkowe może pochłonąć śmierć, podczas gdy życie pełne i istotne w śmierci znajduje dopełnienie. Dwie połowy układają się w wieczność. Ponieważ byłem zgorączkowany, widziałem to jako dwie puste półkule, które trzeba zbliżyć do siebie, aby stworzyły całość. Ale jedna z tych półkul była jakaś otłuczona i powyginana, nędzna skorupa, i choć przymierzałem i tak i owak, nie pasowała do drugiej połowy, doskonałej i gładkiej, jaką była śmierć. Trzeba to będzie naprawić — mawiałem sobie, — żeby jedno mogło złączyć się z drugiem i żeby można było powiedzieć: — Tak, teraz jestem twój!



— Wtedy zmyśliłem sobie, siostro, życie swoje. Mówię, że zmyśliłem, ponieważ niejedno nie pasowało do całości i musiało zostać odrzucone, i naodwrót, brakło rzeczy istotnych i uzupełniających. I w młodości mojej dużo jest takiego, co wymaga naprawy, ale nad tem nie biedziłem się wcale. Najważniejsze było i jest to, że w tej prawdziwej rzeczywistości, to jest w tej, której wcale nie było, ale która jednak w jakiś sposób istniała, nie jako zdarzenie, ale jako sens — — — powiedzmy jak gdyby karta wyrwana z księgi — — — Ach, Boże, cóż to ja chciałem powiedzieć? To ta zimnica winna wszystkiemu.

— Tak, najważniejsze jest to, że w tej prawdziwej rzeczywistości wszystkie sprawy były inne, zgoła inne — — — rozumiesz, siostro? To jest powinny były być inne, i to jest najistotniejsze, a znowu ta prawdziwa historja, powinnaby być w rzeczywistości, powinnaby być... — — — Zęby mu szczękały, ale się opanowywał.

— Pamiętasz, co ci powiedziałem — mówił rozdygotany, — co ci powiedziałem, że leżała i rzekła: — Tak, teraz jestem twoja. To święta prawda, siostro, ale dalej, dalej, powinno być inaczej. Teraz już

wiem, ponieważ z życiem weszła we mnie i śmierć. Powinienem był odpowiedzieć jej: tak jest, ty, owszem, chwała Bogu. Jesteś moja i będziesz czekać, aż wrócę z życiem i śmiercią w ciele. Widzisz przecie, że jeszcze nie jestem dość dojrzały dla życia. Jeszcze — — — jeszcze nie jestem tak scalony, bym mógł trwać, nie jestem taki odważny, bym mógł się zdecydować. Jeszcze nie jestem z jednego kawałka, taki, jak ty! Proszę cię, cóżbyś poczęła z taką kupką nieszczęścia? Przecież ja sam nie wiem, co ze mnie będzie, nie wiem, gdzie mam głowę, gdzie stopę. Ale ty! Ty jesteś wieczna, ty wiesz wszystko, co wiedzieć trzeba, ty wiesz, do kogo należysz. Lecz ja — — —

— Dygotał całem ciałem, gdy to mówił. — Poczekaj, a ja przyjdę i powiem: — Teraz i ja jestem twój. — Ach, siostro, rozumiesz, ona wiedziała o tem, ona to rozumiała, chociaż ja tego nie powiedziałem. I dlatego rzekła: — Nie, teraz nie, innym razem. — To znaczy, że mam wrócić, prawda? Powiedz, powiedz sama, to przecie znaczy, że będzie na mnie czekała, czy nie? I dlatego nie pożegnała się ze mną i nawet nie widziałem jej odejścia. Ja powrócę i obie połowy połączą się z sobą jak życie i śmierć. Tak, teraz jestem twój. Niema żadnej prawdziwej rzeczywistości poza tem, co być powinno — — — Odetchnął z głębi jak człowiek, który doznał wielkiej ulgi. — Połączy się z sobą miłość, śmierć, wszystko, co jest



we mnie konieczne i bezwarunkowe. Oto mnie masz, teraz dopiero jestem na swojem miejscu. Jedyna pewna rzecz, to być czyimś. Siebie, siebie całego znalazłem w tem, że do kogoś należę. Chwałaż Bogu, chwałaż Bogu, jestem wreszcie u celu!

— Nie, puść mnie, ja czekać nie mogę, ja wracam. A ona uśmiecha się tylko, tak, teraz jestem twoja! Już nie będę się bał, nie przykryję jej, już idę, już idę. Ja wiem, że już zrywa tasiemki i sprzączki swej sukni. Prędzej, prędzej, wiesz przecie, że muszę wrócić! Ty nazywasz to wichurą? Idź-że, ja wiem, co to jest cyklon, widywałem kolumny trąby powietrznej. Ten wietrzyk nie jest dla mnie tak mocny, by mógł mnie nieść dość szybko. Czyż nie widzisz, że śpieszy w moje objęcia, pochyla się i leci, baczność, zderzymy się swemi czołami i zębami, uważaj, spadasz na mnie, spadnę na ciebie! Jakaś ty niecierpliwa, jak mocno porywasz mnie w objęcia!

— Nagle zaczął majaczyć w gorączce. — Czemu ten pilot leci w pustkę! Powiedz mu, siostro, żeby zawrócił, że jej tam niema! Albo nie, idź do niej i powiedz jej, zapewnij ją, że wracam! Wiesz przecie, że czeka na mnie! Na Boga cię proszę, powiedz jej, że jestem w drodze i że pośpieszę do niej, jak tylko pilot znajdzie miejsce do lądowania. Nie mo-

głem napisać listu, bo nie wiem, gdzie się znajduje — — —

— Patrzył na mnie zrozpaczonemi oczami, pełnemi zgrozy. — Co ty, siostro, czemu, czemu jej tego nie powiesz?! Ja muszę łatać dookoła, dookoła, ciągle dookoła, a ty tylko mrugasz na mnie i nie chcesz jej tego powiedzieć, ponieważ... Nagle zaczął się mienić, miał na głowie kukłę z bandażów i strasznie dygotał, a ja spostrzegłam, że chichocze. — Ja wiem, ty jesteś zła i zawistna, taka wstrętna mniszka. Złościsz się na nią, że kochała. Nie powinnaś jej zazdrościć. Żebyś wiedziała, ja wtedy i pod tym względem trochę skłamałem. Może właśnie dlatego postąpiłem tak tchórzliwie. Rozumiesz? Żebyś wiedziała, siostro, innym razem...

Siostra miłosierdzia utkwiła smutne, spokojne oczy w doktorze. — Potem bluźnił. Było tak, jakby usty jego przemawiał szatan. Wyrzucał z siebie słowa urągliwe i haniebne — — — Boże, bądź mu miłościw! — Przeżegnała się. — Najstraszniejsze było to, iż bluźniercze słowa wychodziły z kukły, która nie miała ani oczu, ani ust. Ogarnął mnie taki strach, że się przebudziłam. Wiem, że powinna byłam wziąć różaniec i modlić się za jego duszę, ale zamiast tego poszłam pod numer szósty, aby mu zmierzyć temperaturę. Leżał nieprzytomny, miał



czterdzieści stopni i trzy kreski i drżał wstrząsany zimnicą.

## X

Teraz ma już tylko trzydzieści osiem i siedem kresek, majaczy w gorączce, a jego obandażowane ręce niespokojnie poruszają się na kołdrze.

— Czy siostra nie wie, co on mówi? — pyta chirurg. Siostra miłosierdzia kręci głową, a jej usta o surowym wyrazie, są zaciśnięte.

— Mówi jessr — wyrwał się staruszek, leżący na sąsiedniem łóżku. — Jessr — powtarza — jessr.

— Yes, sir — domyślił się chirurg. — A więc po angielsku.

— I jeszcze mówił maniana — przypomina sobie staruszek. — Maniania, albo maniana. — Staruszek roześmiał się skrzekliwie: — Maniania! Maniania! Jak dziecko w poduszce. — Wydawało mu się to niezmiernie śmiesznem, dusił się od śmiechu, aż w nim coś charczało. Trzeba było krzyknąć na niego, żeby zamilkł.

I dotychczas ani śladu jakiejś wiadomości, kto to właściwie jest. Poeta trzy razy dziennie zapytuje przez telefon, hallo, wiecie już coś bliższego? Nie, nie wiemy nic. Aha, a jak się miewa? — — — Ba,

czyż można przez telefon przesłać taki gest, jak wzruszenie ramion? Tymczasem jeszcze żyje.

Popołudniu gorączka opada dalej, ale pacjent (a przynajmniej to, co widać z tego pacjenta), zdaje się być bardziej żółty, niż był przedtem i ma czkawkę. Czyżby uszkodzenie wątroby? Czy nie wygląda to na żółtaczkę? I dla pewności chirurg wzywa na pomoc znakomitego internistę. Jest to wesoły, różowiutki, stary pan i sławny specjalista, dużo gada i z uciechy gotów uściskać czcigodną siostrę. Ba, ba, siostrzyczko, widzieliśmy przecie niejedno, zanim siostrę zabrano na oddział chirurgiczny. Chirurg półgłosem i mniej więcej po łacinie prezentuje mu casus. Internista połyskuje złotemi okularami, spoglądając na to ciało, omotane watą i bandażami.

— Ślicznie dziękuję — mówi z wielkiem uznaniem i siada na krawędzi łóżka. Siostra miłosierdzia bez słowa podnosi kołdrę. Internista pociąga nosem i podnosi brwi. — Cukier?

— Skąd pan wie? — mruczy chirurg. — Oczywiście, kazałem zbadać mocz... czy niema w nim krwi. Prócz tego znaleźli cukier. Pan poznaje takie rzeczy węchem?

— Naogół nie mylę się — mówił internista. — Aceton poznaje się łatwo. Nasza ars medica, panie kolego, to pięćdziesiąt procent intuicji.

— Na intuicję się nie piszę — odpowiedział chirurg. — Ale gdy widzę człeka poraz pierwszy, zaraz czuję, że danego gościa nie chciałbym krajać, choćby chodziło tylko o wycinanie nagniotków. Napewno stałoby mu się coś niedobrego, embolja, albo coś podobnego. Ale skąd mi się to bierze — nie wiem.

Internista delikatnie jeździł dłonią i palcami po kadłubie nieprzytomnego człowieka.

— Bardzo chętnie zbadałbym go szczegółowo — rzekł z żalem, — ale trzeba mu dać spokój, prawda? — Ostrożnie, niemal tkliwie, przyłożył swe różowe ucho do jego piersi, zsunąwszy uprzednio okulary na czoło. Cisza taka, że słychać muchę, bzykającą na oknie. Wreszcie internista prostuje się. — Ale to serce jest porządnie zmachane — mruczy. — Mogłoby nam dużo powiedzieć. A prawe płuco też nie w porządku. Wątroba powiększona...

— Czemu jest taki żółty? — wyrwał się chirurg jakoś zbyt skwapliwie.

— I ja chciałbym wiedzieć — rzekł internista w zamyśleniu. — Mówicie, że temperatura opadła tak raptownie? Pokażcie mi mocz, siostro. — Siostra bez słowa podaje naczynie. Było w niem tylko kilka kropel moczu czerwonego i gęstego. — Proszę was — pyta internista podnosząc brwi — skąd wytrząsnęliście tego biedaka? Czy nie miał dygotki, gdy go tu przywieziono?

— Miał — odpowiedziała siostra.

Zdawało się, że internista liczy do pięciu. — Pięć, najwyżej sześć dni — mruczy. — To chyba niemożliwe. Czy mógłby dotrzeć tutaj... powiedzmy z Indyj Zachodnich... w ciągu pięciu, lub sześciu dni?

— Chyba nie — uważa chirurg. — Jest to niemal wyłączone. Chyba, że leciałby na wyspy Kanaryjskie, albo tak jakoś.

— W takim razie nie jest to wyłączone — odpowiedział internista tonem wyrzutu. — Proszę was, gdzież indziej mógłby złapać fiebre amarilla? (Wymówił amarilja, jakby się delektował dźwiękiem tego słowa).

— Gdzie mógłby złapać co? — pytał chirurg nie rozumiejąc.

— Typhus icteroides. Żółtą febrę. Jak żyję, widziałem tylko jeden przypadek tej choroby. Było to przed laty trzydziestu w Ameryce. Teraz ma phase trompeuse i wchodzi w okres żółty.

Chirurg bynajmniej nie był przekonany. — Proszę was, kolego, — rzekł, — czy nie mogłaby to być choroba Weila?

— Brawo, kolego — odrzekł internista. — Mogłaby być. Czy chcecie, żebyśmy tę rzecz zbadali na morskich świnkach? Byłoby to coś dla mego długowłosego asystenta. Aż piszczy z uciechy, gdy może dręczyć morskie świnki. Jeśli świnka będzie żywa



i zdrowa, to racja po mojej stronie. A mnie się zdaje — dodał skromnie, — że mam rację.

— Dlaczego?

Internista rozłożył ręce. — Intuicja, kolego. Jutro temperatura podniesie się ponownie i nadejdzie vomito negro. Stanowczo poślę tu tego młodziana, żeby nam zrobił obrazek krwi.

Chirurg drapał się po potylicy, nie wiedząc, co ma powiedzieć. — Aha, a co to jest gorączka czerwona?

— Gorączka czerwona? A, fièvre rouge, to gorączka antylska.

— Tylko na Antylach?

— Antyle, Indje Zachodnie, Amazonka. Bo co?

— Tak sobie — mruknął chirurg i pytająco spojrzał na siostrę. — Ale żółta febra zdarza się także w Afryce, prawda?

— W Nigerji i okolicy, ale to nie jej ojczyzna. Gdy mowa o żółtej febrze, to jakbym widział Haiti albo Panamę, cały ten krajobraz z palmami i tam dalej.

— Ale w jaki sposób mógłby się dostać z tem aż tu? — bardzo troskliwie zastanawiał się chirurg. — Inkubacja trwa pięć dni, prawda? A przez pięć dni... Chyba że przez cały ten czas leciał.

— No więc leciał — odpowiedział internista, jakby się to rozumiało samo przez się. — Musiał się ogromnie śpieszyć. Djabli wiedzą, co go tak pędzi-

ło. — Bębnił palcami po krawędzi łóżka ogromnie szybko. — Sądzę, że już nam nie powie dlaczego tak się śpieszył. Serce jest bardzo kiepskie, a człowiek ten musi mieć niejedno poza sobą.

Chirurg ledwo dostrzegalnie skinął głową i odprawił siostrę miłosierdzia. — Coś wam pokażę, kolego, — rzekł, odkrywając biodra nieprzytomnego. Tuż koło pośladka widać było w półkolu cztery twarde białe blizny, a jedna z nich miała dalszy ciąg jako zadrapanie. — Możecie się przekonać palcami jak głęboko tkwią te blizny w ciele — mówił chirurg. — Ciągle musiałem medytować skąd się one wzięły.

— No i...?

— Jeśli był w tamtych stronach, to niezawodnie będzie to łapa jakiego dużego kota. Patrzcie, jak kurczowo zacinały się te szpony. Ale łapa tygrysa byłaby większa. Raczej jaguar, a to kazałoby myśleć o Ameryce.

— No, widzicie kolego. — Internista zwycięsko zatrąbił w chustkę do nosa. — Mamy więc już całkiem ładny kawałek biografji. Locus: Indje Zachodnie. Curriculum vitae: łowca i poszukiwacz przygód — — —

— A także marynarz. Na lewem przedramieniu ma wytatuowaną kotwicę. Pochodzi z tak zwanych lepszych sfer, bo ma względnie wąskie stopy...



— Wogóle ciało, powiedziałbym, inteligentne. W anamnezie: potator, zdeklarowany alkoholik. Przestarzałe cierpienie płuc, które odnowiło się ostatniemi czasy, powiedzmy skutkiem gorączki infekcyjnej. Muszę wam powiedzieć, kolego, że mnie się ta czerwona gorączka bardzo podoba. — Interniście błyszczały oczy z uciechy. — I zabliźniona podzwrotnikowa framboesia. Ach, kolego, jakże żywo wszystko to przypomina mi moje młode lata! Dalekie kraje, Indjanie, jaguary, zatrute strzały i tam dalej! Co za przygoda! Wędrowiec udający się do Indyj Zachodnich — — — poco? Gdzie go tam djabli niosą? Najwidoczniej szedł bez określonego celu, jeśli mamy sądzić według tych pieczątek życia, jakie znajdujemy na jego ciele. Prowadzi życie dziwaczne i niespokojne, serce jego jak na te lata, jest straszliwie zużyte. Pije z rozpaczy i z pragnienia djabetyków... Ech, kolego, ja to życie wprost widzę. — Starszy pan tarł w zadumie czubek nosa. — A następnie ten warjacki powrót na łeb na szyję, ta szaleńcza pogoń za czemś i niedaleko ostatecznego celu umrze nam na żółtą febrę, którą mu zastrzyknęła malutka Stegomyia fasciata, prawdopodobnie ostatniego dnia jego pobytu w tamtych stronach.

Chirurg kręcił głową. — Umrze na wstrząśnienie mózgu i uszkodzenia wewnętrzne. Proszę mi wierzyć.

— Żółta febra, kolego, to u nas rzecz rarytniejsza — obstawał internista przy swojem. — Niech-że sobie ma, kolego, taki wspaniały exitus, i niech odejdzie z tego świata jako wyjątkowy i jedyny Przypadek. Czyliż z tym swoim omotanym łbem, który nie ma ani twarzy, ani imienia, nie wygląda jak maska, mająca przedstawiać tajemnicę? — Internista z wielką troskliwością okrywał nieprzytomne ciało. — Biedaku, powiesz ty nam jeszcze bardzo wiele, gdy ci zajrzymy do środka. Ale wtedy przygoda życia będzie już skończona.

## XI

Nazajutrz temperatura podnosi się znowu. Trzydzieści osiem z ułamkiem, a bandaże koło ust są zczerniałe jakby od zwomitowanej krwi. Pacjent jest już całkiem żółty i gaśnie, jak to się mówi, w oczach.

— No i co? — pyta chirurg czcigodną siostrę. — Dzisiaj w nocy nic? Już się siostrze o nim nie śniło?

Siostra miłosierdzia zdecydowanie kręci gławą. — Nie. Modliłam się i poskutkowało. — Poczem, spochmurniawszy, dodaje: — Prócz tego wzięłam trzy proszki bromu.

Wtem przyszła inna pielęgniarka i meldowała, że ten pacjent prywatny, ten z abscesem na karku, ma gorączkę i czkawkę, nic nie mówi i słabnie. Mrucząc



gniewnie i wysoce zaniepokojony, pędzi chirurg do pokoju jasnowidza tak szybko, aż poły jego białego kitla furkoczą jak na wietrze. Jasnowidz leżał z oczyma zamkniętemi, a cienki jego nos zwracał się jakoś patetycznie ku sufitowi.

— Co mi tu pan będzie gorączkował! — krzyknął chirurg. — Niech pan pokaże! — Było tego trzydzieści osiem z czemś tam. Chirurg podrażniony tą gorączką zdjął mu opatrunek, ale rana była czysta, piękna rana, bez jakiegokolwiek zapalenia. I wogóle nic osobliwego, tylko oczy troszeczkę przyżółkłe i ta czkawka. Chirurg wałęsa się po korytarzu i zagląda znowu na salę numer szósty. Tam, nad łóżkiem Przypadku X stoi sławny internista w otoczeniu czterech młodych doktorów w białych kitlach i uroczyście wygłasza „fiebre amarilja“, jakby się pieścił tem słowem. — Trudna rada, kolego, — zwraca się do chirurga — musicie nam, internistom odstąpić tego pacjenta. Taki rzadki i piękny przypadek! Czekajcie, zwali się tu do was cały wydział z największemi światłami wiedzy. Powinniście umieścić nad łóżkiem X baldachim z napisem owieńczonym kwiatami na powitanie tego prześwietnego ciała. — Zatrąbił w chustkę jakby grał na rogu myśliwskim. — Za pozwoleniem pańskiem wzięlibyśmy sobie kropelkę jego krwi. Panie sekundarjuszu, niech pan powie asystentowi, żeby wziął od chorego próbkę krwi.

Gdy w ten sposób drogą instancyjną dotarł rozkaz aż do pana asystenta, który stał u lewego boku wielkiego internisty, pochylił się ten wysoki długowłosy młodzian nad przedramieniem nieprzytomnego i zaczął je trzeć kawałkiem waty.

— Gdy skończycie, panie kolego, — mruczał chirurg, zwracając się do internisty — poprosiłbym was na chwilkę. — Tylko że stary doktór nie wyczerpał tak na poczekaniu swego entuzjazmu dla żółtej febry i mówił o niej jeszcze wtedy, gdy chirurg wlókł go do pokoju jasnowidza. — Tak, kolego, — rzekł chirurg — a teraz niech mi kolega powie, co jest temu panu. — Starszy pan odsapnął i zabrał się do pacjenta, rzucając mu zwięzłe rozkazy i obrabiając go milczącemi chwytami swej sztuki. Odetchnąć, nie oddychać, odetchnąć głęboko, położyć się, powiedzieć, gdyby bolało, i takie wiadome rozkazy. Wreszcie dał spokój, tarł sobie, pełen niepewności, czubek nosa i podejrzliwie spoglądał na jasnowidza. — Cóżby mu miało być? — rzekł. — Nic mu nie jest, wszystko w porządku. Ciężki neuropata — rzekł bezwzględnie. — Ale co znaczy ta gorączka, tego nie wiem.

— No, więc sam pan słyszy — krzyczał chirurg na jasnowidza. — Niech-że mi pan teraz powie z łaski swojej, co to ma znaczyć?

— Nic — próbował się wypierać jasnowidz. —



To jest, może istnieje jaki związek z tamtym przypadkiem. Nie sądzi pan?

— Z jakim znowu przypadkiem?

— Z tym człowiekiem z samolotu. Bo ja o nim ciągle myślę... Czy znowu ma gorączkę?

— Pan go widział?

— Nie widziałem mruczy jasnowidz. — Ale myślę o nim. To jest skupiam na nim wszystkie myśli. Wie pan, powstaje takie połączenie. Strasznie to wyczerpuje.

— To jasnowidz — rzekł chirurg skwapliwie. — A wczoraj nie miał pan gorączki?

— Miałem — przyznaje się jasnowidz, — ale chwilami przerywałem połączenie i gorączka spadała. To się daje opanować wolą.

Chirurg popatrzył pytająco na koryfeusza medycyny wewnętrznej, ale ten drapał się po brodzie i medytował. — No, a bóle? — zapytał nagle. — Bólów nie odczuwał pan żadnych? Mam na myśli bóle, które miał tamten.

— Odczuwałem — niechętnie odpowiedział jasnowidz, i wahając się trochę, mówił:

— To jest były to bóle czysto psychiczne, chociaż umiejscowione w różnych częściach ciała. Dość to trudno określić dokładnie—tłumaczył się zakłopotany. — Możnaby to nazwać bólami duszy.

— Gdzie? — nacierał internista.

— Tutaj — wskazywał jasnowidz.

— Aha, w nadbrzuszu. Doskonale — mruknął doktór z zadowoleniem. — A tutaj zboku?

— Taki ucisk i uczucie, jakby się miało womitować .

— Bardzo dobrze — pochwalał internista. — Więcej nic?

— Straszny ból głowy, tutaj w tyle i w plecach. Jakbym był przetrącony.

— Coup de barre — ucieszył się stary doktór. — Człowieku, to jest coup de barre! Znakomicie pan to odtwarza! To przecie żółta febra, jakby prościuteńko z podręcznika.

Jasnowidz się przestraszył. — Ale przecie... Sądzi pan, że mógłbym dostać tej choroby?

— Skądże znowu — śmiał się internista. — Może pan być spokojny, bo tu niema odpowiedniego komara. Sugestja — odpowiedział na pytające spojrzenie chirurga i miał najwidoczniej wrażenie, że słowem tem całe zagadnienie jest wyczerpane. — Nie dziwiłbym się wcale, gdyby w nocy miał trochę białka i krwi. U histeryków — wywodził — niczemu dziwić się nie można. Zdobywają się oni na takie kawały, że ola! Niech pan się zwróci ku światłu.



— Kiedy oczy mi się tak łzawią — bronił się jasnowidz. — Nie znoszę światła.

— Zuch z pana — chwalił go internista. — Śliczny obraz kliniczny, kolego. Pan jest poprostu skarb djagnostyczny i potrafi pan się ślicznie obserwować. Bardzo ładnie pan się obserwuje. Byłby pan doskonałym pacjentem. Nie do wiary, jak dużo jest ludzi, którzy nie potrafią powiedzieć gdzie i co ich boli.

Jasnowidz czuł się mile pochlebiony temi słowy uznania. — A tutaj, panie doktorze, — wskazywał nieśmiało — czuję taki dziwny lęk.

— Epigastryczny — przyświadczył internista, jak gdyby egzaminował młodego medyka. — Bajecznie.

— A w ustach — przypomniał sobie jasnowidz — takie uczucie, jakbym wszystko miał obrzękłe.

Stary pan zwycięsko i uroczyście zatrąbił w chustkę. — No widzicie, kolego, — rzekł, zwracając się do chirurga — to już wszystkie objawy, cały kompleks Febris flavae. Moja djagnoza się potwierdza. I pomyśleć — mówił sentymentalnie — że przez trzydzieści lat nie widziałem żółtej febry... Trzydzieści lat, to kawał czasu.

Chirurg był mniej ucieszony i boczył się na jasnowidza, który wypoczywał zmęczony i wyczerpany. — Ale panu szkodzą takie eksperymenty — mówił surowo. — Ja tu pana nie zostawię, niech pan

sobie idzie do domu. Pan wsugerowałby sobie choroby całego szpitala. Jednem słowem niech pan pakuje swoją szczoteczkę do zębów i... — — — wskazał palcem ku drzwiom.

Jasnowidz zgodził się i melancholijnie skinął głową. — Jabym tego nie wytrzymał — dodał zcicha. — Nie może pan sobie wyobrazić jak bardzo taka rzecz wyczerpuje. Gdyby on... ten ktoś, ten X, był przytomny, możnaby wszystko poznać dokładnie i ściśle, wszystko byłoby jasne, jak słońce. Ale przy takiej głębokiej nieprzytomności — — — jasnowidz zakręcił głową. — Straszna, niemal beznadziejna praca. Wogóle nic wyraźnego, niema żadnych konturów... — — — Mówiąc o tem, cienkiemi palcami kreślił coś w powietrzu. — A tu jeszcze ta jego gorączka, taki zamęt nawet w podświadomości. Wszystko takie pomieszane i pozbawione związku! Pozatem tak go tu wszędzie pełno. Wszyscy o nim myślą: pan, pielęgniarki, wszyscy. — Na twarzy jasnowidza ukazało się coś jakby skupiona udręka, głęboka i mocna. — Muszę stąd uciekać, bo mógłbym zwarjować.

Internista słuchał bardzo uważnie, przechylając głowę nabok. — No i co — pytał ogólnikowo — dowiedział się pan czego o nim?

Jasnowidz usiadł i drżącemi palcami zapalał papierosa. — Coś niecoś — odpowiedział, wypuszczając z wydechem dym. — Ale choć to i owo poznałem, zawsze są jeszcze luki i dużo niepewności. — Machnął ręką. — Poznać, to znaczy natknąć się na jakąś tajemnicę. Jeśli chce pan wiedzieć, czy natknąłem się na zagadki i niepewności, to odpowiem, że tak. Pod tym względem poznałem sporo. Ja wiem, panby chciał, żebym o tem opowiedział, ale nie chce pan pytać. — Przez chwilę medytował, przymykając oczy. — Ale ja się tego chcę pozbyć. Gdy to sobie zgadam z duszy, będę mógł odejść od tego i niech to sobie leży, jakby się szanowny pan wyraził. Człowiek nigdy nie pozbędzie się tego, o czem milczy.

## XII

## OPOWIADANIE JASNOWIDZA.

Jasnowidz siedział na łóżku, podciągając chude kolana aż pod brodę. Był gnaciasty jakiś i pocieszny w swojej pasiastej pyjamie. Patrzył w pustkę jakby zezował. — Najpierw musiałbym powiedzieć parę słów o metodzie i określić niektóre pojęcia — zaczął, wahając się. — Wyobraźmy sobie, na przykład kółko — kółko z drutu mosiężnego. — Zakreślił w powietrzu krąg. — Koło jest rzeczą widzialną. Możemy je sobie przedstawić abstrakcyjnie, możemy je definjować matematycznie, ale pod względem psychologicznym koło jest czemś, co się widzi. Gdybym panom zawiązał oczy, moglibyście zbadać ten drut dotykiem i powiedzielibyście, że to koło. Mie-

libyście poczucie koła. Ale są i tacy ludzie, którzy z oczyma zawiązanemi potrafią określić kształt ciała, wydającego pewien dźwięk. W naszym wypadku słyszeliby koło, gdybym w ten drut uderzył pałeczką. A gdyby inteligentna mucha szła po takim drucie, mogłaby także wytworzyć sobie całkiem wyraziste wrażenie koła.

— Musicie, panowie, zrozumieć, jaki malutki kroczek dzieli te fizyczne wrażenia od psychicznego stanu człowieka, który w głębokich ciemnościach miałby poczucie, że tu gdzieś jest koło. Bez pomocy oczu, słuchu lub dotyku. Doskonałe, wyraziste poczucie koła. Powiem jeszcze, że przy takiem wyłączeniu zmysłów mielibyście daleko potężniejsze poczucie koła, niż poczucie materjału, z którego to koło jest zrobione. Bowiem kształt, a nie materja jest sprawą ducha. Gdy zaś mówię: poczucie, to nie chodzi mi o jakieś przeczucie, czy może domysł, ale o najściślej jasne, przenikliwe, powiedziałbym dręczące w swej ścisłości poznanie czegoś. Ale nazwać takie poznanie i wyrazić je jako coś wiadomego, jest rzeczą trudną, niesłychanie trudną — — —

Jasnowidz zamilkł. — Dlaczego — mówił zcicha— dlaczego właściwie wybrałem dla zilustrowania swego wywodu właśnie koło? Widzicie, panowie, że wyprzedzam samego siebie, zanim jeszcze zacząłem. A więc poczucie koła zamkniętego. Kształt zwrotnika, a jednocześnie kształt życia. — Zaprzeczył żywym ruchem głowy. — Nie, w taki sposób nie dogadalibyśmy się z sobą. Ja wiem, obaj panowie macie swoje wątpliwości co do telepatji. I słusznie. Telepatja to brednie, bo nie można poznawać na odległość. Rzeczy poznawane trzeba sobie przybliżyć; przybliżyć, naprzykład gwiazdy przy pomocy liczb, materję przy pomocy rozbioru i badania mikroskopowego. A gdy wyłączamy zmysły i bliskość cielesną, możemy przybliżyć się do czekogolwiek skupieniem woli. Przypuszczam, że istnieją może przeczucia, sny, objawienia i wizje; przypuszczam to, ale ze względów metodycznych odrzucam te rzeczy, potępiam je i przeczę ich istnieniu. Nie jestem wizjoner, ale analityk. Prawdziwa rzeczywistość nam się nie objawia, ale musi być zdobyta usilną pracą, analizą i skupieniem. Zgadzacie się, panowie, że mózg jest narzędziem analizy, ale opieracie się wyobrażeniu, iż mógłby on być soczewką, która nam rzeczy przybliża, choćbyśmy nawet nie ruszyli się z miejsca, nie otworzyli oczu. Dziwna to zaiste soczewka, której wklęsłość zmienia się zależnie od skupienia i woli. Dziwne to zbliżenie, które nie dochodzi do skutku ani w przestrzeni, ani w czasie i objawia się jedynie napięciem poczucia i poznania wewnętrznego. I dziwna zarazem wola, która do świadomości naszej wprowadza rzeczy od woli naszej niezależne.

Macie wyobrażenia, które nie z was się wywodzą, nie są waszemi, i na których treść nie macie wpływu. Waszem jest tylko własne skupienie. Gdy patrzycie, gdy się wsłuchujecie, doznajecie przy pomocy swoich organów i w swych ośrodkach nerwowych rzeczy i zdarzeń, które znajdują się poza wami. Tak samo możecie myśleć myśli i czuć uczucia, będące poza wami, możecie mieć wspomnienia, które są poza wami i nie są własnością waszego ja. To takie naturalne, jak widzenie lub słyszenie, brak wam jednak skupienia uwagi i wprawy.

Chirurg kręcił się niecierpliwie, ale jasnowidz nie dostrzegał tego widocznie. Wykładał z rozkoszą, kręcił nosem i wymachiwał rękoma, a głos podnosił czasem z uczuciem wielkiego zadowolenia, jakby śpiewał najpiękniejszym tenorem. — Baczność! — rzekł i przyłożył palec do nosa. — Właśnie mówiłem o myślach, wspomnieniach, wyobrażeniach, uczuciach. To bardzo gruba i niedokładna psychologja, ale użyłem tych fałszywych pojęć tylko dlatego, że są one panom dobrze znane. W istocie, o ile doznaję w taki sposób, mam poczucie koła, a nie materji, z jakiej ono jest zrobione. Mam poczucie, mam dokładne poczucie człowieka, a nie jego poszczególnych doświadczeń, wyobrażeń i jego pamięci. Chcę, aby mnie panowie rozumieli — wywodził, marszcząc czoło z wielkiego wysiłku, aby znaleźć wyraz właściwy — chodzi tu o człowieka w czasie zwiniętym. O człowieka, w którym w tej chwili zawarte jest wszystko, czem kiedykolwiek był i co robił, nie chodzi natomiast o jakiś ślad zdarzeń, lecz jedynie — — jedynie — — — Pokazywał rękoma w powietrzu coś sumarycznego. — Jest to takie, jak gdybyście filmowali życie człowieka od jego narodzenia aż do tej chwili, a następnie wszystkie poszczególne obrazki położyli na kupie i wyświetlili jednocześnie. Coby to był za zamęt! Tak, bo tu stapia się z sobą teraźniejszość i przyszłość, wszystko przesłania się wszystkiem i pozostaje tylko kształt życia, coś nieopisanego i niezmiernie osobistego. Jest to coś, jakby aura osobista, w której złożone jest wszystko — — — Nos jego zastygł i zdrętwiał w bezruchu. — Tu jest wszystko, a więc i przyszłość — rzekł, wyrzucając te słowa z wydechem. — Ten człowiek żyć nie będzie.

Chirurg zasapał. O tem wiedział doskonale sam. Z całą pewnością.

— Chciałbym to panom powiedzieć jak najbardziej poglądowo — wysilał się jasnowidz. — Dajmy na to, że przyszedłby tu człowiek bardzo uzdolniony co do powonienia — — — są tacy ludzie. Najpierw poczułby zapach pomieszany i niebardzo miły przy jego powikłaniu. Jako uzdolniony do skupiania uwagi na wrażeniach powonieniowych, za-

czątby ten zbiorowy zapach analizować i rozpoznawałby kolejno zapach szpitala, chirurgji, tytoniu, moczu, śniadania, nas trzech i naszych domów. Może poznałby nawet, że na tem łóżku umarł przede mną stary człowiek, niezawodnie po operacji nerki.

Chirurg spochmurniał. — Kto to panu powiedział?

— Nikt, ale pan nie ma pojęcia o inteligencji powonienia. Przy pewnem skupieniu uwagi dane wrażenie zbiorowe można rozłożyć co do rzeczowości albo co do kolejności czasowej. Jeśli mamy dość mocne, dość wnikliwe poczucie całkowite danej osobistości, to przy pewnej zdolności analitycznej i logicznej możemy rozłożyć je sobie na szereg obrazów, składających się na historję jej życia. Z sumarycznego kształtu życia możecie wyprowadzać dedukcyjnie poszczególne zdarzenia tego istnienia.

— Gdybyście, panowie, otrzymali pewną sumę, nic, tylko liczbę wyrażającą tę sumę, składającą się z długiego szeregu liczb, i gdybyście mieli analitycznie ustalić, z jakich liczb składa się ta suma ogólna, powiedzielibyście zapewne, że zadanie jest beznadziejnie trudne. Owszem, jest trudne, ale nie jest beznadziejne. Wiedzcie bowiem, panowie, że czwórka, która powstała z dodania dwóch dwójek, nie jest taką samą czwórką, jak ta, która składa się z czterech jednostek, albo z trójki i jedynki.

Siedział zgarbiony, a cały grzbiet jego chudych



pleców rysował się pod pyjamą jak zęby wielkiej piły. — Straszna! — jęczał. — Straszna była ta głęboka nieprzytomność i gorączka. Wyobraźcie sobie panowie, że im bardziej skupiałem na nim uwagę, tem głębiej grążyłem się w mrokach i w majaczeniu. To jest nie ja, bo ja sam byłem bardzo czujny, ale czułem w sobie to nieprzytomne i zgorączkowane. Czułem to w sobie. Rozumiecie panowie, muszę to znaleźć w sobie, gdyż inaczej, inaczej, nie mógłbym nic poznać... — — — Dygotał, a na jego wychudzoną i umęczoną twarz przykro było patrzeć — — — Przedzierać się przez te straszliwe mroki nieświadomości, przez ten zamęt fizycznych majaków, w których toną męki cielesne niby pokruszona kra, — a przytem ciągle, ciągle, ciągle, mieć ten w najwyższej mierze dokładny, napastliwy, miażdżący, całkowity obraz kształtu jego życia... — — — Dłonie przyciskał do skroni i wołał, jakby łkając: — O Boże, Boże! Można było zwarjować od tego.

Internista odchrząknął i wyjął z kieszeni pudełko cukierków słodowych. — Masz pan, weź cukierka!— częstował jasnowidza. Było to wielkie odznaczenie, na które, w oczach starego doktora zasługiwał mało kto. Uznanie takie okazywał niemal wyłącznie tylko pacjentom o doskonałej, klinicznej symptomatologji.

## XIII

Jasnowidz poweselał, ssał cukierek i usadowił się na skrzyżowanych nogach, jak Turek albo krawiec. — Ja to panom przedstawię nieco inaczej — rzekł, — ale zwracam waszą uwagę, że i to jest tylko obraz. Gdy rozwibrujecie stroik w tonie A, to równocześnie rozdźwięczy się struna A u skrzypiec, czy w fortepianie i rozwibruje się wszystko, choćby niesłyszalnie, co zdolne jest do wibrowania w A. W gruncie rzeczy współdźwięczymy i my, śpiewamy razem z tem, czego słuchamy. Co do muzyki, to wrażliwsi są ci, co potrafią lepiej przysłuchiwać się samym sobie, niż muzyce słyszanej. Wyobraźcie sobie, panowie, że życie jest jakiemś wibrowaniem i dźwięczeniem, że człowiek dźwięczy, że dźwięczy jego myśl, pamięć i podświadomość. I jego przeszłość współdźwięczy w każdej z danych chwil. Jest to niezmiernie skomplikowany i nieskończenie wielogłośny dźwięk, w którym obecna jest i przeszłość wiecznem swojem dobrzmiewaniem przy współbrzmieniach górnych i ubocznych tonów. Cała przeszłość zabarwia dźwięk teraźniejszości. Wyobraźcie sobie, że i w nas bodźce zewnętrzne rozwibrowują te same fale, przynajmniej o tyle, o ile jesteśmy w pewnym stosunku do człowieka, który wysyła w przestrzeń wibracje swej duszy, jak każdy z nas — — — jak każdy z nas.



Ta współwibracja jest mocniejsza, albo słabsza zależnie od tego, jak jesteśmy nastrojeni, jaka jest nasza uczuciowość, stan skupienia, a przedewszystkiem jaka jest siła danego stosunku. Rezonans ten może być taki słaby i nikły, że go nie dostrzegamy. Albo też może być taki głęboki i mocny, że w danej chwili słyszymy tylko ten rezonans, który nam się udziela. Ale nawet wówczas gdy nie zdajemy sobie z tego sprawy, uświadamiamy sobie jego uczuciowe echo w sympatjach i antypatjach, w niejasnych i niepojętych reakcjach, któremi instynktownie odpowiadamy na wpływ ludzi zupełnie nam nieznanych.

Jasnowidz był najwidoczniej zadowolony i chciwie ssał swój cukierek, mlaszcząc i zachłystując się jak niemowlę przy piersi. — Tak się te rzeczy mają — przyświadczył sobie tonem głębokiego przekonania. — Musimy się wsłuchiwać w samych siebie, musimy badać uważnie wnętrze swoje, aby dostrzec to ciche i wielogłośne zwiastowanie, które wysyła ku nam ktoś inny. Niema innego jasnowidzenia, prócz obserwowania samego siebie. To, co się nazywa telepatją, nie jest odczuwaniem na odległość, ale na bliskość najbliższą i najbardziej niedostępną, jest to odczuwaniem samego siebie.

— Wyobraźmy sobie, że wprowadzamy w czynność wszystkie piszczałki, rejestry i pedały organów — równocześnie. Byłby to szalony ryk, ale po

nim moglibyśmy poznać siłę i pojemność miechów, potęgę i szlachetność instrumentu. Nie, nie moglibyśmy stwierdzić przy pomocy żadnej analizy, co i kiedy było grane na tych organach, albowiem (przynajmniej dla naszych uszu) organy nie mają pamięci, która zabarwiałaby ich dźwięk. Pierwszy, niezróżnicowany rezonans, jakim odpowiadamy na życiowe wibracje kogoś innego, to także przedewszystkiem poczucie pojemności, życiowej przestrzeni, siły i szlachetności. Jest to poczucie bezwzględnie wyrazistego i indywidualnego wytworu przestrzennego, w którym rozwinęło się dane życie, razem ze swoją specjalną atmosferą i perspektywą —

Jasnowidz zmieszał się nieco. — No, patrzcież, panowie, co za groch z kapustą: organy i perspektywa! Wzrok i słuch! Strasznie ciężko bywa wyrazić te sprawy. Słowa nasze są namiastkami czucia i wywodzą się z widzenia, słyszenia, dotyku. Nie można przy ich pomocy wyrazić dokładnie rzeczy, które nie są dostępne dla tych zmysłów. Proszę o cierpliwość, panowie.

— Nic nie szkodzi — rzekł internista zachęcająco. — Ta przemiana wyobrażeń i wikaryzacja zmysłów jest typowym przejawem pewnych zaburzeń umysłowych, pokrewnych halucynacjom. Niech pan mówi dalej, bo to daje dokładny obraz kliniczny.

— Charakterystyczne jest przytem — mówił dalej



jasnowidz, — że przy pomocy analizy tego poczucia całkowitego otrzymujemy bezwzględnie inny obraz niż ten, jaki daje nam rzeczywistość i doświadczenie. Doświadczenie układa życie z poszczególnych danych: minuty i godziny składają się na dzień, z dni składa się rok. Godziny i dni, to materjał budowlany życia. Człowiek składa się ze swoich doświadczeń, uczuć i manifestacyj. Wszystko tworzy się w nas z małych kawałeczków, które razem wzięte dają coś jakby całość. Ale gdy chcemy sobie tę całość wyobrazić dokładnie, możemy wistocie wyłonić z całości tylko mniejszy lub większy szereg tych kawałków, tylko ślady epizodów, tylko masę szczegółów.

— Dajmy na to pan — zwrócił się nagle do internisty. — Pan jest wdowiec, nieprawdaż? Niechże pan przypomni sobie nieboszczkę żonę, którą pan gorąco kochał i z którą żył pan ćwierć wieku w tkliwej harmonji. A ja panu powiem, co się panu wynurzy z pamięci o niej. Jej śmierć, jej ciężka walka, wobec której stał pan bezradny, przeklinając swą wiedzę. Jej zwyczaj rozcinania książek szpilką od włosów, zwyczaj, z którym walczył pan daremnie. Dzień, w którym pan ją poznał. Szczęśliwy dzień, gdy razem zbieraliście muszle nad morzem.

— Było to w Rimini — rzekł stary pan miękko i machnął ręką. — To była dobra kobieta.

— Była nią istotnie. Ale gdyby pan jeszcze w cią-

gu całych godzin wspominał, nie przyjdzie panu do głowy nic innego, prócz luźnego szeregu coraz dalszych szczegółów, parę zdań, parę obrazków — — — I to wszystko. Tak wygląda pańskie wyobrażenie istoty najbliższej panu.

Stary internista zdjął okulary i czyścił je troskliwie. Chirurg bardzo usilnie dawał oczami jakieś znaki jasnowidzowi. Hallo, dość już tego! Trzeba zawrócić i ruszyć w innym kierunku.

— Dobrze — odpowiedział jasnowidz posłusznie i pełnym biegiem ruszył w innym kierunku. — Doświadczenie może nam dać tylko wyobrażenia. Nigdy nie odczuwamy całego człowieka lub całego życia, lecz właśnie zawsze tylko te luźne cząstki i okamgnienia i jeszcze, żal się Boże, większość ich gubimy. Daremne usiłowania, bo z tego nie da się ułożyć ani wymyślić całości życia! Ale odwróćmy stosunek, odwróćmy go! Spróbujmy wyjść logicznie z wyobrażenia sumarycznego i całkowitego życia, nie rozdzielonego na teraźniejszość i przeszłość!

— To gigantyczne! — zaczął wykrzykiwać, i z nadmiaru entuzjazmu targał się za włosy. — Gdy sobie wyobrazimy rzekę, całą rzekę, nie jej powyginaną linję na mapie, ale sumarycznie i całkowicie, ze wszystką wodą, która kiedykolwiek przepłynęła śród jej brzegów, wyobrażenie nasze obejmie źródło i płynącą rzekę, i morze, wszystkie morza świata, obłoki,



śnieg i parę wodną, oddech umarłych i tęczę na niebie, to wszystko, cały kołowrót wszystkich wód na świecie, będzie właśnie tą rzeką. Jakież to olbrzymie! — szlochał w ekstazie. — Co za wymiary rzeczywistości! Jakież to piękne i miażdżące zarazem, uchwycić wyobrażenie życia, poczucie życia, poczucie człowieka, w jego całości i wielkości życiowej! Nie, nie, nie! — wymachiwał podniesionym palcem — tej całości nie zdołacie rozdrobnić na dni i godziny, nie rozbijecie jej na rupiecie wspomnień! Ale możecie ją rozczłonować w pewne konieczności, w okresy sklepione niby firmament, w związki, które tworzą ład pewnego życia. Niema tu przypadku, wszystko jest konieczne i straszliwie piękne, cała przyczynowość ukazuje się w równoczesności przyczyn i skutków. Niema przymiotów, niema zdarzeń, są tylko siły budulcowe — rzekł, oddychając z ulgą, — których walka i równowaga wytyczyły przestrzeń człowieka.

W kącikach ust miał pianę, a ze wzburzenia stał się taki jakiś chudy, że strach było patrzeć na niego. — No, no, — pomrukiwał internista i wyjął zegarek. — Położyć się na pięć minut i stulić buzię! Zamknąć oczy i głęboko powoli oddychać!

## XIV

Jasnowidz otworzył oczy i odetchnął z głębi. — Czy już mogę mówić dalej? Prawda, że te rzeczy działają człowiekowi na nerwy. — Potarł dłonią policzki. — Dobrze więc, co do tego człowieka, który spadł z nieba... Jak go będziemy nazywali?

— My nazywamy go Przypadkiem X — rzekł chirurg.

Jasnowidz usiadł. — Więc Przypadek X. Dobrze. Jeśli oczekujecie, że powiem wam jak się nazywa, czem właściwie jest i z którego miasta przybywa, to odrazu powiem panom, że tego nie wiem. Są to szczegóły bardzo nieistotne. Przez niemal cały ciąg życia nie interesował się nadmiernie tem, co w danej chwili było jego powołaniem. Mam poczucie ogromnej skali życiowej. W tym człowieku jest dużo przestrzeni, dużo morza, ale podróżnikiem nie był. Rozumiecie, panowie, życiowa przestrzeń podróżnika to coś, co daje się mierzyć, ale tu — — — Brak jakiegokolwiek celu. Niema tu dokładnego punktu, od którego byłoby można wyznaczać oddalenia i kierunki.

Jasnowidz zamilkł z uczuciem niezadowolenia. — Nie, nie, muszę zacząć inaczej. Właściwie powinienbym zacząć od jego śmierci, która dopiero nadejdzie i cofać się wstecz jak powroźnik. Życie Cezara zaczyna się od tego, że narodził się Cezar, a nie dziecko, pomarszczone i krzyczące. Powinniśmy zaczynać od ostatniego tchnienia człowieka, aby pojąć jaki kształt miało jego życie i jakie znaczenie należy przypisać czemukolwiek z tego, co przeżył. Dopiero w śmierci otrzymuje sens młodość i narodzenie człowieka. — Zakręcił głową. — Ale nie mogę i nie mogę tego wyrazić! Cóż to za nędza nasze pojmowanie w czasie!

— Naprzykład — zaczął po chwili nanowo — gdy wam powiem, że nie znał swej matki, będzie to brzmiało jak początek kroniki. Ale dla mnie to nie początek, lecz koniec długiej, uciążliwej drogi powrotnej. Leży teraz nieprzytomny i nie wie już o niczem, ale i pod tą nieprzytomnością, na dnie tej ciemności — głęboko, głęboko w nim, jest samotność, a nad jego nieprzytomnością nie schyla się żaden cień. Skąd się bierze, z czego tryska bezustannie to wewnętrzne osamotnienie? Trzeba się cofnąć i zawrócić ku początkowi rzeczy, aż tam, gdzie jest źródło jego osamotnienia. Był jedynakiem i nie znał matki. Nigdy nie było nad nim takiej ręki, której mógłby się był uchwycić, nikt mu nigdy nie powiedział: — To głupstwo, pocałuję bolączkę i już jej niema! — Dziwne, jak bardzo tego brak w jego życiu! Tego głosu, który zapewniałby go, że to nic, że to przejdzie. Nie krzycz, nie miotaj się i baw się da-

lej. Trzymaj się mnie za rękę i nie bój się. Nie było takiej ręki i dlatego nigdy, rozumiecie, panowie, nigdy nie mógł ująć... — — — Jasnowidz zrobił gest bezradny — Był mocny, ale nie był cierpliwy. Nie miał czego się trzymać.

— Samotność — rzekł potem. — Szuka samotności, żeby nie było ciągłych zatargów między nim i otoczeniem. Próbuje rozpuścić, stopić swoją wewnętrzną samotność niby kawałek lodu, w bezmiernej samotności morza lub obcych krajów. Ciągle musi coś porzucać, żeby opuszczoność jego miała przyczynę zewnętrzną. Wszędzie i stale idzie ona za nim... — — — Spochmurniał.

— Ale gdzież pozostała rodzina? Czemuż to ojciec nie zastąpił mu dłoni matczynej? O to trzeba zapytać jego samego. Musimy przyjrzeć się, co w nim jest właściwie takie wybuchowe i gniewliwe. Ten człowiek nie godzi się z ludźmi i poprostu szuka zwady z nimi. Bezustannie ma wrażenie, że trzeba się bronić, ciągle ma jakieś zatargi — — — Spowrotem! Spowrotem aż ku dziecku, które nie ma matki, a z ojcem toczy milczącą i zaciętą walkę. Ci dwaj ludzie nie mogą zrozumieć się ze sobą. Wdowiec chce rozkazywać i wychowywać za matkę i za siebie, zdwaja swój autorytet i nadużywa go drobiazgowością, przewrażliwieniem i pedantycznemi szykanami. Dziecko buntuje się ciągle, a rewolta utrwala się



w niem jako stały tic moralny. Przez całe życie nie pozbędzie się on tego zatargu ze społeczeństwem, z porządkiem, z karnością, subordynacją i tam dalej. Aż do śmierci zmaga się ze swoim ojcem.

Jasnowidz mówił tonem podrażnionym, z pięściami zaciśniętemi, jakby ta zacięta walka toczyła się w nim samym. — Rzecz osobliwa, jak te przeciwstawne siły, osamotnienie i konflikt, ścierają się ze sobą w życiu tego człowieka! Samotność usuwa zatarg, zatarg przeszkadza samotności. Nie spełni się całkowicie ani to, ani tamto. Pomimo całego swego osamotnienia, nie stanie się on samotnikiem, nie odniesie żadnego zwycięstwa przy wszystkich swoich wzburzeniach i walkach, bo zawsze opanuje go poczucie opuszczoności. Jest melancholijny i nieustępliwy, gwałtowny i bezradny. Możnaby rzec, niestały, ale ta jego niestałość jest uczuciowem wyrównywaniem się dwóch sił przeciwstawiających się sobie.

— Zsumujmy wszystko znajdujące się po stronie tego, co nazwałem samotnością. Marzenie i pragnienie spokoju. Rezygnacja, obojętność, brak woli. Lenistwo i melancholja. Brak celu, bierność i osępiałość. Atonja, owszem. A teraz to, co jest po stronie konfliktu: niezadowolenie, przedsiębiorczość, duch gorączkowy i wynalazczy, próżność, opór i upór, swawolność, wybuchowość i tam dalej. O ile skła-

dacie człowieka z poszczególnych przymiotów, spróbujcie połączyć ze sobą te dwie części! Człowiek jest albo leniwy, albo przedsiębiorczy, albo może prążkowany i tem i tamtem, naprzemian. Prawda? Nigdy nie zrozumiecie człowieka dopóki opisywać będziecie jego przymioty. Niema żadnych przymiotów, są siły, które zwalczają się wzajemnie, biorą górę nad sobą, albo się hamują. A człowiek sam, przeżywając tylko teraźniejszość swoją, nie wie o tem, że drobny ruch, który właśnie wykonywa, jest wynikiem sił, które przenikają całe jego życie, niby pioruny wyrównywujące napięcie między narodzeniem i śmiercią.

— Wyobraźmy sobie człowieka, który błąka się wędrując z miejsca na miejsce, z wyspy na wyspę, jak Bóg da i przypadek zdarzy. Robi to z lenistwa i apatji, szukając samotności i zacisza dla swoich osępiałych marzeń. Lecz to samo może czynić z niecierpliwości, tupiąc nogą na dziobie statku jak ogier tupie w przegrodzie stajni. Oby jak najprędzej być już gdzieindziej, doświadczyć czegoś nowego i znowu rzucić wszystko i biec za czemkolwiek innem! Obie te mapy mogą zgadzać się z sobą bardzo ściśle, ale to są dwa światy, dwa różne wszechświaty. Inny jest świat człowieka, który ścina drzewa, buduje chaty i zakłada plantacje, a inny świat wałkonia, który ga-



pi się na korony palm, przeżywając rozkosz i smutek swego osamotnienia.

— Idąc spowrotem śladami Przypadku X, znalazłem dwa światy zgoła do siebie niepodobne. Przenikały się jedynie, jak przenikają się rzeczy we śnie. Zpoza jednego z tych światów, z za tego, w którym się gorliwie rąbie i ciesze, wyjrzała na mnie twarz świata drugiego, twarz smutna i jakaś osępiała, twarz, która poznała marność wszystkiego. I znowuż poprzez nią przebijała się przestrzeń pierwsza, w której słychać krzyk, gdzie jest rwetes i gdzie się buduje, gdzie powstają spory i zatargi, gdzie ludzie przedsiębiorą wiele rzeczy, Bóg czy djabeł raczy wiedzieć poco i naco? To — — — to nie była rzeczywistość — odetchnął jasnowidz, — to była zmora, to był grymas. Jedną rzeczywistość może człowiek przeżyć, ale dwie rzeczywistości mogą się tylko śnić, a ten, co błądzi równocześnie w dwóch światach, nie ma pod nogami gruntu i wali się w pustkę, w której brak czekogolwiek, czem możnaby zmierzyć wielkość i upadek. Bo i gwiazdy padają równocześnie, gdy pada człowiek. Tak jest, panowie, — wybuchnął jasnowidz — ten człowiek nie był całkiem rzeczywisty i większość swego życia przeżył, jak we śnie.

## XV

Jasnowidz milczał, spoglądając z roztargnieniem i zezowato na końce swych palców.

— Gdzie mieszkał? — zapytał chirurg.

— Okolice podzwrotnikowe — mruczał jasnowidz. — Wyspy. Poczucie bronzowe, coś jakby palona kawa, asfalt, wanilja albo cera murzynów.

— Gdzie się urodził?

— Tutaj, gdzieś tutaj — wskazywał jasnowidz w nieokreślonym kierunku. — U nas, w Europie.

— A czem był?

— Może dozorcą, czy ja wiem? Człowiek, który krzyczy na ludzi. — Zmarszczył czoło, jakby wspominał. — Ale pierwotnie był chemikiem.

— Gdzie?

— Oczywiście, w cukrowni! — odparł jasnowidz, jakby zgorszony, że ktoś może pytać o rzecz tak jasną. — To się zgadza, nieprawdaż? Te dwa różne światy. W zimie kampanja, rwetes, awantury — — — a latem cicho, cukrownia stoi i tylko w laboratorjum pracuje człowiek. Albo marzy. — Wyrysował palcem w powietrzu sześciobok. — Wiecie, panowie, przecie, jak się pisze wzorce chemiczne. Taki sześciokątny smukły wzór, z którego kątów wychodzą znaki, albo promienie, tworzące krzyż i rozwidlające się.

— To formuły strukturalne — objaśniał internista. — Nazywa się to stereochemja. Te wzory przedstawiają poglądowo łańcuchowe powiązanie atomów w molekułach.



Jasnowidz przyświadczył opieszale, jakby kiwnął nosem. Tak jest. Wyobraźcie sobie, że te wzorce układają mu się w jakąś sieć. Spogląda w pustkę jak się te wzory łączą z sobą i przenikają wzajemnie, jak wiążą się i krzyżują. Kreśli to sobie na papierze i wścieka się, gdy mu kto przeszkadza. Zimą, oczywiście, nie, zimą jest praca, gwałt i niecierpliwość... Ale latem — takie fabryczne laboratorjum w słonecznej spiekocie, słodkawy zapach jak po cukrze lodowatym — — — Tam siedzi z otwartemi ustami i gapi się w pustkę na te wzorce. Wygląda to tak, jak plastry miodu i każdy sześciobok łączy się z następnym w długim szergu. Ale to nie płaszczyzna, to przestrzeń o trzech, o czterech wymiarach. Ciągle mu się coś wymyka i w żaden sposób nie może tego wyrysować na płaskim papierze. A spiekota taka wielka, że słychać nawet bzykanie muchy, uderzającej o szkło okna.

Jasnowidz mruga oczami w zamyśleniu i przechyla głowę nabok. — To nie jest jedna jakaś chwila, to tygodnie i miesiące, może nawet wiele lat. Ciągle tworzy ten przestwór chemiczny, budowany z formuł, które uzupełniają się i pasują do siebie. To już nie są rzeczywiste i znane związki chemiczne,

lecz jedynie związki możliwe i fikcyjne, nieistniejące i nowe kompozycje, które mogłyby wypełnić pustkę w chemicznej przestrzeni. Nowe i nieznane izo — — — izomerje i polimerje — wyjąkał, nie wiedząc, czy dobrze się wyraża. Polimerje i poliwalencje, które doprowadzają go do nieprzeczuwanych związków atomów. Marzy o tych domniemanych związkach chemicznych i ich możliwych właściwościach. Są to leki, opalizujące barwy, nieznane perfumy, materje wybuchowe, związki, przy pomocy których możnaby zmienić kształt świata. Zapełnia zeszyt za zeszytem formułami benzolów, kwasów, cukrów i soli, których dotychczas niema, ale które zająć mają swoje miejsca w tej przestrzeni, krystalizującej się chemicznemi wzorcami. Im dalej, tem mocniej przenika go wiara, że można przewidzieć i wyliczyć nieznane molekuły związków, jak Mendelejew wyliczył nieznane atomy pierwiastków. Przy tem wszystkiem dygocze i drży z uciechy, że niweczy i burzy dotychczasową wiedzę — — — Wciąż powtarza się ten motyw zatargu i walki. Rozpoczyna próby i doświadczenia laboratoryjne z tym czy owym przypuszczalnym związkiem materji. Ale doświadczenia się nie udają, fabryczne laboratorjum za małe na to. Łapie tedy pierwsze lepsze dwa wzorce, które zdają się tak przekonywającemi, że tylko zabrać się i zrealizować je technicznie, i jedzie do



znakomitego przedstawiciela wiedzy chemicznej, aby mu je przedłożyć i przekonać go, że są one warte zachodu i doświadczeń, opartych na szerokich podstawach.

Jasnowidz wzruszył śpiczastemi ramionami. — Oczywiście, wynik był nad miarę żałosny. Arcykapłan wiedzy niewielu słowy rozbił przypuszczenia młodego chemika w proch i pył. Nonsens, niemożliwe! Nie zna pan niezawodnie pracy tego i tego, niech pan przeczyta tę a tę książkę, a wkońcu wyraz wielkiej życzliwości: ostatecznie, może pan pozostać u mnie, dam panu jakie zajęcie, naprzykład oczyszczanie knotów u kaganków, albo pilnowanie filtrów. Jeśli będzie pan cierpliwy i nauczy się pracować naukowo...

— Ale Przypadek X nie był cierpliwy i nie chciał nauczyć się pracować naukowo. Bąknął coś i oddalił się, a od ruin swoich pomysłów chemicznych uciekał w takiej panice, że — — — że zatrzymał się aż na skraju cieni, gdzie dobrodusznie i nienaukowo szczerzyły się do niego zęby murzynów.

Jasnowidz podniósł palec. — Aby uniknąć nieporozumienia, trzeba powiedzieć, że ten naukowy bonza postępował właściwie i sprawiedliwie, gdyż bronił wiedzę przeciwko wywrotowcowi. Gotów był pogodzić się z dowiedzionym faktem, ale zasadniczo odrzucał hipotezę, która narazie byłaby wyrządziła

więcej zamętu i nieporządku, niż cokolwiek innego. Musiał więc zgnębić Przypadek X. Wiedzcie, panowie, że w całokształcie życia nic nie dzieje się wypadkowo i byle jak, ale we wszystkiem jest ład i konieczność.

Chirurg przeraził się, spostrzegłszy, że jasnowidz znowuż zawraca do abstrakcyj i dlatego pytał skwapliwie: — A potem przestał być chemikiem?

— Potem już nie był chemikiem — odpowiedział jasnowidz. — Nie było w nim tego głosu, który byłby mu powiedział: — To głupstwo, to przejdzie, baw się dalej. Każde jego rozbicie było ostateczne i nieodwołalne. Gdy niewielu słowy zburzono mu jego chemiczną budowę, powstało w nim przemożne poczucie osamotnienia i opuszczoności. Uważacie, panowie, niemal zadowolenie, że są oto takie ruiny, takie straszliwe zgliszcza. Schował swoje zeszyty, aby do nich już nigdy nie zaglądać i opuścił cukrownię, żeby się ten zamęt jeszcze wzmógł. Sam się przerażał tego poczucia marności i pustki, a jeszcze bardziej przerażało go to, że jest mu tak dobrze w tym zamęcie i w tem zniszczeniu, i zaczął uciekać.

— Był przecie młody — zastrzegał się chirurg. — Czyż nie miał nikogo?

— Miał.

— Dziewczynę, nieprawdaż?



— Tak.

— Kochał ją?

— Tak.

Zapanowała cisza. Jasnowidz, obejmując kolana, spuścił oczy i w podrażnieniu posykiwał przez zęby. — Nie będę przecie mówił wszystkiego — wycedził wreszcie. — Nie jestem kroniką. Oczywiście i w jego miłości było osamotnienie i upór, i napewno zniweczył ją, jak niweczył wszystko: z zaciekłości i dlatego, że uciekał w samotność. Co za spustoszenie! Teraz może się usadowić i patrzeć jakich to ruin sobie narobił. Jako dziecko właził z zaciekawieniem do rupieciarni na strychu. Nikt go tam nie szukał, był tam sam, a jego zaciekłość mijała w osamotnieniu. Rękopis życia jest tu stale jednaki — — I jasnowidz kreślił coś w powietrzu. — Zaciekłość pcha go naprzód, a samotność ciągnie go nazad. Leżałby długo na jednem miejscu, ale pobudza go ochota do walki. Na złość komuś pozostałby na miejscu, ale jego wewnętrzne osamotnienie macha ręką, że wszystko nie zdało się na nic. Pozostaje tylko błąkać się i błądzić.

Jasnowidz podniósł głowę. — Być może iż był on genjalnym chemikiem, być może, iż pomysły jego byłyby wywróciły świat do góry nogami. Ale czyż można sobie wyobrazić, że człowiek jego pokroju miałby cierpliwość, aby krok za krokiem, doświad-

czenie za doświadczeniem i kosztem niezliczonych wszawych pomyłek i niepowodzeń dobić się wreszcie naukowego uznania dla swego układu chemicznego? Stał na progu czegoś wielkiego, ale przerażała go systematyczna, metodyczna orka naukowa, która posunęłaby go o kawałeczek dalej.

— Taki był jego los wewnętrzny, coś, jakby ucieczka przed zadaniem przekraczającem jego siły. Gdyby był pozostał chemikiem, byłby także błądził jedynie, błąkając się śród doświadczeń i fantazyj, od jednej rzeczy ku drugiej, bez celu, zatracając się w przestrzeni zbyt wielkiej. Dlatego ciałem swojem błąkać się musi po morzach i wyspach, aby zastąpić w ten sposób wielkie błądzenie swego ducha. Pan, panie doktorze, — przebódł palcem powietrze w kierunku internisty — mówił o zamianie wyobrażeń. Niechże pan tedy wie, że istnieje także wikaryzacja losów i że czasem nasze zewnętrzne wypadki bywają tylko uzupełnieniem daleko głębszych spraw, które są w nas.

## XVI

Jasnowidz sięgnął po papierosa, chirurg trzasnął zapalniczką i podawał mu ogień. — Muchissimas gracias! — mruczał jasnowidz, pochylając się w głębokim ukłonie. Nawet nie zauważył, że przy tej sposobności chirurg badał poprostu reakcję jego źre-



nic. — To dziwne — mówił, parskając, aby zdmuchnąć z ust źdźbła tytoniu — dziwne doprawdy, jak do człowieka przylega jego środowisko, czyli to, co nazywamy światem zewnętrznym. Środowisko wiąże się z jego wewnętrznem ja daleko potężniej, niż suma czynników, które uwarunkowują jego postępowanie. Wydaje się raczej — mówił zawahany, — że to środowisko wypływa z jego wnętrza, albo też, jak gdyby było uwarunkowane jego życiem, jednem słowem, jakby było... rozwijaniem się przeznaczenia, które jest w nim samym. Tak jest, istotnie, o ile ujmujemy życie człowieka jako całość, a nie jako kolejność przypadków.

— Weźmy naprzykład ten... Przypadek X. Niezwykle przestrzenne wrażenie; jest w nim wiele morza i dużo miejsc. Rozumiecie, panowie, poprostu przestrzennie przy wielkiem mnóstwie samotności, odjazdów i tego niepokoju, jaki odbija się w tem bezustannem uciekaniu z miejsca na miejsce. Człowiek, którego dusza jest skomplikowana, żyje w środowisku skomplikowanem i dziwnem. To gorące w spiekocie słonecznej laboratorjum fabryczne, po którem błąkał się śród wzorców i zwidzeń, jest przeczuciem gorących krain, po których będzie błądził, owiewany zapachem palonego cukru. Gdzie bywał? Mam dokładne i wyraziste wrażenie przestrzenne i powonieniowe. Żar dygocący nad bronzowem po-

lem. Głęboki, wieczny szum, chwilami suchy trzask, gardłowe gaworzenie i skrzeczenie podobne do śmiechu i wymiotowania. Kraina, składająca się z letargu i gorączkowego wzburzenia. I ciągle morze, morze niespokojne i połyskujące. Statki pachnące rozgrzanem drzewem, dziegciem i czekoladą. Gwadelupa, Haiti i Trinidad.

— Co pan mówi? — wyrwał się chirurg.

— Bo co? — pytał jasnowidz pełen roztargnienia.

— Mówił pan Gwadelupa, Haiti i Trinidad.

— Ja? — zdziwił się jasnowidz.—Nawet nie wiem, czy to powiedziałem. Nie myślałem wogóle o żadnych nazwach. — Zmarszczył czoło. — To dziwne, że to powiedziałem. Czy nie zdarzyło się panom czasem, iż uświadomiliście sobie coś dopiero wówczas, gdy rzecz została powiedziana? Chyba tak będzie. Kuba, Jamajka, Haiti, Portorico — wyliczał jak sztubak. — Martynika, Barbados, Antyle i wyspy B — — — Bahamskie! — wyrzucił z siebie z uczuciem ulgi. — Miły Boże, przez ile lat nie wspomniałem o tych nazwach! — ucieszył się. — Ja tak bardzo lubiłem te słowa egzotyczne: Antyle, antylopy, mantyle... — Urwał nagle. — Mantyle, mantyle, zaraz, panowie. Hiszpańskie damy, Kuba — — — Musiał być na Kubie — rzekł z westchnieniem. — Mam takie... poczucie hiszpańskie, nawet nie wiem, jak to nazwać. Coś jakby jakiś romans hiszpański.



— Przed chwilą rzekł pan muchissimas gracias— przypomniał mu chirurg.

— Czyżby- Nawet nie wiem.—Zamyślony zezował boczkiem. — Widzi pan, to także daje... taki osobliwy przestwór. Z jednej strony te rodziny hiszpańskie, arystokracja, proszę panów, świat osobny, tradycja i dostojeństwo, mantyle i krynoliny, albo też amerykańscy oficerowie marynarki... Jak dziwnie kojarzą się te rzeczy! Ile tu różnych ras i dawnych narodów, aż do tych murzynów na porębie, którzy rozszarpują zębami żywe kurczę i mruczą wudu, wudu. Kumkanie i pluskanie parzących się żab, drewniany klekot młyna, mielącego trzcinę, skrzeczenie i chichot mulatek, które w spazmie rozkoszy biją ziemię piętami. Zęby i lśniące ciała... Jaki żar, jaki żar! — mruczał oblany potem tak obfitym, że przestronna pyjama lgnęła mu do pleców. — Furkotanie nocnego motyla, który trzeszczy niesamowicie, gdy wpadnie do ognia. A nad głową Krzyż Południa, podobny do formuły chemicznej i tysiąc gwiazdozbiorów, rysujących na niebie wzorce związków nieznanych o ciężkim zapachu.

— I znowuż — zamachał wyprostowanym palcem — jest to poza nim i w nim zarazem: lenistwo i wielka ruchliwość — ślepa twórcza siła i bierna osępiałość, dwie gorączki, ogień zabijający i twórczy żar. W nim, w nim, wszystko w nim. Znowu te

jakieś żaby, które się parzą z nieskończonej nudy, drewniany młyn rutyny, zwierzęce rżenie, bose łapy kląskające pociemku w pogoni za spoconem i daremnem ukojeniem — — — i straszliwie płonące gwiazdy, a człowiek we wszechświecie przybity do ziemi jak rozciągnięty robak. Albo okręt, który szarpie się na kotwicznym łańcuchu i tępo kołysze się w gęstej wodzie portu. Niecierpliwe pragnienie, by uciec przed temi tęsknotami, przed temi żabami i tym młynem. Poczucie, że wszystko powinnoby być inne, ale że może nie warto się zabierać do walki o zmianę czegokolwiek. Kawały świata albo kawały duszy, to wszystko jedno. Wszystko jedno.

— Był to alkoholik, czy nie? — pytał internista.— Ciężki pijak, prawda?

— Alboż my wiemy — odpowiedział jasnowidz niewyraźnie, — czy człowiek pije z osamotnienia, czy ze złości? Cóż on w sobie uwalnia i roztapia? Lód opuszczoności, czy też wściekły i drgający płomyczek? Ma pan rację, zmarniał zupełnie. Mógł być krzepkim panem o tłustych wargach, zamiast wałkonić się, obrzękły od rumu, albo spalony gorączką jak gont na strzesze. Czemuż nie zrobił sobie złotej kuli, która przypętałaby go do jednego miejsca? Majątek czyni człowieka osiadłym i roztropnym. Mógł być bogaty i bać się śmierci.



— I więcej nic? — pytał chirurg po chwili milczenia.

Jasnowidz zrobił grymas. — Pan chce, żebym sobie coś zmyślił, prawda? Piękną kreolkę, w której był zakochany. Jakąś egzotyczną rewolucję, w której narażałby życie. Drapieżniki i cyklony. Interesujące szczegóły życia pełnego przygód. Żałuję — mówił z ironicznym uśmiechem, — ale zdarzenia to nie moja specjalność. Spoglądam na życie, jako na całość i nie mogę służyć panu ciekawemi przygodami. — Był trochę nadąsany, jak ktoś, komu przerwano wątek. — Ja wiem — mruczał pod nosem — pana interesuje ta blizna na nodze. To nic osobliwego, prosty przypadek. Nie był namiętnym łowcą i nie szukał wzruszeń w niebezpieczeństwach. — Marszczył czoło i kołysał się w wielkim wysiłku wspominania. — Napadł na niego drapieżnik, ścigany przez innych — zawołał wreszcie, rad, że to już załatwione.

— Prawda, że dużo wycierpiał, ale to tylko dlatego, że zrazu był niecierpliwy i gwałtowny. To jest dyspozycja do przygód, jakich nie miewają ludzie ducha spokojnego. Później stał się leniwy i tępy i zaczął porastać w pierze, chociaż o pieniądze nigdy się nie troszczył. Jego włóczęga kończyła się, a miejsce jej zajmowała ospała i ociężała niespokojność myśli. Całemi dniami leżał w pokoju, z ustami roz-

wartemi od gorąca, i wsłuchiwał się w bzykanie much, uderzających o siatkę okienną. Całemi godzinami i dniami gapił się w sufit i w ściany oblepione wzorzystą tapetą. Były to sześcioboki bardzo podobne do plastrów miodu, on zaś umiał przyglądać się im długo, bez myśli i ruchu.

## XVII

— Rzecz osobliwa — rozważał jasnowidz, — jak życie jego zamykało się i niemal wyrównywało w tem poczuciu osamotnienia. Niezawodnie w dzieciństwie jego otaczały go ściany oblepione podobnemi lub takiemi samemi wzorcami i już wtedy było w nim to osamotnienie. Gdyby był głośno zapłakał, niańka jego byłaby pośpieszyła zapytać go, co mu jest. Tylko że teraz była tam taka stara murzynka z piersiami długiemi i mlaszczącemi przy poruszeniu, jak śnięte karpie. Całe to życie mogłoby być tylko marzeniem obstawionem temi regularnemi rysunkami. Któż to wie, jak długo trwa sen, może godzinę, a może tylko sekundę. Wszystko inne przybywało właściwie tylko poto, aby naruszać tę drętwą samotność odosobnionego dziecka. Ojciec ze swojemi napomnieniami, szkoła, młodość, cukrownia i ta bieganina, miły Boże, ta niepotrzebna i zbędna bieganina! Jakaś olbrzymia, pomarańczowo-zielona i nakrapiana pluskwa łazi po wzorcach tapety, ale nie idzie prosto przed siebie, jakby chciała dokądś do-



trzeć, lecz biegnie szybko to tu, to tam, na chwilkę przystanie i znowu pędzi gdzieindziej. Przygląda się jej całemi godzinami i jest zbyt leniwy, aby wstać i zrzucić ją. A następnie, tak, jeszcze to wściekłe i drażniące bzykanie muchy, która uderza głową o siatkę okienną.

— To już wszystko. Ale to, co dociera tutaj z zewnątrz, gadanie murzynów, turkotanie młyna, suchy chrzęst palm, szelest znoszonych snopów trzciny, trzaskanie słonecznego żaru i różne tysiączne szmery i odgłosy, to nic osobliwego, to tylko pozór czegoś. Można przymknąć oczy i wsłuchiwać się, jak to wszystko spływa w nic.

— W tym stanie letargicznym wpadł mu do rąk kawał papieru, czy zeszyt, strzęp jakiejś specjalnej publikacji, czy coś takiego. Odwraca kartki tego zeszytu bez jakiegokolwiek zainteresowania i oczy jego zatrzymują się na wzorcu sześciokątnym, z którego odwidlają się promienie oznaczone literami atomowemi. Co z tem zrobić? Co z tem zrobić teraz? Już tak dawno temu, gdy zajmowały go właśnie takie rzeczy! Ale rysunki tapety przemieniają się w chemiczne formułki i wyglądają tak, jakby spoglądały na niego z grymasem ironji. Znowu bierze do ręki ów kawał papieru i studjuje ze zmarszczonem czołem ten wzorzec, sylabizuje litery i przedziera się przez uczony tekst. Nagle siada, zrywa się, biega po

pokoju i pięścią tłucze się w głowę. Tak, tak, przecie to ten sam wzorzec, ta przeklęta formuła chemiczna, z którą wtedy — przed dwudziestu przeszło laty, ach tak, jaki kawał czasu, Chryste Panie! — jeździł do arcykapłana chemji! Gdyby pan, panie profesorze, raczył zezwolić na podjęcie pracy laboratoryjnej — na większą skalę — nad tym przewidywanym związkiem. Podniósł zjeżone brwi — co za długie kudły! — nonsens, niemożliwe! Nie zna pan niezawodnie tego i tego autorytetu, nie czytał pan takiego a takiego dzieła. Dowiodłem już dawno, że grupa benzolowa i tam dalej.

— Przypadek X biega po pokoju i chichocze rozdrażniony. A tu oto jest to samo czarne na białem i podpisane przez jakiegoś Amerykanina, oczywiście. I że są w tem nieprzeczuwalne możliwości przemysłowe — — — Przypadek X przystaje jak przybity do ziemi. A przecie to był tylko jeden człon w łańcuchu możliwości, tylko jeden czworobok w budowie. Wzorzec łączy się z wzorcem niby komórki w plastrze miodu, według praw geometrycznych. Ale tamci o tem nie wiedzą — śmieje się Przypadek X — na ten koncept nie wpadli. On zaś ma wszystko powypisywane i nakreślone w swoich zeszytach, poukładanych w pewnej skrzynce, która znajduje się znowuż w jakiejś rupieciarni. Było tam tyle popsutych zabawek i sukien po matce! Może to wszystko



już dawno pożarły termity! Nie, tam niema białych mrówek, tam pozostało wszystko w takim samym stanie, jak niegdyś...

Jasnowidz siedząc na łóżku, zaczął się kołysać całym kadłubem. — Siedzi tedy nasz Przypadek X, kołysze się i z wielkim wysiłkiem wspomina jakie były te inne wzorce i jak tam było dalej. Ale już jest jakiś zgłupiały od pijaństwa, i nieróbstwa, i od wieloletniej samotności. Wali pięścią w ten uczony papier, jakby go chciał przymusić do uległości, ale cóż robić, cóż robić, z tą tępą zdrętwiałą głową!

— Zamiast chemicznych wzorców przed oczy nasuwa mu się Krzyż Południa, Eridanus, Centaur i Smok. Jeszcze próbuje machnąć na to wszystko ręką, ale tkwi w nim to straszliwe i drętwiejące napięcie. I nagle jest! Spływa na niego jak błyskawica! Pojadę do domu i odszukam te zeszyty! Jak gdyby wszystko z niego spadło, doznaje uczucia niezmiernej ulgi. Wstał tedy, musze, która wściekle i rozpaczliwie tłukła się o siatkę, otworzył okno, i uwolnił też pluskwę, bezradnie biegającą po tapecie.

Jasnowidz z głową przechyloną nabok zdawał się rozkoszować tym obrazem. — Jakie to dziwne — zauważył, — że tę samą rzecz można opowiedzieć na dwa zgoła różne, a jednak zgodne ze sobą sposoby. Jeśli Przypadek X zdecydował się na powrót tak pośpieszny, to powiedzielibyście, panowie, tak sa-

mo, jak on, że uczynił to dlatego, iżby mu nie skradziono jego własności duchowej. Zaczął się strasznie bać o swoje zeszyty, gdy spostrzegł, że posiadają one pewną wartość. Oczywiście, można na tem zrobić duże pieniądze. Zapewne, że i ta strona sprawy nie była obojętna Przypadkowi X, który już nie był młodzikiem, ale przedewszystkiem działał tu bodziec własności, chodziło o jego rzecz. Na jego ja spoczął ten ostry akcent, który nie omija żadnego z ludzi. Bronimy swojej rzeczy, swego prawa, swego dzieła tak popędowo i wściekle, jakbyśmy bronili własnego życia.

— Z drugiej jednak strony — wywodził jasnowidz i przechylił głowę ku drugiemu ramieniu, jak gdyby w ten sposób zyskiwał lepszy punkt widzenia — są to bodźce momentalne, czy też aktualne, możnaby rzec proste preteksty dla zrealizowania pewnych zamiarów. Jeśli spojrzymy na Przypadek X z wyżyny całości jego życia, rzeczy przedstawią się inaczej. Nie chodziło li-tylko o jego własność duchową, lecz o coś ważniejszego i większego: o jego powinność, od której uchylił się niegdyś tem, że pozwolił się pobić. Porzucił wtedy zadanie, które przerastało jego siły i odwrócił się od niego. Od owego czasu żył życiem marnem i nieswojem, życiem błędnem. Możnaby rzec, że zbił się z drogi. Tak jest, to się nazywa tragiczną winą i jest nią naprawdę, cho-



ciaż Przypadek X nie mógł był postąpić inaczej. I teraz oto wraca, albo powiedzmy, że jego życie wewnętrzne zawraca go na drogę, z której zeszedł, ponieważ nie miał cierpliwości i woli, aby kroczyć nią dalej. Powraca jako człowiek organicznie zmarnowany, zatruty upojeniem znużenia, ale dojrzały. Teraz już zna straszliwą i nieustępliwą powinność życia, bo czuje, że winien umrzeć. Koło się zamyka i wszelka konieczność się dopełnia.

— A więc pragnął wrócić—przypomniał po chwili chirurg jasnowidzowi.

— Tak, ale przedtem trzeba było załatwić jeszcze to i owo: sprzedać majątek i tam dalej. Im więcej gromadzi się tych przeszkód zewnętrznych, tem gwałtowniej zagęszcza się w nim jego niecierpliwość. Podczas gdy dni upływają, pośpiech jego staje się wprost spazmatyczny. Wściekłe pragnienie powrotu doprowadza go do szału, każda minuta staje się dla niego nieznośną męką. Wreszcie poprzerywa wszystko i poprzecina i rzuci się w drogę powrotną tam, skąd wyszedł.

— Statkiem? — pyta chirurg.

— Nie wiem. Ale nawet gdyby był leciał na promieniu światła, to i taki lot wydawałby się mu nieznośnie długi, i nawet wówczas w niepoczytalnej furji niecierpliwości zaciskałby paznogcie w dłonie.

Zaiste, powrót jego był nieskończenie szybki, jak spadanie w przepaść.

— Patrzyłem na mapę — dodał chirurg. — Mógł był lecieć via Floryda, Kanada, Europa, albo via Port Natal, Dakar, Europa. Ale co za przypadek, że mógł był znaleźć samolot gotowy do lotu?

— Przypadek? — mruknął jasnowidz. — Niema przypadków. Było konieczne, aby leciał tak szybko. Pozostawia za sobą ognistą linję, jak meteor.

— A dlaczego spadł?

— Już był w domu. — Jasnowidz podniósł oczy.— Rozumie pan, musiał spaść. Nie byłby mógł zrobić już nic. Dość na tem, że wrócił.

## XVIII

Cóż robić, cóż robić, gdy serce tak słabnie! Bije szybko, coraz szybciej, ale ciśnienie krwi opada. Dalekoż do tego, że z cichutkiem czknięciem stanie to serce umęczone i koniec? Koniec Przypadku X. Któż to postawił mu przy łóżku bukiecik kwiatów?

— Podobno teraz mają przeciwko żółtej febrze nowe serum — odezwał się sławny internista. — Ale skąd brać takie rzeczy u nas, prawda? Zresztą umrze na osłabienie serca i nawet święty Boże nie pomoże.

Siostra miłosierdzia przeżegnała się.

— Ten pański jasnowidz — mówił dalej stary koryfeusz wiedzy lekarskiej, siedząc na krawędzi łóżka — to ładny psychopata. Ale jego opis tych kolejnych stanów samotności i podrażnienia, był bardzo zajmujący. Świadczyłoby to o cyklicznej kolejności stanów depresji i podniecenia człowieka niezrównoważonego. To nam doskonale maluje dzieje Przypadku X.

— Cóż my o nim wiemy? — wzruszył chirurg ramionami.

— Coś-niecoś, kolego, jednak wiemy — rzekł internista. — To ciało mówi dużo. Naprzykład, że bawił w krajach podzwrotnikowych długo, ale że się tam nie urodził. Przechodził bodaj wszystkie choroby tropikalne, ergo nie był zaaklimatyzowany. Proszę was, czemu uciekał w takie przeklęte dale?

— Nie wiem — mamrotał chirurg. — Ja nie jestem jasnowidz.

— Ja także nie, ale jestem doktór — rzekł starszy pan troszkę podrażniony. — Patrzcie, kolego, przecie to był cykliczny neurotyk, człowiek rozdwojony wewnętrznie, łatwo poddający się depresjom...

— O tem powiedział wam ten wieszcz — zażartował chirurg.

— Zapewne, ale odruchy rzepkowe też coś mówią. Hm, co to ja chciałem powiedzieć — — — Aha, taki cyklotymik łatwo popada w zatarg ze swojem środowiskiem lub powołaniem, złość bierze w nim gó-

ręę, więc rzuca wszystko i ucieka. Gdyby był fizycznie słabszy, możeby się biernie podporządkował, ale ten człowiek był pod względem fizycznym taki rozwinięty... Czy kolega zwrócił uwagę?

— Oczywiście.

— Jego reakcje musiały być nienormalnie gwałtowne, poprostu wykolejające. Jako lekarz, nie powinienbym mówić takich rzeczy, ale słabość fizyczna jest dla wielu ludzi czemś w rodzaju mądrych i delikatnych pęt. Ludzie tacy instynktownie hamują swoje reakcje, ponieważ boją się rozbicia. Ale ten tu nie musiał być taki ostrożny w postępowaniu i dlatego odważył się łatwo na skok aż do Indyj Zachodnich. Prawda?

— Służąc w marynarce — przypomniał chirurg.

— I to wskazuje na obsesję włóczęgową, czy nie? Jak kolega raczył zauważyć, jest to ciało człowieka wykształconego. Ten Przypadek nie urodził się jako włóczęga, a jeśli stał się marynarzem, czy poszukiwaczem przygód, to świadczy to o strasznym jakimś przełomie w jego życiu. Co to mógł być za zatarg? Wszystko jedno, czy taki, czy owaki, był on uwarunkowany poprostu jego konstytucją.

Internista pochylił się nad manometrem do mierzenia ciśnienia krwi, przymocowanym do ramienia nieprzytomnego. — Kiepska sprawa — westchnął, — opada; to potrwa już niedługo. — Tarł



koniec nosa i z żalem spoglądał na to nieruchome, słabo i urywkowo oddychające ciało. — Dziwię się trochę — rzekł — tam są przecie doktorzy dość dobrzy, ci kolonjalni. Że też pozwolili tej framboesji tak go stoczyć. Mieszkał niezawodnie gdzieś na uboczu, skąd do doktorów było daleko. Być może, że nacierał go swemi maściami jaki czarny uzdrawiacz na Haiti, czy indziej. Tak, tak, moi kochani, to nie było życie cywilizowane. Nie. — Zatrąbił w chustkę do nosa i troskliwie ją zmiął. — Dzieje życia. Tak, to i owo daje się odczytać. — Starszy pan kiwał głową w zadumie. — I pił, musiał zapewne pić aż do utraty przytomności. Wyobraźmy sobie w tym klimacie, w tym gorącym zaduchu — — — To nawet nie było życie, to była półświadomość, jakieś majaki i błądzenie poza rzeczywistością — —

— Mnie najbardziej zaciekawia — rzekł chirurg w nagłym i niezwykłym przypływie rozmowności — dlaczego właściwie powracał, dlaczego śpieszył się tak straszliwie. Już to daje do myślenia, że leciał podczas takiej wichury, jak gdyby nie mógł poczekać — — — A następnie to, że przywiózł sobie tę żółtą febrę. Na cztery, czy pięć dni przed tym wypadkiem musiał być gdzieś w krajach podzwrotnikowych, prawda? To znaczy, że musiał — — — czy ja wiem, przesiadać z samolotu na samolot... Doprawdy, dziwne. Ciągle myślę o tem, co to mu-

siała być za gwałtowna przyczyna, żeby wracać z takim pośpiechem. I bęc! Zabija się w całym tym rozpędzie.

Internista podniósł głowę. — Uważajcie, kolego, — — — on byłby musiał umrzeć i tak, choćby nie był spadł. Nadchodził powoli jego koniec...

— Dlaczego?

— Cukier, wątroba — — — a głównie to serce. Tu nie dałoby się już nic zrobić. E, panie kolego, nie takie proste wziąć i wrócić. Przecie to kawał świata. Starszy pan wstał. — Niech mu siostrzyczka zdejmie ten sfygmometr. No, wrócił i już jest jakby w domu. Teraz już nie zbłądzi, idzie drogą zupełnie pewną. Prawda, człowieku?

*

* *

— Kochany Doktorze,

niechże pan w wolnych chwilach przeczyta sobie te kilka ćwiartek papieru, które załączam. Zgóry uprzedzam pana, że dotyczą one człowieka, który spadł z nieba i którego w szpitalu nazwał pan Przypadkiem X. Radził mi pan, żebym o nim już nie myślał; nie usłuchałem pana, a następstwem tego nieposłuszeństwa są załączone kartki. Gdyby na tabliczce nad głową miał był wypisane imię, albo też gdybyśmy o nim byli wiedzieli choć cośkolwiek, nie byłoby mi przyszło do głowy zajmować się nim



specjalnie. Ale jego fatalne incognito nie dało mi spokoju. Z czego sam pan wywnioskuje, jakie zewnętrzne i przypadkowe są przyczyny, które pobudzają nasze myśli.

Od owej chwili myślałem o nim bezustannie, co w języku literackim oznacza, że układałem o nim opowiadanie, jedno z tysięcy opowiadań, których nie napisałem i nie napiszę. Ciężki to i brzydki nałóg spoglądać na ludzi, jako na objekty możliwych przygód. Jak tylko dopuści pan do swej myśli możliwość, jest pan zgubiony. Otwiera pan, jak to się mówi, naoścież drzwi swej fantazji. Nic panu nie zabrania zmyślać cokolwiek, bowiem dziedzina możliwości jest niewyczerpana i od każdej twarzy ludzkiej, od każdego zdarzenia fantazja leci w bezkres z miłą, niepokojącą swobodą. Ale, baczność! Halt! Ledwo człek puści się w tym kierunku, spostrzega, że i tą drogą fikcyj trzeba iść z pewnością siebie, badając i sprawdzając każdy krok. Otóż to! Trzeba sobie poprostu łamać głowę, aby ustalić, która możliwość jest najbardziej bliska i prawdopodobna. Trzeba ją podpierać wiadomościami i dowodami, trzeba walczyć ze swoją własną fantazją, bacząc, aby nie zboczyła z tej tajemnej i prawdziwej drogi, którą nazywamy prawdą. Co za błazeństwo, wysysać prawdę z palców! Co za nonsens zmyślać ludzi i zdarzenia, a potem postępować z nimi jak z rzeczy-

wistością! Wypiszę tu panu zdanie podyktowane metafizycznem szaleństwem: możliwość, która śród wszystkich innych byłaby jedynie możliwa, byłaby rzeczywistością. Otóż idée fixe fantastów: gonić rzeczywistość ścieżkami złudy. Jeśli pan sądzi, że na to wystarcza wytwarzanie złud, to pan się myli. Manja nasza jest bardziej upiorna: próbujemy dotrzeć do samejże prawdziwej rzeczywistości.

Jednem słowem przez trzy dni (włączając w to i sen z jego sennemi marzeniami) starałem się realizować pewne życie, które zmyśliłem sobie od a do zet. Nie napiszę tego zdarzenia, jak nie napisałem mnóstwa innych, ale chcę go się pozbyć — — — Pozatem pan sam zbudował mego bohatera z bandaży i waty i dlatego zwracam go panu. Nie mówię już o tem, iż pan sam radził mi puszczać bańki mydlane. Bańka niniejsza mogła być bardzo tęczowa, ale czasy nasze są podobno zbyt poważne, abyśmy mogli fascynować się patrzeniem na płonące i zmienne kolory życia.

*

*    *

Chirurg z nieufnością przerzucał kartki rękopisu swego przyjaciela poety, gdy w tem otworzyły się drzwi i na progu ukazała się siostra miłosierdzia, robiąc głową milczący znak, który oznaczał niezawodnie salę numer szósty. Chirurg rzucił rękopis i pobiegł za siostrą. Więc już się stało.



Trochę spochmurniał, gdy spostrzegł, że na krawędzi łóżka Przypadku X siedzi młody długowłosy asystent (jakoś mu się ci interniści bardzo tutaj rozplenili!) i ściska przegub ręki nieprzytomnego. Młodziutka piękna pielęgniarka, która też nie należy do tego oddziału, niezawodnie nowicjuszka, widzi tylko ten długowłosy łeb doktorski i mało sobie oczu nie wypatrzy — — —

Chirurg chciał powiedzieć coś niebardzo uprzejmego, ale asystent, który go nie widział, podniósł głowę. — Puls niewyczuwalny. Postawcie tu, siostrzyczko, parawan!

## XIX

## OPOWIADANIE POETY.

Przypomnijmy najprzód zdarzenie, które stało się bodźcem do rozwijania dalszego szeregu zdarzeń. Chcąc-niechcąc, musimy zacząć od końca, jeśli mamy dojść do ładu z tem opowiadaniem.

W upalny wietrzny dzień spadł samolot. Pilot zginął w płomieniach, pasażer odniósł śmiertelne rany i leżał nieprzytomny. Niepodobna opędzić się od tłumu ludzi, którzy w obrazie wypadku zbiegają się ze wszystkich stron do kupy zgliszcz. Są jacyś

ożywieni, iż stali się świadkami katastrofy, drętwieją ze zgrozy i wszyscy razem radzą, co należałoby zrobić. Ale nikt się nie kwapi, aby podnieść nieprzytomnego, bo wszystkich pęta zgroza i fizyczna odraza. Dopiero, gdy nadchodzą żandarmi, w chaos ten wkracza ład i porządek. Żandarmi szczekają na ludzi i posyłają tego tam, owego owdzie. Rzecz osobliwa, jak ludzie niby to się ociągają, ale w gruncie rzeczy chętnie słuchają rozkazów. Biegną więc po strażaków, po doktora, telefonują po ambulans, podczas gdy żandarmi zapisują świadków, a tłum w milczeniu pełnem szacunku przestępuje z nogi na nogę, albowiem uczestniczy oto w czynnościach urzędowych.

Nigdy nie byłem przy takiem nieszczęściu, ale jestem niem przejęty odrazu, staję się jednym z przygodnych świadków, biegnę spocony miedzą, żeby znaleźć się w pobliżu, starannie omijając obsiane zagony (pochodzę ze wsi), drętwieję i radzę, wyrażam pogląd, że pilot widocznie nie zatrzymał motoru i że ogień należałoby gasić piaskiem.

Wszystkie te szczegóły zmyślam całkiem marnotrawnie i bezinteresownie, albowiem nie nadają się ani do tego, ani do żadnego innego opowiadania. Ba, nawet wobec znajomych nie mogę się pochwalić, że widziałem wielkie nieszczęście. Pan nie ma ani za grosz fantazji i dlatego powiedziawszy „biedak!“



— uważał pan, że tem słowem wszystko jest wyczerpane i załatwione, nie mówiąc, oczywiście, o zabiegach doktorskich.

Co za rzeczowa i prosta reakcja, podczas gdy ja rzucam się w straszliwe i dręczące szczegóły, które sobie odtwarzam. Niekiedy miewam uczucie wstydu, widząc innych ludzi tak prosto i po ludzku reagujących na różne przypadłości życia, gdy dla mnie są one tylko bodźcem do rozpoczynania upartej ruchliwości.

Nie wiem dokładnie, czy jest w tem niepowściągnięta skłonność do igrania, czy też przeciwnie, osobliwa i pedantyczna ścisłość. Ale — powracając do naszego zdarzenia — śmiertelny upadek człowieka otoczyłem tylu obrazami pełnemi zgrozy i groteskowości, że ze wstydu i żalu za grzechy odwołuję ze skruchą wszystkie zewnętrzne ozdóbki i szczególiki swego opowiadania, któremi malowałem upadek archanioła z przetrąconemi skrzydłami. Pan załatwia te rzeczy prościej. Powie pan „biedak!“ i słowem tem czyni pan jakby święty znak krzyża nad miejscem nieszczęścia.

Być może, iż wywód ten wydaje się panu nieco mętny. Fantazja sama w sobie zdaje się być immoralną i okrutną, jak dziecko, znajdujące upodobanie w okropnościach i śmiesznościach. Jakże często fikcyjne postacie swoje wiodłem drogami niedoli

i poniżenia, abym mógł litować się nad niemi tembardziej! Tacy już jesteśmy, my wyrobnicy fantazji: aby uczcić lub ocenić człowieka, narzucamy mu ciężkie przeznaczenie, zwalamy na niego walki i zgryzoty w mierze przeobfitej.

Ale czyż w tem właśnie niema naprawdę chwały życia? Człowiek, który chce pokazać, że nie żył napróżno i jałowo, kiwa głową i mówi: dużo przeżyłem i przecierpiałem. Panie doktorze, rozdzielmy dokładnie swoje zadania: podczas gdy pan w imię powołania swego i miłości zdejmować będzie z człowieka jego boleści i naprawiać jego braki, ja z miłości ku człowiekowi otaczać go będę udrękami i będę się gmerał w jego ranach, nie mając dla nich balsamu peruwiańskiego. Pan będzie głaskać bliznę, która się ładnie i czysto zagoiła, podczas gdy ja mierzyć będę głębokość rany. Wkońcu może się jeszcze okazać, iż i ja gładzę cierpienie tem, iż oznaczam miarę bólu.

Staram się wytłumaczyć literaturę za jej upodobania w tragizmie i wyśmiechu. Jedno i drugie jest wybiegiem, wynalezionym przez fantazję, która swemi nierealnemi środkami wytwarza iluzję rzeczywistości. Bo rzeczywistość sama w sobie nie jest ani tragiczna, ani śmieszna; jest zbyt poważna, aby mogła być jednem lub drugiem. Współczucie i śmiech to tylko wstrząsy, któremi komentujemy zdarzenia



zewnętrzne i towarzyszymy im. Niech pan wywoła takie wstrząsy sposobem jakimkolwiek, a wywoła pan równocześnie wrażenie, że rozegrało się coś rzeczywistego, tem rzeczywistszego, im mocniejszy jest dany cios uczuciowy.

Miły Boże, jakież to triki i chwyty zmyślamy sobie my specjaliści fantazji, aby jak najmocniej i jak najniemiłosierniej wstrząsnąć zatwardziałą duszą czytelnika! Kochany doktorze, w pańskiem stateczneym i sumiennem życiu niewiele jest miejsca dla współczucia i śmiechu. Nie rozdygocze się pan nad straszliwym obrazem człowieka oblanego krwią i nie będzie się pan rozczulał, lecz otrze pan krew i zrobi co potrzeba. Nie będzie się pan rozkoszował śmiesznością człowieka oblanego sosem, lecz zwróci mu pan uwagę, aby się otarł, czem stłumiony zostanie burzliwy śmiech ludzki i skasowane będzie zdarzenie, które go wywołało.

Otóż my zmyślamy zdarzenia, których pan nie może skasować, do których nie może pan wtrącić się skutecznie. Są one nienaprawione i niezmienne jak dzieje świata. Niech pan odrzuci tę książkę lub też niech pan się podda wstrząśnieniom, które zastawiamy jak sidła, i niech pan szuka za niemi rzeczywistości, która im odpowiada.

*

* *

A oto wnioski techniczne, które wynikają z przytoczonych wywodów. Gdy kroczę drogą fantazji, to wybieram zdarzenie wstrząsające i niepowszednie. Jak rzeźnik ocenia bydlę, tak ja oceniam zdarzenie, czy jest dostatecznie i wydatnie wykarmione przez sensację. Oto mamy tu upadek człowieka, wir straszliwy i błyskawiczny, nad którym nie można przejść obojętnie. Dalibóg, że to całkiem beznadziejny kawał chaosu. Cóż można zrobić z tych strzaskanych skrzydeł i podpórek, jak i co tu złożyć jeszcze raz, żeby to złożone nanowo mogło latać przynajmniej jak lata papierowy latawiec, którego sznurek mógłbym trzymać w ręku? Na to można tylko patrzeć, sykając ze zgrozy, albo też postąpić jak solidny i stateczny człowiek, mówiąc poprostu: „biedak!“

## XX

O fantazji mówią, że brak jej stateczności, że lata jak szalona. Być może, że bywa taką w niektórych wypadkach sensacyjności (nie mających jednakże nic wspólnego z prozą piękną), ale daleko częściej pędzi ona bystro, a jednocześnie uważnie, jak pies gończy, tropi węchem świeży ślad. Aż dyszy nadmiarem gorliwości, szarpie się na smyczy i z całej siły pociąga nas za sobą. Pan jest łowcą i wie, że tropiący wyżeł w swym kluczącym biegu nie rozprasza się, ale przeciwnie, trzyma się tropu z zainteresowaniem namiętnem i wytrwałem. Muszę panu powiedzieć, że należycie rozwinięta fantazja nie jest bynajmniej jakiemś nieokreślonem marzeniem, lecz przeciwnie czynnością niezwykle upartą i namiętnie zmierzającą do pewnego celu. Zatrzymuje się wprawdzie i kluczy niekiedy, ale tylko wtedy, gdy zachodzi potrzeba stwierdzenia, że zbiła się z drogi, wiodącej ku temu, czego szuka. Dokądże tak pędzisz, ty roznamiętniona suko, co gonisz, do jakiego zmierzasz celu? Co znowu za cel? Biegnę za czemś i nie wiem jeszcze gdzie się z tem czemś spotkam.



Proszę mi wierzyć, że pisanie powieści jest czynnością przypominającą daleko żywiej łowy, niż naprzykład budowanie świątyni według planów zgóry ustalonych. Do ostatniej chwili natykamy się na niespodzianki zdumiewające poprostu. Docieramy do miejsc nieoczekiwanych, ale to tylko dlatego, że uporczywie i niezmiennie pędzimy w jakimś szale za tropem tego czegoś żywego, czego właśnie szukamy. Ścigamy białego jelenia, a przytem, jakby mimochodem odkrywamy nowe krainy. Pisanie to poszukiwanie przygód i już nic więcej nie powiem na pochwałę tego powołania.

Nie możemy zbłądzić dopóki wierni jesteśmy swemu tropowi. Nawet gdyby wędrówka nasza prowadziła na Szklaną górę albo gdyby nas wiodła

ognistemi śladami spadających gwiazd, kierunek nasz byłby dobry, chwała Bogu, i nie potrzebowalibyśmy się obawiać, iż zgubiliśmy drogę. Nie będę tu mówił o trwodze, jakiej doznajemy, gdy gubimy prawdziwy trop, o tych pieskich i bezradnych próbach odnalezienia drogi właściwej; o niesławnych powrotach ze zmęczoną i zawstydzoną suką, która wlecze się za nami, zamiast biec naprzód.

W gruncie rzeczy możemy więc powiedzieć: do djabła z fantazją! Nie zdała się nam na nic i nie doprowadzi nas do niczego, jeśli nie jest cała rozdygotana gorączką zainteresowania. Niechże się odrazu położy i leży, jeśli nie ma wypisanej przed sobą drogi niewidzialnej i jeśli wysunięty język jej nie drży z niecierpliwego postanowienia dotarcia aż do końca drogi.

To, co nazywamy talentem, bywa najczęściej zainteresowaniem albo opętanem pragnieniem iść za czemś żywem, za zwierzyną zgubioną na szerokim świecie. Drogi człowiecze, świat jest wielki, większy od naszego doświadczenia. Zbudowany jest z garstki faktów i z całego wszechświata możliwości. Wszystko, o czem nie wiemy, istnieje jako możliwość, a każdy fakt, to jeden z paciorków w różańcu poprzednich i następnych możliwości.

Trudna rada, jeśli idziemy śladem człowieka, to musimy zapuścić się w ten świat domysłów, musimy



tropić jego możliwe ślady minione i przyszłe. Musimy ścigać go swą wyobraźnią, jeśli ma nam się ukazać w swej niewidzialnej żywotności. Rzecz to zupełnie obojętna, czy jest on całkowicie zmyślony, czy też całkowicie rzeczywisty. Może to być Ariel czy też wędrowny sprzedawca sznurowadeł. I jeden i drugi stworzeni są z czystej i niewyczerpanej materji możliwości, w której mieści się wszystko, a więc i to, co rzeczywiście istnieje. To, co nazywamy zdarzeniami prawdziwemi lub rzeczywistymi ludźmi, to dla nas jedna z tysiąca możliwości, i może nawet nie jest to możliwość najlogiczniejsza i najważniejsza. Wszelkie doświadczenie nasze to tylko przypadkowo otwarta karta lub mimochodem przeczytane słowo w Sybillińskiej księdze mądrości. Ale my chcemy wiedzieć znacznie więcej.

Próbuję powiedzieć panu możliwie poglądowo, że jeśli jesteśmy wiedzeni wyobraźnią, to przekraczamy próg jakiejś nieskończoności. Jest to próg świata nieograniczonego rozmiarami naszego doświadczenia, świata daleko większego od naszego poznania i obejmującego daleko więcej, niż nam jest wiadomo. Zapewniam pana, że w tę bezgraniczną krainę nie odważylibyśmy się wkroczyć, gdybyśmy w nią nie wpadli prosto na łeb, ścigając coś, co się ukrywa przed nami. Gdyby duch kusiciel namawiał nas np.: teraz zmyśl cośkolwiek, zmyśl byleco — by-

libyśmy zmieszani i może cofnęlibyśmy się ze zgrozą wobec nicości i bezsensowności tego zadania. Strach nie pozwoliłby nam puścić się bez celu i kierunku na to Mare tenebrarum.

Zadajemy sobie pytanie: co upoważnia człowieka, który nie chce być uważany za głupca, albo oszusta, iżby zmyślał coś, czego niema? Jest tylko jedna odpowiedź, na szczęście jasna i nie pozostawiająca żadnych wątpliwości: Dajcie mu spokój, bo to, co czyni, czynić musi. Nie swawola go prowadzi, ciągnie go jakaś siła, pędzi go za czemś, a jego kręta droga jest drogą konieczności. Nie jego, ale Boga zapytajcie, co to jest konieczność.

*

* *

Zastanawiam się, dlaczego przejąłem się losami człowieka, który spadł z nieba. Czemu nie zainteresowałem się Arielem, albo Hekubą? Co mi do Hekuby! Ale może mi się zdarzyć, iż przez niejaki czas mogłaby mi ona być wszystkiem, na czem człowiekowi może zależeć i że potykałbym się z nią, iżby mi błogosławiła, jak Anioł Jakóbowi. I dostąpiłbym łaski, iż odnalazłbym w sobie życie starej i od płaczu obrzękłej baby. Dajmy zresztą spokój tej Hekubie! Jest to poprostu lekkomyślnością z mej strony, iż nie okazuję jej więcej zainteresowania, ale jak już powiedziałem, kłopoczę się teraz człowiekiem, który nie doleciał do wytkniętego sobie celu. Być może, iż odpowiedzialność za to spada na pana. Rzekł pan mianowicie ze swoją zwykłą rzeczowością: Czemu u djabła wybrał się w drogę w taką wichurę!

A tak! Czemu u djabła, u wszystkich djabłów, u całego piekła djabłów, leciał podczas takiej wichury? Jakaż to musiała być przemożna i nieodparta przyczyna, iż przedsięwziął lot tak bezsensowny? Czyliż niema tu o czem rozmyślać i nad czem się zastanawiać? Gdy się człowiek zabija, wówczas mówimy o przypadku, ale nie jest przypadkiem, jeśli wybiera się w drogę wbrew największym przeszkodom. Jasne jest, że dla jakichś powodów musiał lecieć i oto nad szczątkami, które mogły przypominać jedynie połamane zabawki i nic pozatem, sklepiło się wielkie wydarzenie, złożone z przypadku i konieczności. Konieczność i przypadek, to dwie nogi trójnoga, na którym zasiada Pytja. Trzecią nogą jest tajemnica.

To pan pokazał mi człowieka bez twarzy i imienia, człowieka nieprzytomnego. Oto ostatni paszport życia, a kto się nim nie może wylegitymować, jest Nieznany w najbardziej surowem i najchmurniejszem znaczeniu słowa. Czy nie miewał pan męczącego poczucia, gdy się pan nad nim pochylał, że jesteśmy wobec niego zobowiązani poznać go? Widziałem to poczucie w pańskich oczach. Żeby się dowiedzieć przynajmniej kim jest i dokąd zmierzał z ta-

kim pośpiechem! Może uda się nam oznajmić, że doleciał aż dotąd i w ten sposób zdołamy spełnić swój ludzki obowiązek.

Nie jestem taki ludzki, jak pan. Nie myślałem o jego sprawach ziemskich, ale opętała mnie wobec niego namiętność detekcji. A teraz już nie powstrzyma mnie nikt i nic. Bywajcie tu sobie zdrowi, ja muszę podążyć w jego tropy. Skoro jest taki nieznany, ja go sobie zmyślę, będę go szukał w jego możliwościach. Pyta pan, co mi do niego? Gdybym ja wiedział! Wiem tylko tyle, że jestem nim opętany.

## XXI

Użyłem wyrażenia „namiętność detekcyjna" i uważam, że jest ono trafne. Ale ta namiętność powstała we mnie całkiem przypadkowo i dzięki okoliczności tak błahej, że wypadłoby wstydzić się za to. Wtedy, gdy przywieziono tego poranionego, powiedział pan, że papiery jego niezawodnie spłonęły i że w kieszeniach jego nie znaleziono nic prócz garści drobnych. Były tam jakieś pieniądze francuskie, angielskie, amerykańskie i holenderskie dubbeltje. Ta kolekcja drobnych zaskoczyła mnie. Możnaby wprawdzie przypuścić, że ów człowiek bawił w danych krajach i że pozostawił sobie w kieszeni drobiazg, którego nie zdołał wydać. Ale ja sam, ilekroć podróżowałem, starałem się na granicy pozbyć się za wszelką cenę



pieniędzy kraju, który opuszczałem; po pierwsze dlatego, że wiedziałem, iż później nie zdołam ich wymienić, a po drugie dlatego, iż nie chciałem, żeby mi się plątały po kieszeniach. Przyszło mi do głowy, że ów człowiek przywykł do tych różnych pieniędzy i że mieszkał niezawodnie w krajach, gdzie te monety były w obiegu. I jednocześnie powiedziałem sobie: Antyle, Portorico, Martynika, Barbados i Curaçao. Amerykańskie, brytyjskie, holenderskie i francuskie kolonje z walutami krajów macierzystych.

Gdybym miał objaśnić psychologicznie ten przeskok myślowy od garstki pieniędzy do Indyj Zachodnich, to ułatwiłyby mi to wspomnienia.

1. Wiał ostry wiatr, który przypominał mi orkan. Skojarzenie z wyspami Zacisznemi i ze sławną karybską strefą cyklonów.

2. Byłem rozstrojony, niezadowolony i zły na siebie i swoją pracę. Stąd obrazy włóczęgi i ucieczki. Tęsknota za dalekiemi i egzotycznemi krajami: u mnie zazwyczaj za Kubą, wyspą mej nostalgji.

3. Natrętna i poniekąd zawistna myśl o tem, że ten człowiek leciał skądś zdaleka. Mimowolne skojarzenie zdarzenia z poprzedniem mojem usposobieniem.

4. Wreszcie zdarzenie samo, ten wypadek lotniczy, sensacja pobudzająca niemal przyjemnie, a za-

razem ochota ozdobienia jej domysłami romantycznemi. Jest to wprost typowe, że katastrofy oddziaływują na naszą wyobraźnię fabulacyjną.

To wszystko przygotowało we mnie ów (jak teraz widzę, bardzo powierzchowny) domysł, że garstka znalezionych u niego pieniędzy wskazuje na wyspy zachodnio - indyjskie. Owej chwili byłem wprost olśniony swoją przenikliwością detektywną i uważałem za rzecz nie ulegającą najmniejszej wątpliwości, iż człowiek ten przybywa prosto z Antylów. Zadowalało mnie to i wzruszało głęboko. Gdy mnie pan prowadził do łóżka Przypadku X, byłem przekonany, iż idę spojrzeć na człowieka, który przybywa z moich uczuciowych Antylów. Nie powiedziałem panu o swojem odkryciu, bo się bałem, że pan się żachnie wzgardliwie z lekceważącem wzruszeniem ramion, jak to już bywa pańskim niemiłym zwyczajem. Nie chciałem, aby pan powątpiewał o słuszności mego przypuszczenia, w którem się akurat zakochiwałem.

Ten człowiek był straszliwy w swojej nieprzytomności. Był nieludzko i surowo tajemniczy w tych bandażach, które na twarz jego włożyły maskę milczenia i obcości. Ale przedewszystkiem był to dla mnie człowiek z Antylów, człowiek, który tam był. To rozstrzygnęło o mej postawie wobec niego. Od tej chwili stał się on moim Przypadkiem X i ja miałem rozwiązać sprawę jego tajemnicy. Ruszyłem tedy za nim, a była to, panie doktorze, droga długa i bardzo zygzakowata.



Oczywiście, teraz już się przy niczem nie upieram. Teraz rozumiem bardzo dobrze, że to, co uważałem za świetny dowód mej wnikliwości, było w gruncie rzeczy kaprysem, w którym znalazłem upodobanie. I dlatego nie mogę już napisać swego opowiadania. Mogłoby się wszak pokazać, jeśli się dotychczas nie pokazało, że ten człowiek jest poprostu komiwojażerem z Halle nad Salą, albo jakim przeciętnym Amerykaninem, który wmawiał w siebie, że kupiec tak przedsiębiorczy jak on, nie ma czasu czekać choćby dwadzieścia cztery godziny na zmianę pogody. Co za dziwactwa! Mogę zmyślać, co mi się podoba, ale tylko za cenę własnej wiary w te zmyślenia. W chwili, gdy zaczyna się chwiać ufność moja, iż naprawdę mogło tak być, fantazja moja przedstawia mi się jako żałosna i dziecinna fuszerka. Tak więc, teraz już jest po odprawie, mościa pani fantazjo, daremnie tropiłaś i węszyłaś na lewo i naprawo, udając, że znalazłaś ślad, którego już niema, albo który zgubiłaś na rozstajnych drogach możliwości. Jeszcze udajesz, że szukasz, bo ci zależy na powadze, jeszcze się rzucasz to tu, to tam, i starasz się wmówić w siebie i w innych, że już-już wiadomo gdzie należy pójść. No, dajmy spokój! Niema nic!

Fantazja spogląda psiemi oczami, jakby mówiła: Czyliż to moja wina? Tyś pan, rozkazuj! Powiedz mi, dokąd mam pójść, pokaż mi, czego chcesz.

I teraz ja sam muszę szukać drogi i muszę szukać dowodów, dla których mam iść tędy, a nie tamtędy. Miły Boże, dowodów! Motywacyj! Prawdopodobieństwa! Co za głupstwa! Nawet pies gończy nie uwierzyłby mnie i sobie, że tu o coś chodzi naprawdę, że tu jest coś takiego, czy owakiego. Wraca się tedy z pustemi rękoma. Rzecz osobliwa, jakie dziwne poczucie osamotnienia jest w niepowodzeniu.

Przyznam się panu, iż trzeba, żeby się opowiadanie rozleciało, jeśli mamy poznać z czego się ono składa. Dopóki jest całe i żywe, chciałoby się w upojeniu pracy przysięgać, że wszystko w niem jest szczerze naturalne i że niema w niem nic sztucznego. Pisze się samym instynktem, chociaż nie wiadomo poco i naco. Wszystko jest tylko imaginacją i intuicją. Dopiero gdy robótka rozleci się panu na kawałki, spostrzega pan, czem jej pan pomagał i w jaki sposób popychał pan zdarzenia swoją wyobraźnią. Cóż to za dziwaczna mieszanina! Przecież zewsząd wyłażą najaw jak szydła z worka argumenty logiczne i celowe konstrukcje. Wszystko jest jak w maszynce! Wszystko, niemal wszystko, jest jakieś chciane i wykombinowane, wszystko jest montażem i spekulacją.



Wydawało mi się, że wszystko przychodzi jakby samo przez się, niby w żywym śnie, a tymczasem była to robota zaciętego inżynierskiego myślenia, które bada i odrzuca, wiąże i przewiduje. I w chwili, gdy wszystko jest martwe i porozkładane na części, ukazują się druty, wiązadła, cała ta rutyna i czujność pracy rozumowej. I dodam jeszcze, że maszyna połamana jest równie straszliwa i że jest taką samą otchłanią nicości, jak rozkładające się życie.

Ale nawet żal zmarnowanej pracy nie dorówna smutkowi, jaki nas opanowuje nad ruinami opowieści. Czyż nie wiecie, dobrzy ludzie, że w tych ruinach jest pogrzebane życie ludzkie? Dopieroż mi wielkie rzeczy, powie pan może, przecie to życie było tylko fikcją, było takiem sobie gadaniem dla zabicia czasu. Ach, drogi panie, dziwna to rzecz, ale nie jest bynajmniej takie pewne, że wszystko było tylko zmyśleniem. A gdy patrzę na te sprawy nieco uważniej, powiedziałbym, że to jest moje własne życie. To jestem ja. Ja jestem i morzem i człowiekiem co nad niem leci; ów pocałunek, który odzywa się niby westchnienie, idące z ciemnego cienia ust, jest mój. Ten człowiek siedział pod latarnią morską na Hoe, bo ja sam siedziałem pod tą latarnią na Hoe, a jeśli mieszkał na Barbadosie, czy Barbudzie, no to dzięki Bogu i chwała Bogu, że nareszcie dotarłem tam i ja.

Wszystkiem jestem ja sam. Niczego nie zmyślam, lecz jedynie wyrażam to, czem jestem i co jest we mnie. A gdybym nawet pisał o Hekubie, lub o wszetecznicy babilońskiej, to i tak pisałbym tylko o sobie. Ja sam byłbym tą staruszką, która płacze i rozdrapuje pomarszczone worki swych piersi, byłbym niewiastą miażdżoną włochatemi ramionami Assyryjczyka, człowieka z brodą namaszczoną olejkami. Tak jest, mężczyzną, i kobietą, i dzieckiem. I niechże pan wie: to jestem ja! To ja jestem tym człowiekiem, który nie doleciał.

## XXII

No, dosyć będzie tej przedmowy, a teraz możemy wałęsać się swobodnie drogami, na których powstawało moje opowiadanie. Wiemy, że mamy tylko człowieka, który nie doleciał i że jego upadek był, jak już powiedziano, patetycznem wydarzeniem, złożonem z przypadku i konieczności. Ponieważ nie wiemy nic bliższego, zróbmyż z tego punkt wyjścia, albo ślad, za którym pójdziemy. Spróbujmy budować to określone przeznaczenie z dwóch zasadniczych czynników, z przypadku i konieczności, aby ostateczny upadek człowieka wynikał z nich przyczynowo i prawidłowo.

Niechże pan przyzna, że ten początek obiecuje niemało. Przypadek, który oznacza swobodę i przygody, igrający i nieobliczalny przypadek, ten róg obfitości i czarodziejski dywanik fantazji, co za opalizująca i bajeczna osnowa, pozbawiona jakiegokolwiek ciężaru i powtarzania się, rozciągliwa i niewyczerpana w swych tajemnicach materja, z której zbudować można wszystko. Są to skrzydła, które doniosą nas gdziekolwiek. Czy jest coś poetyczniejszego od przygody? A przeciw niej staje konieczność, zawoalowana Parka, siła trwająca i niezmienna. Konieczność, która jest ładem i porządkiem, piękna jak kolumnada i niezawodna, jak ustawa prawna.

Tak już jest. To właśnie to, za czem tęsknię. Za przypadkiem, który zaniósłby mnie dokądkolwiek, mnie niezdecydowanego piecucha, zakotwiczonego ciężarem zadu przy stole. Za przypadkiem pełnym szybkich przygód, za zdyszanym trzpiotem, któryby mnie porwał, by kręcić się ze mną. Starzejemy się, przyjacielu, i przyswajamy sobie życie niby nudne przyzwyczajenie. No tak, ale co jest z tem drugiem, bezwarunkowem i nieustępliwem? Obyż życie moje było przeniknięte koniecznością, obyż kiedyś danem mi było poczuć jasno i wyraźnie, że we wszystkiem, co czynię, dokonywa się pewien ład, i obym mógł powiedzieć: chwałaż Bogu, uczyniłem tylko to, co mi było przeznaczone.

Otóż znowu to samo: tym człowiekiem, kierowanym koniecznością i przypadkiem, będę ja sam. To ja pójdę drogą błędną i nieodmienną i za każdy

krok zapłacę udrękami, jakie tylko zdołam zmyślić, albowiem taka pielgrzymka nie jest wycieczką dla przyjemności.

A więc w imię Boże, zabierzmy się do dzieła, a gdy nie będziemy wiedzieli co robić dalej, niechaj nas wspomaga konieczność albo przypadek. Od czego zacząć? Co napisać, jako pierwsze słowo o człowieku z Antylów? Zacznijmy od początku: Był chłopiec, który nie miał matki.

Kiepsko, bo cóż powiedzieć dalej? Przypadek X nie ma przecie ani twarzy, ani imienia, nie ma identyczności, jest Nieznany. Jeśli mu damy dom rodzinny, będziemy go znali, że tak powiem od lat dziecinnych. Przestanie być nieznany i straci to, co jest w tej chwili jego rysem, najmocniej i najściślej określającym. Jeśli ma zachować podobieństwo, trzeba uszanować jego incognito. Niechże więc będzie człowiekiem bez pochodzenia i legitymacji. Trzymajmy się tego, użyjmy za punkt wyjścia to, co wiemy. Spadł z nieba sam, co dla niego jest niezawodnie charakterystyczne. Trzeba więc, aby i w naszem opowiadaniu do pewnego stopnia spadł z nieba, żeby się nagle i niespodzianie wynurzył, djabli wiedzą skąd, stworzony przez przypadek, odrazu całkiem gotów i doskonale nieznany.

Mamy więc osobę i jej przyjście. Miejsce, na którem ukaże się nam ona, jest zgóry ustanowione.



Miejscem tem jest Kuba, chociaż mogłaby to być którakolwiek inna z wysp Antylskich, ba, mogłoby to być którekolwiek miejsce na świecie, byle było dostatecznie oddalone. To oddalenie zostało nam narzucone tem, iż leciał, a my nie wiemy skąd. Jest to miejsce dalekie i mniej więcej egzotyczne, właśnie dlatego, iż jest nam nieznane.

Te drobne, które znaleziono w jego kieszeni, wskazują na wyspy Antylskie. Oczywiście, jest jeszcze jedna kraina, gdzie sąsiadują z sobą posiadłości brytyjskie, amerykańskie, francuskie i holenderskie: są to wybrzeża morskie w okolicach Filipinów, Annamu, Singapuru i Sumatry, a w gruncie rzeczy nic nie wyłącza tych okolic. Trzeba było wszakże wybierać, więc wybrałem Antyle z pobudek najwidoczniej osobistych. Powiedziałem już, że mają dla mnie coś specjalnie czarującego. A następnie tam gdzieś jest miejsce mojej ucieczki. Być może, iż noga moja nigdy tam nie postanie, ale jest to kraina, która istnieje dla mnie potężniej, niż kraje, w których bywałem.

Taki więc, zgrubsza, jest punkt wyjścia naszego opowiadania. Chodzi jeszcze tylko o ustalenie termini ad quem. Jest nim, rzecz prosta, upadek człowieka, który nie doleciał. Lecz nastręcza się ważne pytanie: czy leciał dokądś ku jakiemu nowemu celowi, czy też powracał? Wiemy tylko tyle, że strasz-

nie się śpieszył, bo leciał podczas ostrej wichury. Możemy twierdzić naogół, że człowiek, zmierzający ku nowym warunkom istnienia i ku rzeczom, które mu nie są znane, nie jest wolny od pewnej chwiejności, czy nawet niepokoju, który go hamuje. Natomiast człowiek powracający jest raczej niecierpliwy, a ponieważ dobrze zna cel, przeto lekceważy drogę, która do niego prowadzi.

Powiedziałbym więc, że ten człowiek śpieszył tak bardzo dlatego, iż powracał i przyjmuję to za rzeczywistość prawdopodobną. Nie mówiąc już o tem, że człowiek, który leci dokądkolwiek, mógłby wybrać kierunek dowolny, bowiem nieograniczona jest liczba możliwości i wyobrażalnych celów śród których można wybierać jak się komu spodoba. Inaczej postępuje człowiek, który wraca, gdyż może zmierzać tylko do pewnego oznaczonego miejsca; jest to jedyne wyobrażalne miejsce śród wszystkich miejsc, wyznaczone od samego początku, konieczne i niezmienne. Droga powrotna to ta, która jest ściśle wyznaczona. Dopiero to wyznacza zakończenie naszemu opowiadaniu, a tem samem możemy zacząć od początku.

Początek jest mętny i niejasny jak przypadek. Jest to sobie gdzieś na Kubie między żywopłotami pełnemi kwitnących bougainvillej. Kogoś gonią, trzaskają rewolwerowe strzały i na drodze, podobnej do drogi mlecznej leży nieznany człowiek z krwawiącą raną karku. Jest to rana zadana szerokim nożem, jakiego używa się do ścinania trzciny cukrowej.



*

* *

Doczytawszy do tego miejsca, chirurg zasapał nieuprzejmie i rzucił rękopis na stół. Nonsens! Na karku nie miał żadnej blizny. Była jedna blizna nad prawą brodawką, lecz zadana została nie szerokim nożem, ale sztyletem. Rana płytka, bo sztylet zatrzymał się na kości żebrowej.

## XXIII.

Jest to sobie gdzieś na Kubie między żywopłotami pełnemi kwitnących bougainvillej. Kogoś gonią, trzaskają rewolwerowe wystrzały i na drodze, podobnej do drogi mlecznej, leży nieznany człowiek z krwawiącą raną karku. Jest to rana zadana szerokim nożem, jakiego używa się do ścinania trzciny cukrowej. O jakie dziesięć metrów dalej leży inny człowiek z ramionami i nogami szeroko rozrzuconemi, niby pajac. Ten jest zabity.

Trzej ludzie, klnący zcicha, pochylają się nad człowiekiem poranionym, ale oto on sam już podnosi głowę i mamrocze: — Czego właściwie chcecie? Nie popychajcie mnie, caballero! — Dotyka karku

i krzywi się, spogląda na zakrwawioną dłoń i na trzech otaczających go ludzi. Matko Boska, schłał się jak nieboskie stworzenie!

— Skąd nam się ten cymbał przypatoczył — irytuje się jeden z nich i drapie się po głowie. — Que mierda! Dalej, chłopcy, zanieśmy go do domu! — Chłopcy podchwytują go za ręce i nogi i wloką go, szurgając trzewikami. Nie troszczą się o to, że zad poranionego wlecze się drogą i zostawia na niej ślad niby wór kukurydzy. Sapią i wloką tego włóczykija mleczną drogą. Ktoby się tam kłopotał o to, że sobie zedrze zad, moczymorda!

Kładą go u drzwi, jakaś stara babina świeci mu w oczy i dowołuje się wszystkich świętych, a pan domu, widać wielki pan, jeśli można wnioskować według jego sinego i szerokiego pyska, równie wściekłego, jak ściągnięte brwi, pochyla się nad całą grupą i powiada: — Któż mi tu podrzuca taką świnię?

Ten, co się drapał po głowie, mruga bardzo wymownie na pana ze ściągniętemi brwiami. — Wielmożny panie, żeby nie uciekł. Gdy ten kawaler stąd wyszedł, słyszeliśmy strzelaninę na dworze. Poszliśmy zobaczyć co i jak, a tam leżał ten właśnie dago i trzymał w ręku rewolwer. O parę kroków dalej leżał tamten nieszczęśliwy pan. Już nie żyje. Boże bądź mu miłościw!



Dwaj inni słuchają z otwartemi gębami, jakby chcieli coś prostować. Pan badawczo patrzy na nich. — Wiecie napewno, że tamten nie żyje?

Ów wysoki peon przeżegnał się. — Jak cielak, wielmożny panie. Musiał dostać najmniej ze trzy kule w potylicę. W ręku miał nóż... Niezawodnie bronił się nożem, kiedy ten bandido napadł na niego. Otóż ten zabójca chciał uciekać, ale myśmy go przytrzymali. Jesteście świadkami chłopcy, prawda? No dalej, ryczcie, byki!

Tamci dwaj dopiero teraz zrozumieli o co chodzi i zaczęli uśmiechać się całą gębą. — Święta prawda, wielmożny panie. Jak Bóg nad nami, było tak, a nie inaczej. Chciał zwiać, gdy zastrzelił tego kawalera. I miał w ręku rewolwer.

— Należałoby wezwać policję, żeby go sobie zabrała — mówi drągal i wypatruje zgody pana.

Pan głaszcze dłonią siną brodę i medytuje spochmurniały. — Nie, Pedro, (czy też Salvatorze — imię niezdecydowane) — tego nie zrobimy. Gdyby go policja poszukiwała... — wzruszył ramionami. — Ale specjalnie robić tego nie będę. Byłoby to niebardzo przyzwoite. Zamknijcie go tu w jakiej komorze i dajcie mu się napić.

Drągal podniósł ręce do góry. — Wielmożny panie, taki pijany, że o świecie bożym nie wie.

— Dajcie mu się napić — powtórzył pan niecierpliwie. — A tymczasem nie gadajcie o nim niepotrzebnie. Zrozumiano?

— Rozumiemy, wielmożny panie, i życzymy panu dobrej nocy. A temu tu nalać rumu w gębę, żeby sam nie wiedział, kim jest. Co taki włóczęga ma się wałęsać koło domu naszego pana i wtykać nos w jego sprawy prywatne! Wprawdzie nie jest podobny do mieszańca, ale czy to nie wszystko jedno? Kto wie, co to za Hollandese, czy przeklęty Yankee, sądząc wedle tego, jak się urządził. Gluk-gluk, bratku, jeszcze w nim jest trochę miejsca, dajcie mu jeszcze, żeby z niego wypędzić resztę pamięci.

Było z tego wszystkiego delirium i człowiek trząsł się rozdygotany jak w ataku zimnicy. Zaś baba, która przedtem świeciła mu w oczy, nosi teraz wodę w niepolewanym dzbanie i robi okłady na twarz nieprzytomnego. (Motyw nieprzytomności na początku jak i na końcu. Koło się zamyka). Jest to metyska, zapewne z jakichś okolic Meksyku. Ma suchą podługowatą twarz klaczy i smutne oczy, mrugające troskliwie i po ludzku. — Biedak! — powiada i owija tę ciężką głowę w mokre, chłodzące szmaty. Przysiadła w kucki i mruga, mrug-mrug-mrug, tak regularnie, jakby na posadzkę z cegieł padały krople wody.



Trzydzieści i sześć godzin trwa ta nieprzytomność czy też sen. Chłopisko leży z tym łbem omotanym mokremi szmatami i nie wie o niczem. Czasem podchodzi do niego ów drągal i kopnie go. — Ej ty, przeklęte pieskie ścierwo, wstawaj! Należałoby go, wielmożny panie, zanieść nocą gdziekolwiek, i niech go sobie, Panie odpuść, djabli wezmą!

Pan kręci głową. A juści. Zabierze go sobie policja i zaczeka, aż ten zacznie gadać. Nie, nie. Gdy się zbudzi, sam z nim pogadam, a potem się zobaczy. Potem się zobaczy.

Nareszcie drgnęła ręka i chce przetrzeć czoło. Są na czole jeszcze te mokre szmaty, a gdy się je odgarnie, pozostaje pod niemi coś takiego, czego zetrzeć nie można. Człowiek siada i twardo trze czoło. Zawołajcie pana, pan chciał z nim porozmawiać!

Pan z wielkiemi brwiami (jakiś wielki pan zdaje się!) mierzy badawczem okiem tego oberwańca. Nie, to nie Hiszpan, bo troszczyłby się więcej o swoje trzewiki. Gdyby nawet miał już tylko jeden rękaw u koszuli, trzewiki musiałyby polśniewać, jak pomarańcze.

— Como va? — pyta pan.

— Muchas gracias señor.

— Yankee?

— Yes, sir. No, sir.

— Jan pan się nazywa?

Człowiek trze czoło. — Nie wiem, panie.

— W jaki sposób pan się tu dostał? — sapnął Kubańczyk, podrażniony odpowiedzią.

— Nie wiem, panie. Byłem zapewne pijany. Prawda?

— Znaleźli u pana rewolwer — natarł na niego Kubańczyk.

Człowiek kręci głową. — Nie wiem, nie wiem nic. Nie mogę sobie nic przypomnieć... — Twarz wykrzywiła mu się od wysiłku i zaniepokojenia. Wstał i zrobił kilka kroków. — Nie, nie jestem pijany... Mam tylko — — — jakby obręcz dokoła głowy. — Szukał czegoś po kieszeniach. Kubańczyk zaproponował mu papierosa. Kiwnął tylko głową. Gracias. Jakby się to rozumiało samo przez się. Nie, to nie jest jakiś szczur portowy. Gadajcie sobie, co chcecie, widać po nim pana. Naprzykład jego ręce. Brudne, aż strach, to prawda, ale jak zgrabnie trzymają tego papierosa! Jednem słowem: caballero. Kubańczyk zmarszczył brwi. Z włóczęgą sprawa byłaby łatwiejsza i gdyby doszło do rozprawy, któryż sędzia uwierzyłby włóczędze?

Człowiek zaciąga się chciwie i medytuje. — Nie mogę sobie niczego przypomnieć — rzekł i w zakłopotaniu zaczął się uśmiechać. — Co za dziwne uczu-



cie! Głowę mam przecie jasną, a jednocześnie jakby zupełnie pustą. Jak wybielony pokój, do którego ma się dopiero ktoś wprowadzić.

— A może wie pan przynajmniej kim pan był?— pomaga mu Kubańczyk.

Człowiek spojrzał na swoje ręce i ubranie. — Nie wiem, panie, ale według mego wyglądu — — — Dymem i papierosem wyrysował w powietrzu coś jakby zero. — Nie wiem nic — rzekł swobodnie. — Nic, nic nie przychodzi mi do głowy. Może później zdołam sobie przypomnieć...

Kubańczyk przyglądał mu się uważnie i badawczo. Widział twarz nieokreśloną i jakby obrzękłą, z wyrazem wesołości czy też uczuciem ulgi.

## XXIV

Doskonale! Znowuż przypadek utraty pamięci, znowuż jedna z tych literackich amnezyj, którym zawdzięczamy tyle romantycznych i wzruszających nowel. Wzruszam razem z panem ramionami nad tą całkiem już banalną intrygą, ale niema rady. Jeśli bohater ma pozostać nieznany, trzeba koniecznie skasować jego identyczność i odebrać mu jego papiery, powypruwać monogramy, przedewszystkiem zaś usunąć jego pamięć, albowiem pamięć jest ma-

terją, z której jest w nas utkana nasza własna tożsamość.

Zniwecz, przyjacielu, swą pamięć, a będziesz człowiekiem, który spadł z nieba, który przybywa znikąd i nie wie, dokąd zmierza. Staniesz się Przypadkiem X. Człowiek, który stracił pamięć, podobny jest do kogoś, kto stracił przytomność. Nawet gdyby mózg jego był nadal jasny i normalny, byłoby tak, jakby opuścił grunt rzeczywistości i żył poza nią. Trzeba wiedzieć, że bez pamięci nie istniałaby dla nas nawet rzeczywistość.

Jako lekarz ocenił pan niezawodnie fakt, że nasz przypadek utraty pamięci przychodzi po ostrem zatruciu alkoholem i po fizycznym wstrząsie, spowodowanym ową nocną przygodą. Upadł, uderzając głową o ziemię i stało się. Ze stanowiska lekarskiego niema zastrzeżeń przeciwko urazowi psychicznemu jako następstwu tego wstrząsu. Mamy tu czynnik przypadku, z którym się liczymy, ale sprawa jest zbyt ważna, aby mogła być pozostawiona przypadkowi, więc jeśli ma on nas zadowolić, to musi być konieczny i przyczynowy. Przypadek X ucierpiał skutkiem wstrząsu psychicznego i musiał stracić pamięć z przyczyn, które nazwiemy wewnętrznemi. Była to dla niego jedyna droga możliwa, jedyne wyjście, by wydostać się z samego siebie. Było to coś, jakby ucieczka w inne życie. Jak to się właściwie stało, o tem doczyta się pan dalej. Narazie chciałem jedynie zwrócić uwagę pańską, że mamy tu do czynienia z przyczynami głębszemi i prawidłowszemi, niż przypadek.



Ale być może, że i ta ucieczka z własnej tożsamości jest przejawem naturalnej ludzkiej tęsknoty. Stracić pamięć to tak samo, jakby się zaczynało całe życie zupełnie odnowa. Przestać być tem, czem byliśmy, to jest, przyjacielu, jakby wybawieniem. Może się panu już kiedy śniło, że znalazł się pan w obcym sobie świecie, gdzie nie można było porozumieć się ani przy pomocy mowy, ani przy pomocy pieniędzy. Nie stracił pan wprawdzie swej tożsamości, lecz ona nie zdała się panu na nic. Pańskie wykształcenie, pozycja społeczna, imię i wszystko, co wogóle składa się na nasze obywatelskie ja, nie zdało się panu na nic i był pan tylko obcym człowiekiem na ulicy obcego miasta. Może przypomina pan sobie, że w takich chwilach przyjmował pan wszystkie wrażenia z jakąś osobliwą i niemal marzenną intensywnością. Pozbawiony wszystkiego przypadkowego, był pan już tylko człowiekiem, tylko podmiotem i wnętrzem, oczyma i sercem, podziwem, bezradnością i poddaniem się konieczności. Niema nic lyryczniejszego, nad zgubienie samego siebie.

Przypadek X, który zgubił samego siebie tak zu-

pełnie, że nawet nie wie, kim jest, będzie właśnie takim zdumiewającym się człowiekiem. Życie będzie go omijało niby halucynacja, wszyscy ludzie będą mu nieznajomi, wszystkie rzeczy staną się dlań nowe. Ale przy tem wszystkiem spoglądać będzie na cały świat niby przez zasłonę stałego wspominania, uświadamiania sobie, że wszystko to już skądciś zna i że to przeszło już kiedyś przez jego życie, ale gdzie i kiedy to było, mój Boże? Będzie się ciągle znajdował w jakimś stanie półsnu, choćby robił nie wiem co i daremnie wyławiać będzie strzępy rzeczywistości z wiecznego przepływu zjawisk. Aż dziw, jak dalece świat się dematerjalizuje, gdy człowiek traci pamięć!

Jedna rzecz domaga się pewnego wyjaśnienia, a jest nią specjalne zainteresowanie się Kubańczyka Przypadkiem X. Nie sądzę, aby go był zatrzymał w domu swoim jedynie jako ciekawe zjawisko psychologiczne. Przypuszczam raczej, że mu nie dowierzał jako przygodnemu świadkowi owego nocnego morderstwa. Zrazu przypuszczał zapewne, że ta utrata pamięci jest elegancką formą szantażu: jeśli się ze mną odpowiednio ułożysz, to pamięć moja pozostanie w stanie zamroczenia: co się stało, to się stało, ja o niczem nie wiem. Ale, niech pan dobrze uważa, żeby się pamięć moja nie poprawiła. Pozatem mógł był przypuszczać jeszcze i to, że Przypadek X dopu-



ścił się gdzieś czegoś grubego przeciwko prawom obowiązującym i jest zainteresowany, aby zasłonić swoją tożsamość, albo też aby na wszelki wypadek mieć pod ręką dowód, że jest niecałkiem zdrowy na umyśle.

Dlatego Kubańczyk postępował z nim ostrożnie i nie przestawał go bacznie obserwować. Ale i wówczas gdy sto razy przekonał się, że gość jego utracił pamięć niewątpliwie i ostatecznie, pozostała w nim obawa, że pewnego dnia ta pamięć zbudzić się może i że przemówi. Uważał więc, że daleko lepiej przywiązać go do siebie, tembardziej, iż dzień za dniem potwierdza się spostrzeżenie pierwotne, że jest to człowiek uprzejmy i grzeczny.

Nie trzeba przecie dowodzić specjalnie, że znajomość języków obcych może być bardzo przydatna, osobliwie, gdy ktoś chwała Bogu, ma stosunki handlowe bardzo rozległe, a mianowicie od Caracasu aż po Tampico. Trzeba przecie dogadać się jakoś z Anglikami, Francuzami, Holendrami i z tymi drabami ze Stanów Zjednoczonych, którzy, niech ich djabli wezmą, nigdy nie nauczą się po hiszpańsku. A i ci ludzie w dalekim Hamburgu także mają pretensję, żeby do nich pisywać w jakimś ich własnym języku.

Kubańczyk zastanawiał się nad tem bardzo często, żując czarne cygaro, grube jak banan. Miał własne

swoje cygara i sam doglądał, gdy mulatki zwijały je dla niego na swoich krągłych i młodych udach. Dobierał swoje cygara podług dziewcząt, a raczej, ściśle mówiąc, według długości ich ud. Im dłuższe nogi, tem dziewczęta lepiej są zbudowane, a cygara tem lepiej zwinięte. Gdy więc przekonał się, że człowiek, którego przyjął do domu, umie w owych obcych językach nietylko mówić i pisać, lecz także wymyślać (bardzo często zdarzało się, że do domu Kubańczyka przybywali różni uprzykrzeni agenci i Kubańczyka zmierziło już powtarzać im za co ich uważa, skoro i tak go nie rozumieją), uradował się tem odkryciem i zaproponował mu miejsce u siebie. Z jednej strony stosunek ich wzajemny był czemś jakby umową dwóch rzezimieszków, tyle w nim było ludzkiej serdeczności. Aby wszakże usunąć wszelką możliwość nieporozumienia, trzeba powiedzieć, że Kubańczyk był patrycjuszem, członkiem starego rodu z Camaguey, jakich nazywa się Camagueyno. Niegdyś hodował w sawannach bydło, ale gdy później pokazało się, że w tych czasach niegodziwych nie wystarcza już być panem stad, a w domu królować nad czeladzią, wzruszył ramionami i zabrał się do handlu, poniekąd w stylu starych bukanjerów, którzy włóczyli się między wyspami.

Jednem słowem este hombre, jak nazywał naszego bohatera, bardzo nadawał się ku temu, aby per-



traktować z nieprzyjaciółmi w ich języku i aby zachowywać dobre formy choćby nawet chodziło o złupienie i zatopienie okrętów. Trzeba umieć dobierać sobie potrzebnych ludzi, jak się dobiera byczki rozpłodowe, ostrożnie i z odrobiną ducha proroczego. Zdarza się taki byczek, który trochę kuleje, ale założmy się, że będzie miał doskonałe potomstwo.

Este hombre jest wprawdzie dziwaczny i roztargniony, ale zdaje się, że umie niejedno. I wzdychając poszedł stary pirat naradzić się ze swoją żoną, która siedziała z nogami obrzękłemi gdzieś w zaciszu domowem, wróżąc sobie z kart, podczas gdy śród zmarszczek jej obrzękłej twarzy spływały krople potu, niby wieczne łzy. Nikt jej nigdy nie widywał i tylko od czasu do czasu słychać było jej głęboki bas, gdy się kłóciła ze swoją murzynką.

Trzeba powiedzieć, że Kubańczyk handlował nietylko cukrem, angielskiem zielem, melasą i innemi darami błogosławionych wysp, lecz głównie i przedewszystkiem wyzyskiwał konjunktury, jakie się akurat nasuwały. Przybywali do niego ludzie, czasem, prawdę rzekłszy, dość podejrzani. Djabli wiedzą skąd się na świecie bierze tyle przeróżnego ludu. Jeden prawi, że trzeba koniecznie założyć towarzystwo wywozu imbieru, angostury, gałek muszkatowych i malagetowego pieprzu gdzieś tam na Tobago. Inny twierdzi, że na Haiti jest łożysko asfaltu.

Jeszcze inny wywodzi, że należy zabrać się do wywozu drzewa kubawi, twardego jak pancerz i pipiri, które nigdy nie gnije, Santa Maria, czyli corkwood, lżejszego od korka algierskiego dębu. Albo zakładać plantacje wanilji, kakao, cukru, tam i tam, gdzie jeszcze robocizna jest tania. Albo wyrabiać masowo krochmal z manihotu, konfitury z mombinu, ekstrakt z kory kassji. Niektórzy z nich byli na wyspie już od trzech miesięcy i wiedzieli co i jak należałoby zakładać, albo też czem handlować. Doświadczeńsi spośród nich mówili o werbowaniu tanich sił roboczych, o spekulacjach przy kupowaniu i sprzedawaniu gruntów, o towarzystwach akcyjnych poufnie popieranych przez rządy.

Stary Camagueyno słuchał z oczyma przymkniętemi, żując czarne cygaro. Miał tropikalną wątrobę, co czyniło go nieufnym i popędliwym. Bodajże na wszystkich wyspach, które Bóg miłosierny raczył porozsiewać na tych morzach, miał swoje interesy, plantacje trzciny i kakao, posiadał suszarnie, i młyny, i palarnie, kwadratowe mile lasów dziewiczych, które zdobywali dlań jego wspólnicy, aby następnie uciec, zapić się, albo zginąć od gorączki.

Sam prawie nigdy nie wychodził z domu, dręczony chorą wątrobą i reumatyzmem stawów, ale mnóstwo drobnych piratów, całe bandy złodziei, dużo Morenów i bezwstydnych mieszańców pociło się i



hałasowało, chlało i cudzołożyło w jego dobrach, porozrzucanych djabli wiedzą po jakich stronach tego kochanego świata. Tutaj, do tego chłodnego i białego domu, gdzie w patio szemrze woda w toledańskich fajansach, niewiele dociera z hałasu i zgiełku tego dalekiego świata. Prawda, że od czasu do czasu przychodzi ktoś z płonącemi oczami, wychudzony, jak strączyna kassji i krzyczy, że został odarty ze wszystkiego. Ale na to ma się tu trzech takich mozos, byłych cowboyów, którzy służyli na sawannach. Ci potrafią pokazać drzwi komu należy i jak należy.

Juścić bywały takie czasy, kiedy konno jeździło się w trawach wysokich na chłopa. Stała sobie gdzieś na wzgórku stara gałęzista seiba, a gdy się patrzyło spod jej cienistych gałęzi, to można było objąć spojrzeniem całe mile okolicy. To, co w dali falowało i ruszało się, było stadem czarnego bydła. I oto przychodzą jacyś śmieszni ludzie, aby robić awantury o parę głupich dolarów, jakby chodziło o Bóg wie jakie wielkie rzeczy. Tacy sami dranie, jak ci, co w sawannach pobudowali cukrownie. I zamiast czarnych byków, nasprowadzali tu dużo garbatych i niemrawych zebu, dlatego tylko, że te zwierzęta są tańsze. Starszy pan podniósł krzaczaste brwi, jakby się czemuś strasznie dziwił. I tacy ludzie wyobrażają sobie jeszcze, że należy robić z nimi Bóg wie, jakie

ceregiele. Wszystko to przybłędy przecie, więc skądże tu znowu...

## XXV

Starszej pani układały się karty bardzo dziwnie: mnóstwo pieniędzy i jakaś klęska. Este hombre pochodzi z bogatej i szlachetnej rodziny, ale przy nim stoi jakaś kobieta, wiele zgryzot i list. Co do kobiet, to sprawa jest zabawna, gdyż w domu Kubańczyka jest tylko ona, a pozatem są tu jeszcze mulatki, które się przecie nie liczą.

Nie wypada, żeby señora prorokowała i wchodziła w komitywę ze złymi duchami. Została więc wezwana stara murzynka, która znała się na takich rzeczach i umiała zrobić niejedno przy pomocy niezmiernie brudnych kart, rumu i zaklęć. Gdy karty zostały rozłożone, zaczęła Morena mleć gębą tak straszliwie szybko, że starsza dama z trudem chwytała najwyżej co dziesiąte słowo. Nie wiadomo więc, co było napisane w gwiazdach, prócz mnóstwa i tym razem pieniędzy, które znowu wychodziły najaw, dalekiej podróży, osoby płci żeńskiej i strasznego nieszczęścia, które murzynka przedstawiała poglądowo, wskazując na podłogę gestem bardzo dzikim. A na podłodze nie było nic prócz metalicznego robaczka, łażącego pomalutku. Gdy czarna wieszczka patetycznie wskazała na podłogę, robaczek przystanął, podciągnął nóżki i udawał martwego.



Tak czy owak była to w każdym razie przestroga, a jeśli Kubańczyk przestrzec się nie pozwolił, to już było całkiem jasne, że i on działał pod wpływem tajemnych, potężnych konieczności. Przedewszystkiem kupił papiery po jakimś człowieku zmarłym w szpitalu. Este hombre musiał przecie mieć jakieś imię i tożsamość, a nie miał nic przeciwko temu, aby odtąd być kimś, kto się nazywał Mr. George Kettelring. Kettelring to dobre nazwisko: może to sobie być Yankee, Niemiec lub członek jakiejkolwiek innej narodowości, a w handlu brzmi takie nazwisko bardzo dobrze i wzbudza zaufanie.

Jak ma być George Kettelring, niech będzie George Kettelring. Nikt nie zacznie go badać skąd przybywa, bo nie wywiera wrażenia, jakby na wyspach był dopiero od wczoraj. Nazywa się go el secretario, a słowo to nie wyraża nic określonego. Głównie zajmuje się on tłumaczeniem i pisaniem listów. Gdy robił notatki do pierwszego listu, powiedziałbym, że utknął i wytrzeszczonemi oczyma przyglądał się swemu pismu. Niezawodnie przypominało mu ono coś głęboko osobistego, czego w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Niezawodnie było to jego zgubione ja, przechowane w charakterze pisma.

Od owej chwili pisywał tyko na maszynie, ubawiony łagodnie rozległością i plątaniną spraw i zainteresowań Kubańczyka. „Ubawiony łagodnie“, oto sło-

wo, jakiego należało tu użyć. Czy chodziło o procenty, czy o melasę, o rentowność pól tytuniowych, o umowy zbiorowe z cejlońskimi kulisami na Trinidadzie, o grunta na San Domingo, czy na Martynice, o cukrownie na Barbudzie czy o agenturę w Port au Prince, zdawało się, że dla niego nie są to prawdziwi ludzie, rzeczywiste majątki, towary i prawdziwe pieniądze, lecz rzeczy poniekąd komiczne, choćby dlatego, że takie są odległe i nierzeczywiste. Było mu tak samo, jakby mu kto opowiadał o hipotece na Alfa Centauri, o wydajności pól na Algolu albo o wąskotorowej kolejce między gwiazdami Bootesa, czy Małego Wozu.

Z handlowego punktu widzenia niemiła to rzecz, gdy ktoś spogląda na nasze interesy, inwestycje i hipoteki z takiej astralnej odległości, i stary Camagueyno nieraz marszczył gniewnie brwi, gdy este hombre Kettelring tak dziwnie i uciesznie szczerzył zęby, słysząc jakieś nowe imię. Człowieka majętnego może podrażnić, gdy widzi, że ktoś odnosi się do jego mienia w sposób zgoła niepoważny, niby do jakiego zwidzenia. Ale stary flibustjer dostrzegł niebawem, iż w jego wypadku ma to swoje dobre strony. Mr. Kettelring nigdy ani nie mrugnął choćby miał był pisać nie wiem co. Dajmy na to, że trzeba było wymówić kredyt właścicielowi plantacji, który wił się rozpaczliwie gdzieś na Maria Galante, po-



zwalniać ludzi z pracy, lub przyłożyć komu nóż do gardła...

Czasem stary Kubańczyk nie wiedział, jak wyrazić to i owo, sapał, wahał się i czekał na jaką uwagę pana sekretarza, ale maszyna terkotała już wesoło, a este hombre podnosił pogodne oczy i czekał: a dalej? Camagueyno miał niegdyś starego pisarza, Hiszpana. Ten staruszek kłócił się zawsze straszliwie, gdy kazano mu napisać taki list, wybuchał nawet płaczem i uciekał. Powracał pijany, pisał, co mu nakazano z wyrazem potępieńca i przeklinał matkę swoją jako dziewkę nad dziewkami. Teraz zaś wszystko szło nad podziw gładko, a maszyna turkotała jak wózek. Starego Kubańczyka ogarniał może lęk niekiedy, że wszystko idzie aż nazbyt gładko. Już nawet dyktować nie potrzebuje, wystarczy wzruszyć ramionami nad listem nędzarza, któremu mszyce zniszczyły ogrody, a Kettelring odrazu pisze co potrzeba i biedny dłużnik może się powiesić. Zdaje się, że Mr. Kettelring nie ma sumienia. Niezawodnie sumienie traci się razem z pamięcią.

Istniała, oczywiście, inna okoliczność, która dotyczyła właśnie pamięci. Este hombre Kettelring, stracił, jak wiadomo pamięć i to całkowicie, ale zato zrodziła się w nim pamięć nowa, którą byłby się mógł popisywać. Doskonale pamiętał teksty listów, rachunki i umowy, które przeszły przez jego ręce. Te-

mu i temu pisaliśmy przed miesiącem to i to, tamten znowu ma w swojem memorandum of agreement taką a taką klauzulę. Istna żyjąca registratura. Camagueyno żując swoje wieczne cygaro, spoglądał zamyślony na zdumiewającego pana Kettelringa. Od czasu do czasu wyjmował z kasy, znajdującej się w głębi domu, fascykuły starych kontraktów i handlowej korespondencji; podawał wszystko panu Kettelringowi, żeby sobie przeczytał, ten zaś czytał i wiedział potem doskonale co i jak.

Stary Kubańczyk nie przywiązywał zbyt wielkiego znaczenia do takich zdobyczy nowoczesnych, jak naprzykład porządek, a prócz tego niektóre z jego interesów były tego rodzaju, że wolał nie utrwalać ich na piśmie. Miewał do czynienia z piratami równie czcigodnymi, jak on sam, a z takimi wystarczyło wypalić cygaro i podać sobie ręce. Ale człowiek się starzeje i nie wie ani dnia, ani godziny. Zaczął tedy potrosze i ostrożnie wtajemniczać pana Kettelringa w swoje sprawy handlowe i powierzać je jego pamięci, żeby wiedział, gdzie, co i jak było. Możemy śmiało przypuścić, że niezawsze chodziło jedynie o sprawy handlowe.

Stary Kubańczyk mówił mu nieraz o krainie Camaguey, o sawannach z pasącemi się na nich stadami, o bogatych kubańskich patrycjuszach owych czasów, o dawnych wyścigach w Habanie, gdzie zbierało się towarzystwo pełne dworności i przystojności, o damach w krynolinach — — — Społeczeństwo kubańskie było najwytworniejsze i najbardziej odgrodzone od reszty świata. Byli tylko panowie i niewolnicy, ale nie było żadnego drobiazgu pośredniego. Taka była dawna Kuba, panie Kettelring. I starszy pan, przezwyciężając swój reumatyzm, pokazywał, jak kawaler kłaniał się damie i jak dama odpowiadała kawalerowi, zgarniając suknię obiema rękami i omal nie przyklękając w ukłonie. A tańce ówczesne, chaconne albo danzón — — —! Nie żadne pieskie rumby dzisiejsze i jakie takie sony. Owe śmieszne tańce tańczyli chyba tylko murzyni, była to ruja Morenów i Pardów, ale Kubańczyk nigdy nie zapomniałby się tak dalece.

Dopiero Jankesi upodobnili nas do murzynów. Oczy Camagueyny zapłonęły. Nawet mulatki nie są już takie, jak niegdyś. Jakie małe i okrągłe zadeczki miewały wtedy! Dzisiaj są już zepsute przez dopływ krwi amerykańskiej. Zbyt gnaciaste, seńor mio, i pyski mają szerokie, jakby tylko do wrzeszczenia. Ale też wrzeszczą obecnie, wtedy zaś gruchały, tak jest, gruchały, gdy już do tego doszło. Starszy pan machnął ręką. Wogóle dzisiaj za dużo się wrzeszczy. To zaprowadzili Amerykanie. Dawniej milczało się więcej, było więcej dostojeństwa — — —

Mr. Kettelring słuchał z oczyma przymkniętemi,

z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Było mu tak, jakby w jego puste wnętrze przenikał prąd dawnej rycerskiej przeszłości.

## XXVI

Nie trzeba oczywiście rozwodzić się specjalnie, że pozatem Mr. Kettelring nie był zbyt rozmowny. Zdawało się, że unika ludzi, jakby się bał, żeby go kto nie poznał i nie poklepał po ramieniu, jak pan się ma, panie taki a taki? Jeśli pił, to już sam i ciężko. Sadowił się czasem w tej czy innej tancbudzie, odwiedzanej także przez colorados, spoglądał na podłogę zaśmieconą pestkami i niedopałkami i mówił sam z sobą językiem, jakim mu się akurat mówić podobało. Wydaje mi się, że czasem wymamrotał zdanie, które następnie długo rozbierał w głębokiej zadumie, niby odłamek czegoś wyrzucony na brzeg falami Lety. Ponieważ wszakże musiał być strasznie pijany, aby się z głębi jego podświadomości oderwało takie wspomnienie ujęte w słowa, nie dochodziło nigdy do żadnych rozwiązań. Siedział więc tylko, w półśnie kiwał głową i pod nosem mruczał coś, czego sam nie rozumiał.

Do tego trzeba dodać dudnienie murzyńskich bębenków i tamtamów, dźwięki dzwoneczków i tony gitar, muzykę szaloną i warjacką, pędzącą jak wodospad, z którego wyłania się półnaga dziewczyna



poklepująca się po lśniących udach, wrzask trąbki i dźwięk skrzypiec, płciowy jakiś, jakbyś głaskał, ach, gładkie plecy i ramiona, plecy wygięte i takie aksamitne, że tylko wpić się w nie pazurami! Mr. Kettelring wbija paznogcie w spocone dłonie i kiwa głową, ale nie może nadążyć za rytmem tych czarnych muzykantów. Skądże znowu! Oderwałaby mu się głowa i potoczyłaby się po podłodze! I czemu ci muzykanci tak podskakują? Poczekać, poczekać, nie wypiłem jeszcze tyle, żeby mi się w oczach dwoiło. Cicho! Teraz zamknę oczy, a gdy je otworzę, żebyście mi siedzieli cichutko, ale grać nie przestawajcie.

Pan Kettelring otwiera oczy. Czarni muzykanci poskakują i ukazują białka oczu, ten zaś z wrzeszczącą trąbką wstaje, jakby się wynurzał z mroków; na kawałku podłogi wierci się brunatna chabine w kwiecistej sukni, oliwkowy Kubańczyk zarzucił jej czerwoną chustkę na biodra i przyciąga ją ku sobie, brzuch do brzucha; we wściekłym kurczowym rytmie ocierają się o siebie. Kubańczyk tańczy z ustami rozwartemi, a mulatka z oczyma w słup, wiercą się w jednem miejscu, dyszą i pokazują zęby, jakby się chcieli rzucić na siebie. Druga, trzecia para, jest ich tu pełno, kręcą się śród stołów, zataczają się i śmieją, rycząc, zderzają się z sobą, błyszczący od potu i pomady. A nad tem wszystkiem wrzeszczy i skrzeczy trąbka swoim płciowym triumfem.

Patrzcie na pana Kettelringa, jak bębni palcami po stole i kiwa głową! O Boże, cóż mi to przypomina, co mi to przypomina?! Z całą pewnością byłem kiedyś podobnie pijany, tak jest, podobnie, ale czem się to zakończyło? Daremnie próbuje uchwycić jakiś obraz, wszystko się rozpływa. Mulatka łyska oczami i bielą zębów, a w nich trzyma wielki kwiat i śmiga biodrami. Oczywiście, mógłbym z tobą pójść, ale wyobraź sobie, dziewczyno, że nie mogę sobie przypomnieć... Jakiś młodzieniec pochyla się nad panem Kettelringiem i o czemś mu prawi. Pan Kettelring wytrzeszcza na niego oczy. Que vuole? Młodzik o cienkiej szyi uśmiecha się poufale i coś mu szepcze do ucha. Mogę pana zaprowadzić do pięknej dziewczyny. Piękna, kolorowa, rzekł głosem zachrypłym i mlasnął językiem. Z panem Kettelringiem stało się nagle coś dziwnego. Zerwał się i trzasnął młodzika w twarz tak mocno, że ten odleciał daleko i zwalił się nawznak między tancerzami. Mr. Kettelring ryczał i tłukł się pięścią w czoło: teraz, teraz sobie przypomnę — — —

Nie przypomniał sobie. Powstała z tego straszna bijatyka, a potem jeszcze straszliwsza pijatyka z jakimiś Amerykanami, którzy powyrzucali z tancbudy wszystkich tancerzy razem z dziewczynami i muzykantami, poczem obsadzili terytorjum zdobyte. Oświadczyli, że Kubańczycy to banda mieszańców i nigrów i owieńczyli się papierowemi różami, które w tej krainie kwiatów potęgowały piękno kubańskiej tancbudy.



Więc dajmy na to, że z tego powstały kubańskie nacjonalistyczne demonstracje przeciwko Amerykanom. Wdali się w to również miejscowi studenci i wymachując biało-niebieskiemi prążkowanemi chorągiewkami, ogniście przemawiali przeciwko Stanom Zjednoczonym. Trudna rada, trzeba było całą tę sprawę zbadać urzędowo. Stary Camagueyno szalał i ryczał wściekły, otoczony obłokami dymu. Z jednej strony zgadzał się, że młodzieży tego gorącego klimatu należy się trochę uciechy, przyczem miał na myśli pana Kettelringa i zapalne głowy młodych Kubańczyków, — z drugiej znowu nienawidził Amerykanów i całem sercem oddany był wierze, że Kuba jest dla Kubańczyków. Jako przemysłowiec i kupiec był za porządkiem, a jako Camagueyno uważał, że z cudzoziemcami należy się porachować.

Nie chciał stracić este hombre Kettelringa, a w dodatku bał się potrosze, że przy śledztwie mogłaby być badana jego tożsamość. Kto wie, czy przy tej sposobności policja nie zaczęłaby się interesować ponownie tamtym nieboszczykiem z trzema kulami we łbie, którym obciążono nieznanych rowdies z Północy. Albowiem ludzie miejscowi, jak wiadomo, załatwiają swoje sprawy nożem, co jednak nie może do-

tyczyć peonów, trzymających się obyczajów Nowego Meksyku. Ay, hijos de vacas, cobardes, cojones! Czy kiedykolwiek dawniej działy się takie rzeczy na Kubie? Każdy sam, bez pomocy urzędów, kłopotał się o swój honor, nie było awantur i bijatyk, bo nigdy nikogo nie zakłuwano na śmierć. A jaka panowała na Kubie sprawiedliwość! Pilnowała, jak się należy, majątku, praw i kontraktów najmu oraz czuwała nad prawem sukcesyjnem, a nie nad awanturami pijaków. Starszy pan ściągał krzaczaste brwi, był wielce rozgoryczony i pluł brunatną śliną, podczas gdy pan Kettelring zapuchły i skudłany wystukiwał coś na maszynie. Ten Holender na Haiti domaga się znowu podwyższenia mu kredytu na budowę cukrowni — — —

Pan Kettelring podniósł podbite oczy. — Ostatnio pisał, że monterzy kończą montowanie pras, teraz pisze, że oddział pras jeszcze nie jest dobudowany.

Kubańczyk zagryzł się w cygaro. Że też taki nie ma w podobnej chwili żadnych większych kłopotów!

— Należałoby wogóle popatrzeć na tę budowlę!— mamrocze Mr. Kettelring i nanowo zaczyna terkotać na maszynie.

Stary Kubańczyk chichocze zcicha. — Świetny pomysł, mój Kettelringu! Czy nie chciałby pan przejechać się tam?

Este hombre wzruszył ramionami, było mu wi-



docznie wszystko jedno. Ale Kubańczyk pogrążył się w dymie i medytował wybuchając śmiechem. — Świetnie, mój panie, pojedzie pan na Haiti. Tymczasem ludzie ochłoną tu trochę, a nasze sprawy na Haiti wymagają koniecznie, żeby im się ktoś przyjrzał. Mamy swoją agenturę w Port au Prince, różne interesy w Gonaiwie i w Samana, jak panu wiadomo. — Stary Camagueyno był ogromnie rozbawiony. — Chciałbym wiedzieć, co zrobi este hombre na Haiti. Bo to już nie Kuba, sabe? Najniezawodniej zapije się tam rumem o ile murzynki nie obedrą go ze skóry, chociaż ludzie głupieją w tamtych stronach tak, że nawet już nie kradną. Naturalnie, przydałby się tam zręczny człowiek, możnaby zrobić duże pieniądze — — — Kubańczyk spoważniał. Haiti, to nie Kuba. Tam nie porozkradali jeszcze wszystkiego Americanos, ale tam nikt nie wytrzyma, tamtejszego życia nie wytrzyma nikt, prócz chyba murzyna. Ale pomimo wszystko możnaby tam kupować i sprzedawać — — — Ten zaś człowiek nie ma znowu zbyt wrażliwego sumienia. Może tam wytrzyma. Człowiek wytrzyma dużo gdy nie ma sumienia.

— Pojechałbym — wycedził przez zęby Mr. Kettelring.

Camagueyno się ożywił. Maczając w soli jakąś gruszkę, zaczął pełnemi usty mówić, jakich informacyj potrzeba mu z tamtych stron. Pijcie, mój Kettel-

ringu, za wasze zdrowie. I miej się pan na baczności przed kobietami, bo bywają poprostu wściekłe, gdy spotykają chłopa o płowych kudłach. Poszukuję gruntów, które nadawałyby się pod uprawę trzciny. Stawiam na cukier, Kettelringu, jeszcze przez dziesięć lat będę stawiał na cukier, a la salud de usted! I wystrzegaj się pan czarowników, bo tamto bydło to nawet nie chrześcijanie.

— Tak jest, będziemy musieli założyć skład w Gonaiwie. Posyłam pana niby własnego syna, Kettelringu, i zaklinam, żeby się pan miał na baczności przed tymi obeahos, tymi czarownikami.

Stary Kubańczyk wysysał ze swego cygara jakąś ciemną mądrość. Lepiej już murzynki, niż mulatki. Murzynka to przynajmniej zwierzę, ale mulatka to djabeł. Djabeł mówię panu. No i przyjrzyj się pan tej agenturze w Port au Prince. A nie zapomnij pan zabrać maści przeciw pasorzytom, mości Kettelringu, i pisz pan dokładnie, jak tam jest z kobietami.

## XXVII

Naturalnie, że poszedłem do cieplarni ogrodu botanicznego, aby mieć jakie takie pojęcie o wegetacji podzwrotnikowej. Mógłbym teraz dość szczegółowo opisywać krotony o liściach czerwono i żółto przypalanych i tak wspaniałych, że ma się ochotę uważać je za jadowite; akalify o liściach minjowych; aksamitne płatki anturji pochylonych nad ciemnemi toniami, pachnące słodkawą zgnilizną; krzewy czarnego pieprzu i twarde kielichy bromelji, z których strzelają niewyobrażalnie różowe albo niesamowicie niebieskie kłosy kwiatów; pandany stojące na nóżkach korzeni o liściach ząbkowanych i ostrych jak piłka, nie mówiąc już o palmach, w których żaden człowiek normalny, nie chodzący na głowie, jak czynił to Gulliwer po powrocie z kraju olbrzymów, zorjentować się nie zdoła.

Ale gdybym miał dokładnie powiedzieć, jak sobie wyobrażam krainę podzwrotnikową, musiałbym temu wszystkiemu dać pokój i wybuchnąć jak Rimbaud nieokreślonemi wskazówkami geograficznemi. „Zderzałem się, wierzcie mi, z niewiarogodnemi Florydami, mieszającemi kwiaty z oczami panter, a ze skórami ludzkiemi tęcze napięte jak cugle; widziałem kisnące moczary, w których olbrzymie węże żarte przez pluskwy zsuwają się z krzywych drzew o czarnym zapachu. Chciałbym pokazać dzieciom te złociste krainy...“

Tak jakoś to sobie wyobrażam. Ale te mokradła dżungli wypadłoby chyba wyrąbać słoneczną siekierą, rozżarzoną do białości, powypalać zielska, iskry zaś zadeptać bosą stopą. Nasadzić batatów albo krzewów kawowych i nabudować szałasów, a dopiero potem pokazać dzieciom te złociste krainy,

gdzie mieszają się z sobą kwiaty i wonie, skóry ludzkie i agenci handlowi, ogromne węże, wywóz i siły robocze, mokry połysk motyli i międzynarodowe konwencje, dotyczące hodowli płodów rolnych. Co za bezmierna i wrąca bastardyzacja, jaka dzika dżungla! Wiedzcie, że nie wędruję do żadnego raju, gdzie chciałbym spocząć w cieniu palm i gdzie mógłbym wezwać przyrodę, iżby mnie obsypała różowem kwieciem i wonią jaśminową. Niestety, niestety, rzeczy te nie są dla mnie takie proste.

Chciałbym zobaczyć jaki to piekielny i ostry bigos się tam pitrasi ze słońca, konjunktury, ludzkich szczepów i handlu, z dziczyzny i kredytu, z zasadniczych popędów i cywilizacji. Człowieku, sam djabeł nie odważyłby się chyba mieszać w tym kotle warząchwią. Chciałbym się przekonać, co jest bardziej dzikie, czy Zielony Wąż, któremu oddają cześć murzyni, czy też Prawa Gospodarcze, którym składamy cześć my. Wiem tylko, że jedno i drugie razem wzięte tworzy las dziewiczy daleko fantastyczniejszy od gajów skrzypowych, w jakich prajaszczury siadywały na jajach. Powstaje kwestja, czy czarne kurczę, drapiące się w cieniu słodkich kartofli, będzie sprzedane na targu, czy też zostanie mu ugryziona głowa na cześć i dla przejednania gniewu najwyższego Węża. Chciałbym zobaczyć Zielonego Węża, gdy zwinięty w fotelu uśmiecha się do słuchawki telefonu i załatwia swoje sprawy handlowe. Jakto, giełda w Amsterdamie słaba? Well, skasujemy plantacje na wyspach Pod Wiatrem. Zielony Wąż gniewa się i chłoszcze ogonem morza całego świata.



Poszedłem także do biura statystycznego, żeby powąchać, z czego się ten bigos tropikalny warzy. O ile mowa o Antylach, mamy tu wszystkie wyobrażalne odmiany ludzi, zaczynając od Kuby, gdzie tylko trzecią część tworzą colorados, a dwie trzecie biali (co narusza klasyczną tradycję krajów zamieszkałych przez właścicieli niewolników, bo zawsze dwaj kolorowi powinni przypadać na jednego białego), a kończąc na Haiti, gdzie w tropikalnej rozpaczy kona garstka białych śród masy ryczących i rżących murzynów. Dodajmy do tego, dla podniesienia smaku, syryjskich lichwiarzy, Chińczyków i robotników importowanych z Indyj, z Jawy, czy też z wysp oceanu Spokojnego. Co za wspaniała myśl! Importowany kulis pozwala się ujarzmić daleko łatwiej, niż miejscowe siły robocze. Poczekajmy aż Zielony Wąż skolonizuje Europę, a wtedy robotników będzie się przewoziło z kraju do kraju. Będą lepiej pracować i nie będą się troszczyć o nic poza pracą i spółkowaniem.

I cały ten bigos jest dokładnie posolony solą ziemi. Każde mocarstwo kolonjalne wysyła tutaj najlepsze swoje egzemplarze, iżby dostojnie reprezentowały

posłannictwo białej rasy. Idąc na wszystek świat, nauczajcie wszystkie narody co to jest Państwo i co Handel. Gdziekolwiek stanie wasza stopa, zakładajcie urzędy i agentury handlowe. Pokażcie tym biednym murzyńskim dzikusom błogosławieństwa cywilizacji w postaci wściekłych, podrażnionych, chorych ludzi, którzy czują się tu jak na wygnaniu i liczą pieniądze i dni, gdy będą mogli powrócić do swoich ciotek i kuzynów.

Trzeba w nich wmówić, że na ich barkach spoczywa dostojeństwo Państwa, albo Dobrobyt, żeby się nie zapili na śmierć z tęsknoty i lenistwa i żeby zdołali jeszcze przez jakiś czas zabijać dni swoje zagadnieniami prestiżowemi, plotkami i zmienianiem przepoconych koszul. Taki Camagueyno nie kłamał sobie i innym, że reprezentuje interesy wyższe. Był to uczciwy pirat i dlatego rozwiedliśmy się nad nim z pewnem upodobaniem.

Mamy więc w swoim gorącym kociołku mieszaninę niezgorszą: brytyjskich, amerykańskich, francuskich i holenderskich gubernatorów, lajtnantów, przedstawicieli handlowych i magazynierów; piękne kreolki i patrycjat, czy nawet arystokrację kolonjalną. Z tych wyżyn możemy wesoło zeskakiwać po stopniach człowieczeństwa od koloru hebanowego, herbacianego, jasno - kawowego, aż po biel trądu. W garderobie swej mieć będziemy sombrera Kubań-



czyków i pomarańczowe trzewiki mulatów, lśniącą nagość Yorubów i jaskrawe gazowe turbany dziewcząt z Gwadelupy. Wszystko to zostało tu posprowadzane, pozwożone i pozmiatane z całego świata. Bajeczne rupiecie, w którem można się grzebać dowoli. Tradycje hiszpańskie, afrykańskie, brytyjskie, francuskie, w stanie anachronicznej ekskluzywności lub groteskowej bastardyzacji. Tylko kolibry, ropuchy, las dziewiczy i tytoń stąd się wywodzą, jeśli nie chcemy mówić specjalnie o plewach i chorobach tutejszych. Cała reszta to wybujałość na śmietnisku ludzkiego handlu.

To więc są wyspy tęsknoty mojej i tak je sobie wyobrażam. Jak pan widzi, nie jestem zbieraczem tęczowych motyli, ani też nie udaję marzyciela, który ucieka na łono dziewiczej natury, aby nagi i owieńczony oddawał cześć słońcu. Nic podobnego. Jeśli nazywam to ucieczką, jest to ucieczka od samego centrum wszystkich spraw, gdzie wszystko spotyka się z sobą, gdzie parzą się z sobą wieki w znikczemniałem pomieszaniu kultur. Tutaj mamy jeszcze orgję i gwałcenie, tutaj popełnia się zysk spazmatycznie i dziko jak cudzołożenie. Trudna rada, ale tak właśnie przedstawia się nam ludzkość w godnej uwagi amplitudzie swych ludzkich i nieludzkich możliwości.

## XXVIII

Cukrownię na Haiti wyobrażam sobie w pobliżu wsi murzyńskiej, oznaczonej na mapach jako Les deux Maries. Składała się ona z kilku niepowiązanych z sobą ścian bez maszyn i z jakich trzechset akrów żółtej spękanej ziemi, zarośniętej zielskiem lasów dziewiczych i trzciną czwartego ratoonu, a więc pięcioletnią, bez soku i cukru. Holender wielce roztropnie znikł już zawczasu i Mr. Kettelring wprowadził się do jego chaty, nakazawszy przedtem wyłapać stonogi.

Był naogół zadowolony. Za sobą miał las dziewiczy, gąszcz drzew kasztanowych i drzew czarcich oplątanych pnączami, w ciągu dnia śpiewał mu jakiś dziwny ptaszek, a wieczorem, wieczorem wyrajały się z gąszcza świecące robaczki, zaś nietoperze kluczyły zygzakowatym lotem nad sucho szeleszczącą trzciną. Ode wsi słychać było jak bębnią i tańczą murzyni, uroczyście obchodzący przybycie nowego pana. Mr. Kettelring odetchnął z głębi. Tutaj, dalibóg, nie trzeba mieć imienia, a co do pamięci, cóż tu po niej, co po niej? Człowiek mruga ospale w słonecznej spiekocie i nie chce się mu wędrować w czasie ścieżkami wspomnień. Dość na tem, że jesteś tutaj i kwita. Jest tu taka trwała, nieustająca i szumiąca teraźniejszość.



Powinienby napisać list do Camagueyny, jak się tu rzeczy mają, ale jest zbyt leniwy. Dokoła chaty pełno powoju i kwiatów, pleni się tu kasawa i banan mafafo. Włochata gąsiennica lezie po łodydze wgórę, a mrówka biega tam i sam po ogromnym liściu, jakby miała do załatwienia ważną sprawę. Przez parę chwil bawi człowieka patrzenie na jaszczurki goniące się po niedobudowanych murach fabrycznych. Ale nagle jaszczurka drętwieje i siedzi, siedzi, jakby przybita do muru. Żeby tak był pod ręką kamień, toby śmignęła jak błyskawica! Poczekaj-no, już ja ci dam, i Mr. Kettelring kiwa palcem na murzyna, ukrywającego się za murem. Jest to miejscowy starosta, dostawca sił roboczych, dozorca i wogóle dygnitarz.

— Co to tu za porządek? — woła pan Kettelring.— Wy złodzieje, ropuchy leniwe, marsz mi w tej chwili budować fabrykę! Przyprowadzisz mi tu trzydziestu chłopa, rozumiesz? Compris? Już ja z was wypędzę to wałkoństwo! Więc teraz jakie dwa tuziny murzynów kręci się po placu budowlanym, zachowując się tak, jakby coś budowali. Jaszczurki już się tu gonić nie mogą. Mr. Kettelring patrzy przymrużonemi oczyma w rozdygotaną spiekotę. Przynajmniej coś się dzieje. Przynajmniej wydaje się mu, że coś robi i nie musi patrzeć na niedobudowany mur, na którym jaszczurka siedzi zdrętwiała, jakby się nie

mogła ruszyć z miejsca. Coś się robi, więc szybciej upłynie dzień, tydzień, miesiąc. A noc? W nocy ma się wino palmowe i sen, w nocy są gwiazdy, noc można już jakoś przeczekać.

Już układają strzechy. Czas najwyższy zastanowić się, naco właściwie zdała się taka cholerna budowla? Mrowi się koło niej niemal cała wieś, baby, prosięta, nagie dzieciaki, kury, wszystko. Przynajmniej coś się dzieje. Ale cukrowni chyba nie będzie, bo niema maszyn. Prędzej, wałkonie, ruszaj się jeden z drugim, czy nie widzicie, że tam na rogu znowu zdrętwiała jaszczurka, jakby sama nie wiedziała, czego chce? Możnaby z tego gmachu zrobić, dajmy na to, suszarnię. Suszarnia zawsze się na coś przyda.

* *

*

Od czasu do czasu przyjeżdżał do niego na mule sąsiad, młody plantator; Pierre mu było na imię. Syn chłopa normandzkiego, który chciał tu zarobić pieniędzy, żeby się móc ożenić po powrocie do domu. Był wychudzony i ociężały, a ciało tak miał przeżarte guzami i zimnicą, że śmierć patrzyła mu z oczu.

— Wy, Anglicy—mawiał, (bo uważał Mr. Kettelringa za Anglika) umiecie rozkazywać, ale człowiek przyzwyczajony do oszczędności, nigdy się tego nie nauczy. Nie, człowiek, który oszczędza, nie potrafi



przemienić się w pana. Niech pan pomyśli — gdy ci murzyni spostrzegli, że ja sam własnemi pazurami imam się roboty, nie można było dalej wytrzymać z nimi. Czy myśli pan, że mogę im rozkazać cośkolwiek? Wyśmiewają się ze mnie i wszystko robią mi na złość — — — A wałkonie z nich! Mój ty Boże — — Mówiąc o nich, otrząsał się nienawiścią i wstrętem. — Tego roku dali zmarnieć siedmiu akrom młodych krzewów kawy — — — Mogę sobie przecie wypleć wszystko sam, czy nie? — Był rozgoryczony i omal nie płakał. — A gdy wybieram się do Port au Prince i proponuję tym panom w białych trzewikach, których nazywają przedstawicielami handlu, kawę, imbier, gałki muszkatowe, odpowiadają, że niczego nie potrzebują. Niechże pan powie, panie Kettelring, naco tam siedzą, skoro niczego nie potrzebują? Chyba nie na to, aby łapać muchy! Traktują człeka, jakby go wcale nie dostrzegali. Albo też powiedzą: — Czego pan właściwie chce? Możemy dać panu tyle, a tyle. Śmieszne ceny! I to są Francuzi, panie Kettelring! Gdybyż wiedzieli, co to znaczy siedzieć tutaj — — —

Pierre przełykał swą gorycz, aż mu grdyka latała zgóry na dół i dogóry. Drapał się po całem ciele trawiony czerwoną świerzbą. — Przecie to istne piekło! — jęczał. — Ci mulaci naprzykład — — — uważają się za równych nam. Nadyma się taki jeden z drugim, że jego ojcem jest amerykański agent, że

więc już nie jest on byle czem, i zadziera łeb dogóry, wałkoń wstrętny! A człowiek orze jak wół — — — Mam w Hawrze narzeczoną, jest biuralistką w domu handlowym. Ba, gdybyż można było sprzedać to wszystko tak, żeby mi pozostało potem parę tysięcy franków!

Z głową wspartą na kułakach wspominał Pierre jak tam bywało u nich w domu. Nawet nie zrwócił uwagi, że Mr. Kettelring nie odwzajemnia się mu żadnem wspomnieniem własnem. Wspomnienia są egoistyczne. Narzekał sobie, że go męczą poty i że bywa bardzo znużony. Poradzili mu, żeby jadł słonie wszy i orzechy drzewa kaszu, które mają usuwać zmęczenie i odświeżają umysł. Nieborak Pierre nosił ich odtąd pełne kieszenie i żuł je bezustannie. Nie wiedział, że między innemi orzech ten jest podnietą płciową i sechł z tęsknoty za swoją narzeczoną. Pozatem bał się murzynek, uważając je za chore i brzydził się niemi, bo nienawidził murzynów. Czy nie zniszczyli mu siedmiu akrów krzewów kawowych? Niech mi pan powie, panie Kettelring, niech mi pan powie, czy pan z niemi sypia? Jabym nie mógł...

Gdy kiedyś przez całe dziesięć dni się nie pokazywał, pojechał Mr. Kettelring, by go odwiedzić. Pierre leżał chory na zapalenie płuc i nie poznał swego gościa. — Mon amant — chwaliła się murzynka, siedząca w jego chacie, jakaś straszliwa baba, obsypana strupami. — Moi, sa femme, he? Od przeszłej nocy. — Ryczała, śmiejąc się tak, że jej chude piersi huśtały się nad brzuchem, i poklepywała się po biodrach.



W kilka dni później Pierre umarł.

*

Rzecz osobliwa, jak żywo zaczynają interesować się człowiekiem, gdy umrze. W dwa dni później przyjechali dwaj panowie z Port au Prince, żeby zobaczyć, co trzeba zrobić z plantacjami po panu Pierze. Przyszli też odwiedzić Mr. Kettelringa. Siedzieli u niego, nacierali otartą skórę olejem palmowym i balsamem simarubowym i przeklinali całą tę świńską krainę. Tutaj dałoby się dużo zarobić, gdyby to tałałajstwo murzyńskie nie było takie leniwe jak pluskwy. Jakże tu jest z robocizną, panie Kettelring? I co pan tu buduje? Cukrownię, czy co? Mr. Kettelring machnął wzgardliwie ręką. Ach, więc jednak cukrownię? Zbyt sucha kraina, panie szanowny. Bawełna udawałaby się tu chyba daleko lepiej. Tak. Więc niechże panowie wiedzą, że to jest suszarnia bawełny.

Obaj panowie przestali na chwilę nacierać otartą skórę i tłuc komary na spoconych udach. Aha, więc suszarnia bawełny. Akurat mamy kogoś, kto potrzebuje bawełny. Pewien plantator z Nowego Or-

leanu, ale tam robocizna jest już zbyt droga. Ci wszarze murzyńscy mają tam już związki zawodowe. Nie do wiary! A wiele tu będzie ziemi ornej?

Mr. Kettelring wymienił im trzysta akrów ziemi uprawnej. Wprawdzie jest to przeważnie las dziewiczy, ale i tak nikt nie przyjdzie sprawdzać takich rzeczy. Nie wierzył zresztą w żadnego amerykańskiego plantatora. Któżby się raptem interesował bawełną i naco wogóle zdała się bawełna! Założy się Haitian Plantation Society i zacznie się sprzedaż akcyj. Do djabła z bawełną! Handel nie potrzebuje żadnej bawełny. Wystarczy suszarnia i trochę ziemi, żeby na rynek można było rzucić pięknie drukowane akcje, czem wykonany zostanie kawał zasłużonego dzieła handlowej i politycznej penetracji. W nagłówku akcji będzie gromadka szczęśliwych murzynów, a perspektywicznem tłem tej gromadki będzie nowozbudowana suszarnia. Biedny pan Pierre! Jego plantacje kawowe zagłuszy ostatecznie wszelakie zielsko.

Bóg mi świadkiem, że wolałbym opisać co innego, naprzykład kwiat frangipanów, kwiat granatowca, albo przepych skrzydeł motylich, czemuż tedy obstawiam się temi straszliwemi murami z żółtych i błotnistych cegieł? Gdzież ja się tu dostałem! Ładnaż mi kraina podzwrotnikowa! Mógłbym zejść do swego ogrodu i cieszyć się dzwonkami kwiatów i



chłodem porannym śród krzewów. Zamiast tego mrużę oczy w południowej spiekocie, gapiąc się na żółty mur suszarni, dokoła której leży masa łupin bananów, gnijących głąbów i kału ludzkiego. Nie mogę ukryć swego głębokiego zadowolenia, że nareszcie jesteśmy dość daleko od własnego świata, tam, gdzie można oprzeć łokcie na kolanach i gapić się na byle co. Tak więc oto wygląda kochana rzeczywistość: ten długi żółty mur, przepalony słońcem. No, chwała Bogu, uciekliśmy aż na drugi koniec świata.

I tam opuściliśmy Mr. Kettelringa. Siedzi przed swoją chatą, żuje świńskie śliwki i okiem chmurnem spogląda na jaszczurki znieruchomiałe na murze suszarni. Przyszedł olbrzymi murzyn z Port au Prince i na głowie przyniósł list. Pisze stary Camagueyno, muy amigo mio i tam dalej. Jednem słowem zacierał ręce, że właśnie sprzedał trzysta i sześćdziesiąt akrów plantacji bawełny koło Deux Maries razem z urządzeniami do oczyszczania bawełny i suszarnią. Wiadoma sprawa jeszcze nie załatwiona, pisał Kubańczyk. Koła polityczne atakują władze, że sprawy tej dotychczas nie zbadały. Czy nie zechciałby señor pojechać sobie na czas niejaki do Gonaiwy?

Kettelringowi było wszystko jedno. Pozostawił niedobudowane strzechy na łasce losu i pojechał na jakiś czas do Gonaiwy, zaś z Gonaiwy można pojechać na San Domingo, później na Puerto Rico, po-

czem tempo staje się coraz żywsze, z wyspy na wyspę, z miejsca na miejsce, a było tych miejsc tyle, że stawały się do niczego niepodobne.

## XXIX

Daję panu tylko szkic przygód Przypadku X, a nawet nie szkic. Nie potrafiłbym opowiedzieć zwięźle, co się z nim działo z roku na rok. Zresztą życie jego nie składało się z wydarzeń. Do wydarzeń potrzebna jest wola, albo przynajmniej coś, co nie jest obojętnością, ale straciwszy pamięć, stracił Przypadek X zapewne także większość zainteresowań, które pobudzają ludzi do działania. Pojęcia pan nie ma, jaką ruchliwą siłą jest pamięć nasza. Spoglądamy na życie oczyma dawniejszych doświadczeń, witamy się z rzeczami, jako z dawnymi znajomymi, a uwagą naszą kieruje to, co przykuwało ją do siebie niegdyś. Większość stosunków naszych z tem wszystkiem, co nas otacza, powiązana jest delikatnemi i niewidzialnemi rękoma wspomnień. Człowiek bez pamięci byłby człowiekiem bez jakichkolwiek stosunków. Ogarnia go obcość, a w ziegłku, który do niego dociera, niema dla niego żadnej odpowiedzi.

A jednak wyobrażam sobie pana Kettelringa wędrującego z miejsca na miejsce, jakby czegoś szukał. Niechże nas to nie zwodzi. Niema w nim dość zainteresowania, aby mógł dążyć do pewnego celu,



a gdyby był pozostawiony samemu sobie, może znowuż zasiedziałby się pod rozpadającemi się murami koło Deux Maries, spoglądając na błyskawiczne ruchy i odrętwienie jaszczurek. Lecz on przyjął interesy handlowe kubańskiego patrycjusza za swoje i one to są jego bodźcami.

Wszędzie znajdzie się stopień schodów albo pień, na którym można usiąść. Przygląda się kropli potu, która spływa mu z ramienia, wsłuchuje się w suchy szelest palm albo strąków jakiejś rośliny i umiarkowanie bawi się widokiem ruchu innych ludzi. Jest to coś w rodzaju kalejdoskopu, którym on kręci, żeby się ci ludzie poruszali żwawiej. Dalej, dalej, murzyni, ruszajcie się trochę, żeby się coś działo, żebym miał ruch przed oczami. Ładujcie na statek orzechy kokosowe, noście kosze na głowach, taczajcie beczki z rumem. Ale żwawiej, żebym wam nie nasypał pieprzu w zady. Na wodzie portu oliwa i brud malują pasma tęczowe i koła. Co za piękny rozkład, jakie połyskujące ścierwo! A ruszajcie mi się, czarne wieprze, dalej-że w trzcinę z wami, żeby mi się falowała, żeby się ruszało to szeleszczące pole, niech połyskują nagie biodra śród zrudziałych łodyg!

I rzecz osobliwa: chociaż nie troszczył się wcale o to, co robił, myśląc jedynie o zabiciu czasu, towarzyszyło mu to, co się nazywa powodzeniem w interesach. Ludzie bali się jego obojętnych oczu, je-

go rozkazy były zdecydowane i mocne, jego sprawozdania przesyłane Camagueynie były wzorem handlowej dokładności. Rozkazuje, jakby przez cały życie nic innego nie robił, tylko rozkazywał, i wywiera na ludzi taki wpływ, że poddają się jego woli z ciemną i bezsilną wściekłością. Gdyby się mogło okazać, że go to panowanie raduje i że rozkoszuje się on swoją mocą i władzą, widok tego człowieka byłby dalibóg znośniejszy. Ale na jego szerokie i obojętne ramiona jakby gotowe zawsze do chłodnego wzruszenia spogląda stale tylko strach i nienawiść. Zaś on zdaje się mówić: choćbyście wszyscy popękali, co mnie to obchodzi!

Ale gdzieś w głębi, na samem dnie istnienia tli się nikłe uczucie bólu, coś jakby wieczne bolesne odrętwienie. Może i ja nosiłem ciężary, wiosłowałem na statku, drapałem się po grzbiecie i jadałem brudne placki? Może byłem zziajanym magazynierem, biegającym tam i sam ze spisami różnych rzeczy, czy też miałem może białe breczesy i panamę, jak obecnie, i doglądałem ludzi, iżby harowali dla jakiego innego Kubańczyka? To wszystko jest równie dalekie i równie nierzeczywiste. Można na to spoglądać jak się spogląda przez odwróconą lornetkę. Takie to dalekie i takie śmieszne zarazem! Jakże wszyscy latają, jak się trudzą! Tragarze, pisarze, magazynierzy



i panowie w białych trzewikach, grający w tennisa za sztachetkami...

Albo naprzykład przychodzą różni panowie, pełnomocnicy i przedstawiciele Camagueyny, plantatorzy obciążeni hipotekami, dyrektorowie cukrowni, przysadziści i hałaśliwi farmerzy i dalejże jeden przez drugiego: — Hallo, Mr. Kettelring, moja żona ma zaszczyt prosić pana do nas. Lub też: — Czy nie poszedłby pan na kieliszek cocktailu — — — A potem zaczynają jąkać się przed obojętnemi oczyma pana Kettelringa, że nieurodzaj, kiepski zbyt, złodziejscy mulaci i tam dalej. Mr. Kettelring nie pozwala im nawet dokończyć tego gadania, bo go to nudzi. Zrobi pan tak i tak, proszę pana, przyniesie mi pan wykazy, zobaczę...

Ci ludzie przestępują przed nim z nogi na nogę, pocą się pokornie i kurczowo, boleśnie nienawidzą tego jaśnie pana, który bez długiego gadania w imieniu Kubańczyka przykłada im nóż do gardła. A tymczasem Mr. Kettelring bada samego siebie co do takiej dziwnej i niepokojącej możliwości. Dajmy na to, że to jest moje własne dawne ja. Może byłem panem niewolników z biczem w ręku, plantatorem, czy też czemś takiem, jednem słowem człowiekiem, który rozporządzał majątkiem, a więc i ludźmi? Jakże mógłbym im rozkazywać w taki sposób, gdyby tego we mnie nie było? Może to się odezwie głośniej, gdy

zacznę próbować tego na innych. Może mnie kiedy zaboli, gdy innemu zadam cios i poznam nagle, że to byłem ja.

*

*   *

Pomijając dzieje zewnętrzne, życie jego płynie dwoma pasmami, nudy i upojenia, a pozatem niema nic innego. Stała nuda przepływa w upojenie, a upojenie w nudę. Nuda, która jest najstraszniejszą i najpaskudniejszą prozaicznością, nuda, która niemal z zadowoleniem goni za wszystkiem, co jest wstrętne i monotonne, puste i beznadziejne, która nie ominie żadnego smrodu i rozkładu, która śledzi drogę pluskwy, rozłażenie się zgnilizny, czające się pęknięcia w suficie, albo też nicość i obrzydliwość życia... Zaś upojenie? Niech to będzie upojenie rumem, nudą, żarem albo rozkoszą, byle się wszystko z sobą mieszało, byle zmysły ogarniał szał, a duszę opanowywało wściekłe natchnienie, żeby można było chwytać wszystko pełnemi rękoma i żreć chciwie, łapczywie, wyciskając wszystek sok, żeby ciekło po brodzie, brać piersi i owoce, chłodzące liście i żar ognia.

Jeśli nic nie ma granic, to nie mamy ich i my, i wszystko, co się porusza, porusza się w nas. W nas kołyszą się palmy i biodra, w nas drga żar słoneczny i wieczny płacz wody. Z drogi! Zróbcie miejsce dla człowieka, który taki jest wielki i pijany, że w nim jest wszystko. I gwiazdy, i poszum koron drzewnych, i rozwarte bramy nocy. Cóż to są za krainy kreślone przez upojenie lub nudę? Krainy zdrętwiałe w martwej posusze, albo w gnijącym moczarze, złożone z much, złych woni, z lepkiego brudu i rozkładu, albo znowu krainy wirujące, stworzone z mnóstwa słońc, krainy rui, zapachów i ostrych smaków, duszących kwiatów, wody i zawrotów.

Niech mi pan wierzy, że nudą i upojeniem można opisać porządne piekło ze wszystkiem co do piekła należy, a tak rozległe, że znajdzie się w niem i raj. Raj z całym swoim ogromem i olśnieniem, ze wszystkiemi rozkoszami... Ale to jest właśnie najgłębsze piekło, albowiem stamtąd idzie obrzydzenie i nuda.

## XXX

Powiedzmy na chybił trafił: Haiti, Puerto Rico, Gwadelupa, Barbados, Tobago, Curaçao, Trinidad. Holenderscy agenci, brytyjska elita kolonjalna, oficerowie marynarki Stanów Zjednoczonych, sceptyczna i nieporządna biurokracja francuska. I wszędzie kreole, szczebioczący w patois, murzyni, filles de couleur, dużo ludzi brutalnych, jeszcze więcej nieszczęśliwych, a najwięcej tych, którzy jako tako sta-

rają się zachować dostojeństwo zagrożone piciem, świerzbą i mezaljansami płciowemi.

Przypadek X dawał, o ile to było możliwe, pierwszeństwo drogom udeptanym, ale pomimo to miewał tygodnie i miesiące, w których musiał żyć zapewne pod słomianą strzechą, w szałasie, zbudowanym na palach, jak gołębnik, żeby się zabezpieczyć przed krabami i stonogami, na skraju lasu dziewiczego, trzaskającego w wichurze, albo dymiącego w dusznej ulewie. Tu zasiadał na drewnianych schodkach, kazał sobie ze stóp wykłówać piaskowe pchły i baczył, aby znowu kilkaset akrów byłej przyrody zaczęło niebawem składać ofiary z płodów ziemnych bogini zwanej Prosperita. Niebawem spłynie błogosławieństwo na krainę, polegające na tem, że murzyni będą musieli pracować daleko więcej, niż dotychczas, ale pozostaną równie biedni, jak dotąd. Zato w innej części świata przestanie się chłopom wypłacać ich krwawo zapracowane zarobki, a płody ich pól stracą wartość.

Taki jest bieg rzeczy i panu Kettelringowi wszystko jedno. Jak trzcina, to trzcina: niech trzaskają siekiery, brzęczą komary i stękają murzyni! Ostatecznie wszystko to przecedzi się ładnie i wygładzi w turkocie maszyn do pisania. Nie, to nie maszyny do pisania, to żaby, to cykady, to ptak stuka dziobem w pień drzewa. Nie, to nie ptak i nie chrzęst łodyg, to



raczej maszyny do pisania. Mr. Kettelring siedzi na ziemi i palcem wystukuje coś na zardzewiałej maszynie. Tylko handlowy list do Kubańczyka, nic nadto, ale ta przeklęta maszyna jest tak przeżarta wilgocią i rdzą, że — — — Kettelringowi ulżyło jakoś. Cóż robić? Listu tego już nie dopisze. Doskonale, więc wracam!

*

*    *

Powraca więc na Kubę obarczony zasługą, że podniósł wydajność trzciny na wyspach. Powraca na pękatym statku, naładowanym wanilją, angielskiem zielem i kakao, muszkatowym kwiatem i mandarynkami, angosturą i imbierem, na statku pełnym woni, statecznym niby sklep z towarami kolonjalnemi. Jest to statek holenderski, wałęsający się od portu do portu jak gadatliwa ciotka, która zatrzymuje się przed każdym kramikiem i lubi dużo mówić. Nie trzeba się śpieszyć, moi państwo; wetknąć ręce w kieszenie i patrzeć. Na co? A choćby na wodę, na morze, na drogę słoneczną, która jest na niem wypisana. Albo też na wyspy w modrych cieniach, na obłoki złościście podbijane, na ryby latające, rozpryskujące błyszczącą wodę. A wieczorem na gwiazdy. Przychodzi brzuchaty kapitan, proponuje grube cygaro, ale też dużo nie gada.

Ostatecznie nie byłoby znowu rzeczą najgorszą pozostać raz na zawsze panem Kettelringiem. Na horyzoncie czai się bezustannie jakaś burza, w nocy śmigają szerokie czerwone miecze błyskawic za zasłoną z deszczu. Albo też morze zacznie raptem fosforyzować blademi i modremi prążkami, które rozbiegają się nagle na wszystkie strony i znikają. A w dole, w tej czarnej rozchlupotanej wodzie, ciągle coś fosforyzuje własnem swojem światłem. Pan Kettelring opiera się o barjerę i jest pełen czegoś, co nie jest ani nudą, ani upojeniem. Tak, to jedno jest pewne: że kiedyś płynął tak samo i czuł się tak samo szczęśliwy i swobodny. Teraz układa to w sobie, żeby o tem nie zapomnieć. Ach, rozewrzeć ramiona tej tęsknocie! Temu bezmiernemu uczuciu miłości, wolności, czy Bóg wie czego!

*

* *

Camagueyno przywitał go z rozwartemi ramionami. Stary pirat umiał być wdzięczny, gdy oto wracał statek przepełniony dobrym łupem. Już nie siedzi z Mr. Kettelringiem w kantorze, ale w cienistym pokoju, przy stole nakrytym adamaszkiem, zastawionym angielskiem szkłem i srebrnemi konwiami. Stary Kubańczyk dolewa mu wina i — najwidoczniej z szacunku dla niego — wysila się na język an-



gielski. Pokój przechodzi pod zwiewnemi łukami i kolumnami do patjo, wykładanego majoliką. Pośrodku szumi fontanna między małemi palmami i mirtami, stojącemi w fajansowych doniczkach. Zupełnie tak samo, jak w dalekiej Sewilli.

Señor Kettelring jest teraz szacownym gościem. — Dom mój jest pańskim domem — prawi stary Kubańczyk z szerokim gestem dawnej hiszpańskiej rozrzutności i rozpytuje Kettelringa o jego podróże i drogę powrotną, jakby chodziło jedynie o wycieczki wielkiego człowieka, przedsiębrane dla zabicia czasu. Oczywiście, pan Kettelring nie ma dość tradycyjnego zmysłu dla takich ceremonij i mówi o interesach. Tam jest tak, tam znowu owak, ów dłużnik jest kiepski, to a to przedsiębiorstwo ma przyszłość i warto włożyć w nie trochę pieniędzy.

Camagueyno przyświadcza skinieniem głowy, very well, sir, o tem jeszcze pogadamy, i macha ręką. Ma się przecie dość czasu na wszystko, czy nie? Jakoś się postarzał starszy pan, jest dostojniejszy i zabawniejszy, niż dawniej. Krzaczaste brwi wjeżdżają mu na czoło i zjeżdżają nadół, i co chwila słychać: — Za pańskie zdrowie, drogi panie Kettelring, za pańskie zdrowie! — Chichocze wzruszony potrosze.— A kobiety, proszę pana, jak tam z kobietami?

Kettelring się dziwi. — Dziękuję za życzliwe zainteresowanie, można było wytrzymać. A co do grun-

tów na Trinidadzie, to tam są drańskie moczary. Gdyby się je wszakże osuszyło...

— Czy to prawda — dyszy Kubańczyk, — czy to prawda, że na Haiti murzynki są jak wściekłe, gdy nastają te... te ich pogańskie fiestas? Hę?

— Tak — odpowiedział Mr. Kettelring. — Całkiem wściekłe, proszę pana. Ale najlepsze chabines są na Gwadelupie.

Camagueyno pochyla się ku niemu. — A Indjanki? Jakie są Indjanki? Czy są muy lascivas? Podobno mają — — — jakieś tajemne nauki, czy to prawda? Pan mi musi opowiedzieć o wszystkiem, drogi panie Kettelring.

Do pokoju weszła panna w białej sukience. Kubańczyk wstał, zaniepokojone brwi podnosząc aż niemal ku włosom. — To córka moja, Maria Dolores. Mary. Studjowała mianowicie w uniwersytecie w Stanach. — Mówił to, jakby ją tłumaczył. Hiszpańska dziewczyna nie wejdzie przecie do pokoju, w którym siedzi obcy caballero. Ale Mary już gościowi podaje rękę całkiem po amerykańsku. — How do you do, Mr. Kettelring? Panna robi wszystko, co może, żeby wyglądać na gnaciastą i kanciastą Angielkę. Ale jest oliwkowa, włosy ma czarne, jak smoła, brwi zrośnięte, a pod nosem puszek. Prawdziwa i dobra Kubanka.

— Well, Mary, — mówi Kubańczyk na znak, że



dziewczyna mogłaby sobie już pójść. Ale Mary jest amerykańską i samodzielną panną, więc się sadowi, zakłada nogę na nogę i rzuca Mr. Kettelringowi pytanie za pytaniem. Jak tam jest na wyspach? Jak wygląda sprawa społeczna murzynów? Jak żyją, jak tam z dziećmi, ze stosunkami zdrowotnemi? Mr. Kettelring jest umiarkowanie rozbawiony jej sztubacką gorliwością, a Camagueyno podnosi zgorszone brwi niby dwie ogromne włochate gąsiennice. Zaś Mr. Kettelring łgał jak podręcznik szkolny. Szczęśliwe wyspy, miss Mary, istny raj. Wszędzie lasy dziewicze z kolibrami fufu, wanilja rośnie tam dziko, tylko ją rwać. Co zaś do murzynów, nie można narzekać: cieszą się, jak dzieci...

Amerykańskie dziewczę słucha, objąwszy kolana rękami, i nie spuszcza oczu z tego człowieka, który powraca prosto z raju.

## XXXI

Wieczorem Camagueyno przeprasza Mr. Kettelringa, bo dręczą go kamienie żółciowe. Wyglądał naprawdę marnie i oczy miał z bólu głęboko zapadnięte. Pan Kettelring poszedł do ogrodu, aby wypalić cygaro. Pachniało tu muszkatem, akacjami i volkameriami, a wielkie ćmy nocne furkotały jak pijane. Na majolikowej ławeczce siedzi białe dziewczę z rozchylonemi ustami i wdycha to nieznośnie słod-

kie powietrze. Pan Kettelring ominął ją szerokim łukiem. Wie przecie co wypada, a co nie wypada.

Ale nagle cygaro jego leci w gąszcz oleandrów. — Seńorita — powiada Kettelring szybko i niemal szorstko — wstydzę się, okłamałem panią. Na wyspach, o które pani pytała, jest piekło, i niech pani nie wierzy nikomu, że tam człowiek może pozostać człowiekiem.

— A pan tam wróci? — rzekła cicho. To noc tak tłumi głosy.

— Oczywiście. Gdzież indziej mógłbym pójść? — Zrobiła mu miejsce obok siebie. — Może pani wie już, że jestem bezdomny... Nie mam gdzie wracać, więc chyba tylko tam. — Machnął ręką. — Żałuję, że zniweczyłem pani wyobrażenie o raju. Ostatecznie nie jest tak źle. — Szukał w pamięci coś pięknego. — Pewnego razu widziałem motyla Morpho. O krok odemnie strzygł swemi niebieskiemi skrzydłami, ach cóż to była za piękność! Siedział na gnijącym szczurze, pełnym robaków.

Dziewczę z wykształceniem uniwersyteckiem wyprostowało się surowo.

— Mr. Kettelring...

— Nie jestem żaden Mr. Kettelring. Naco, naco ciągle kłamać? Jestem nikim. Myślę, że człowiek, który nie ma imienia, nie ma też i duszy. Dlatego mogłem tam wytrzymać. Sabe?



I nagle już nie studentka uniwersytetu, ale mała Kubaneczka zaczyna mrugać współczująco długiemi rzęsami. Ay de mi, cóż mu powiedzieć, cóż mu powiedzieć ładnego? Najlepiej chyba uciec do domu, bo taki jest dziwny. Przeżegnać się i wstać... Nie, tego amerykańskie dziewczę zrobić nie może, amerykańskie dziewczę będzie jego towarzyszką. Studjowało się przecie psychologję, można mu będzie jakoś radzić przy poszukiwaniu zgubionej pamięci i wyłanianiu potłumionych wyobrażeń. Najprzód trzeba zdobyć jego zaufanie. — Mr. Kettelring — albo nie tak, — jak mam pana nazywać? — Amerykańskie dziewczę ujmuje go przyjaźnie za rękę.

— Nie wiem. Jestem tylko człowiek.

Ściska go za rękę, by go prowadzić. — Niech pan spróbuje, niech pan koniecznie spróbuje myśleć o swojem dzieciństwie. O czemś musi pan przecie pamiętać! Przynajmniej o matce, prawda? Prawda, że pan pamięta?

— Raz... miałem gorączkę. Było to na Barbudzie. Taka stara murzynka robiła mi okłady z czarnego pieprzu gotowanego razem z angielskiem zielem. Ułożyła moją głowę na swoich kolanach i wiskała mnie. Dłonie miała pomarszczone jak małpa. Wtedy miałem wrażenie jakby to była matka.

Kubaneczka chce wyrwać palce z jego dłoni. Ta dłoń jest taka gorąca! Ale to zapewne nie wypada.

Aż strach jak dalece człowiek bywa niepewny w takich rzeczach. — A więc jednak pamięta pan matkę?

— Nie, nie wiem. Zdaje mi się, że wcale matki nie miałem.

Amerykańskie dziewczę jest zdecydowane pomóc mu. — Musi pan się trochę wysilać. Niech pan sobie przypomni cośkolwiek z czasów, gdy był pan chłopcem. Jakąś grę dajmy na to, przyjaciół, najdrobniejszą przygodę.

Kręci głową i jest niepewny siebie. — Nie wiem...

— Ale cośkolwiek! — nastawała. — Dziecko ma przecie takie mocne wrażenia!

Starał się uczynić co chciała. — Zawsze gdy spoglądałem na horyzont wyobrażałem sobie, że za nim musi być coś pięknego. To takie dziecinne uczucie, nieprawdaż?

— Czy pan to sobie wyobrażał w domu?

— Nie, tutaj na wyspach, ale przytem wydawałem się sobie małym chłopcem. — Trzyma się jej ręki i odważa się iść dalej. — Niechże pani uważa: ukradłem piłkę.

— Jaką piłkę?

— Dziecięcą — momrotał zakłopotany. — Było to w Port of Spain, koło portu. Przypatoczyła mi się pod nogi... Czerwono-zielona piłeczka. Musiałem niezawodnie mieć taką piłkę jako dziecko. Od tego czasu wożę ją z sobą...



Łzy rzuciły się jej do oczu. Boże, jaka jestem głupia. — No więc, widzi pan, panie Kettelring, — odetchnęła z głębi wzruszenia — to się uda, będzie dobrze. Niech pan zamknie oczy i rozmyśla, dobrze? Niech pan bardzo mocno rozmyśla — ale trzeba koniecznie zamknąć oczy, żeby się skupić!

Posłusznie zamknął oczy i siedział bez ruchu, jakby i to było mu nakazane. Jest cicho, słychać tylko furkotanie pijanych ciem, a z dali dolatuje wysoki okrzyk mulatki.

— Wspomina pan?

— Tak.

Kubaneczka powstrzymuje oddech, pochyla się ku jego twarzy. Jaki dziwny, jaka surowość jest w jego rysach przy tych zamkniętych oczach. Umęczony i straszliwy. Nagle w twarzy jego coś pofolgowało.

— Czy pan sobie coś przypomina?

Odetchnął głęboko z uczuciem ulgi. — Tu jest tak pięknie!

Musiała walczyć z bezsensownem wzruszeniem, ale wbrew jej woli wyrwało się z niej coś, czego właśnie powiedzieć nie chciała. — Tutaj... nie jest piekło?

— Nie, tu nie jest piekło — szeptał. Bał się ruszyć ręką, albo otworzyć oczy. — To takie nowe dla mnie. Rozumie pani, ja ich nie kochałem.

Bóg raczy wiedzieć, kto to prędzej zrozumiał, czy

dziewczę amerykańskie, czy mała Kubanka. Ale wyrwała mu rękę i poczuła na twarzy falę żaru. Co za szczęście, że tak ciemno!

— A przedtem... kochał pan kogo? — Miły Boże, jak ciemno!

Wzruszył ramionami.

— O tem powinienby pan przecie pamiętać... — To mówi dziewczę amerykańskie, bo Kubanka wie, że o takich rzeczach nie wypada mówić z obcym mężczyzną. Ale i duża amerykańska studentka jest zmieszana. Tam, na uniwersytecie dyskutowało się przecie o wszystkiem. Nawet z młodzieżą męską można było rozmawiać o czemkolwiek — — — Bóg raczy wiedzieć, dlaczego tutaj staje się ta rzecz nagle taka trudna. Ochładza sobie twarz wierzchem dłoni i gryzie wargi.

— Mr. Kettelring?

— Słucham.

— Napewno kochał pan jaką kobietę. Niechże pan wspomina!

Milczał oparty rękoma o kolana. Teraz jest ona znowu małą Kubanką, która niespokojnie mruga długiemi rzęsami. — Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego jak teraz. To wiem, to wiem napewno.

Kubaneczka wstrzymuje oddech, a serce zakołatało jej tak mocno, aż zadrżały pod nią kolana. Więc tak, miłosierny Boże, i takie to piękne, że możnaby



się rozpłakać. Ale mózg Amerykanki podchwycił natychmiast tę myśl i zmienił ją do gruntu. Ach więc to tak. Poznałam to natychmiast, jak tylko rzekł do mnie: Señorita, okłamałem panią.

— Tak się cieszę — mówi i zęby szczękają jej troszeczkę, — że — — — (Że co, właściwie?) — — — że się tu panu podoba. (Nie, nie o to chodzi, ale już wszystko jedno). — Ja tak lubię ten ogród i bywam tu co wieczór — — — (Boże, jak też głupio się to powiedziało!) Dziewczyna amerykańska próbuje wziąć górę. — Niechże pan uważa, panie Kettelring, pomogę panu wspominać, chce pan? Przecie to musi być straszne, gdy człowiek nie może sobie przypomnieć kim jest. — Mr. Kettelring poderwał się jakby uderzony. — Chcę rzec — próbuje poprawić się dziewczę amerykańskie, — że byłabym taka szczęśliwa, gdybym mogła panu dopomóc. Proszę pana — — — dotknęła palcem jego rękawa. (Tylko kawałątko flirtu, zanim pójdę do domu. Żeby mi się ładnie szło!)

Wstał. — Pani raczy darować. Odprowadzę panią.

Stała przed nim tak blisko, jakby go trzymała za obie ręce. — Niechże mi pan przyrzeknie, że będzie pan wspominał! — Uśmiechnął się. W tej chwili wydał jej się takim pięknym, że omal nie krzyczała z nadmiaru szczęścia.

*
* *

Wychyla się oknem w tę wonną noc. O piętro wyżej na balkonie żarzy się ogień cygara.

— Hallo, Mr. Kettelring!

— Słucham.

— Pan nie śpi?

— Nie.

— Ja także nie — komunikuje mu uszczęśliwiona i wychyla się białemi ramionami w noc. Weźmij, pogłaszcz, ściśnij mi ramiona, oto jestem. Dotknij, dotknij tutaj, jak mi bije serce.

Nie, ja nie patrzę, nie odważę się spojrzeć. Oto i cygaro rzucam w mrok, żeby nic nie było widać. Jakże mi szczękają zęby. Damn, Mary, nie głaszcz się po tych gładkich ramionach, bo wychodzi na to, jakbym je głaskał ja.

Nie wiem, ale to się czuje... Ma pan takie gorące ręce, jakby leżały na słońcu. Cóż to znowu, że palce drżą mi tak dziwnie? Przecie jestem spokojna, całkiem spokojna. Wiedziałam, że to się stanie. Kiedym to spostrzegła? Pan chce wszystko wiedzieć! Zaraz gdy weszłem do pokoju, a pan wstał — — — Taki duży i nawet nie wie co za jeden.

Człowiek na górnym balkonie westchnął.

O, Mr. Kettelring, please, niechże pan nie będzie



taki dziecinny! To przecie jest w panu najładniejsze. Chciałoby się wziąć pana za rękę i rzec: Dear lil' boy, czyj ty jesteś? Byłabym pana odrazu pocałowała, czy co? Pewno instynkt macierzyński.

Uprzejmie dziękuję.

Nie, niech pan w to nie wierzy. Ja się pana bałam. Takie to jakieś tajemnicze i straszne — jakby pan był zamaskowany. Ogromnie niepokojące. Omal nie uciekłam, gdy w ogrodzie odezwał się pan do mnie. Tak się przeraziłam!

Beg your pardon, ja właściwie nie chciałem...

Ale ja chciałam, żeby pan przyszedł. Nie wiedział pan o tem? Takie to głupie, te zwyczaje hiszpańskie, że nie możemy siedzieć razem przy obiedzie. Trzeba takie spotkanie poprostu ukraść i zaraz staje się wszystko takie dziwne. Serce bije, jakby to był grzech, czy co? Hallo, czy pan jeszcze jest?

Tak, jestem tu jeszcze. Niech pani nie patrzy, bo skoczę z balkonu, Maria Dolores!

Szybko okrywa sobie gołe ramiona szalem z frendzlą. Teraz jest znowu czarną Kubanką, która słodko mruga długiemi rzęsami w ten nocny mrok i nie myśli o niczem, tylko czeka.

Pani rozumie, tam się spotyka tak mało białych kobiet, tam na wyspach. Nie pojmuje pani co to za cud, gdy się nagle ma to straszne i piękne uczucie szacunku. To pragnienie, żeby uklęknąć i nie od-

ważyć się podnieść oczu. Ay, señorita, coby to było, gdyby mi pani podarowała swoją chusteczkę! Upadłbym na kolana i do samej śmierci byłbym szczęśliwy.

Kubańska dziewczyna promienieje i powoli, powoli, ześlizguje się jej mantón z jednego ramienia. Odsłania tylko kawałek matowego ciała, ale to znaczy więcej, niż cokolwiek innego — — — Pewno owionął ją skrzydłem nietoperz w swym zygzakowatym locie, bo zadrżała, skrzyżowała ręce na piersi i uciekła.

No tak, już niedługo będzie świt, w ogrodzie zaćwierkała boża ptaszyna jakby przez sen. Amerykańska studentka cichutko podchodzi ku oknu i patrzy na balkon. Tak, i teraz jeszcze żarzy się tam czerwony ogienek cygara, bez ruchu stoi tam człowiek i rękami ściska balustradę. I dziewczę westchnęło, bo szczęście boli. Potem jeszcze długo siedziała na krawędzi łóżka i w zachwyceniu uśmiechała się, patrząc na swoje białe, obłe nogi.

## XXXII

Inaczej sobie tego wyobrazić nie potrafię. Przez cały dzień go nie widziała, jakby był zaczarowany. Camagueyno zaciągnął go do kantoru, a potem zabrał go gdzieś na obiad. Kettelring był ogromnie roztargniony i referował marnie. Tym razem Kubańczyk sam musiał go pobudzać do mówienia o interesach, a i tak tamten plótł piąte przez dziewiąte, mieszając Barbudę z Trinidadem. Kubańczyk zwracał ku niemu badawcze pytające spojrzenia i uśmiechał się chwilami, chociaż miał boleści. Do kolacji zasiedli znowu sami. Kubańczyk był cały żółty i umęczony, ale ciągle jeszcze dolewał rumu swemu towarzyszowi i namawiał go do picia, nie myśląc wcale wstawać. — Pij pan, panie Kettelring, pij-że pan do stu djabłów! Więc jak tam jest z tym cukrem na Haiti? Kettelring nie ma dzisiaj tej pamięci jak zwykle, co chwila utyka i jąka się. — Więc pij - że, człowieku! — Wreszcie Kettelring wstaje, uważając, żeby się nie zataczać. — Wyjdę do ogrodu, kochany panie, boli mnie głowa.

Camagueyno podnosi brwi. — Do ogrodu? Niech pan będzie łaskaw! — I znowu ten szeroki gest, jakby wszystko należało do kochanego gościa. — Nawiasem, panie Kettelring, jak się ma pańska pamięć?

— Moja pamięć?

Kubańczyk zwężył oczy. — Czy wie pan już przynajmniej — kim pan jest?

Kettelring odwraca się szybko. — Sądzę, mój panie, że jestem dość dobrze znany jako Kettelring.

— Prawda — mamrocze Kubańczyk i w zamyśleniu przygląda się swemu cygaru. — Głupia to spra-

wa, że niepodobna dowiedzieć się, dajmy na to... czy pan już dawno nie ożenił się gdzie. Prawda? — Wstaje z wysiłkiem i uciska dłonią wątrobę. — Dobranoc, panie Kettelring, życzę panu dobrej nocy!

Kettelring troszeczkę zataczał się jednak, gdy schodził do ogrodu. Czekała tam na niego blada, rozdygotana dziewczyna, otulona szalem. Za nią, w cieniu stała stara meksykańska Indjanka, mrugająca oczyma troskliwie i po ludzku. Aha dueńa, zrozumiał pan Kettelring, chociaż wszystko wirowało dokoła niego. Ogromne cienie, różowy potop kwitnących koralit, niezmierna woń i dziewczę otulone szalem z długą frendzlą. Ujęła go pod ramię i ciągnęła wgłąb ogrodu.

— Niech pan sobie wyobrazi, chcieli mi zakazać spaceru po ogrodzie!

Była tem nad miarę obrażona, jako dziewczę amerykańskie, ale piąstki zaciskała jak Kubanka. — Będę robiła, co mi się spodoba! — groziła płomiennie, lecz jej groźba nie była straszna. W każdym razie nie chciała zrobić tego, co za chwilę zrobiła. Oto w najgłębszym cieniu pod okwieconemi drzwiami szal jej pada na ziemię, a ona zawisa na szyi tego człowieka, który zatacza się zrozpaczony. Podnosi ku niemu twarz, rozchyla usta boleśnie spragnione pocałunku.

— Seńorita India — ostrzegawczo mamrocze Kettelring i ściska ją w ramionach, ale ona tylko potrząsa głową i podstawia mu usta, wilgotny cień ust, jakby pragnęła, żeby ją wypił. Stoi zdrętwiała, nieprzytomna, z oczami w słup. Nagle załamała mu się w objęciach, wyczerpana, z rękoma obwisłemi. Puścił ją. Chwiała się z twarzą w dłoniach, bezbronna, poddana. Podniósł szal i otulił nim jej ramiona. — Mary — rzekł, — pójdziesz teraz do domu, a ja wrócę. Już nie jako Kettelring, ale jako ten, który będzie miał prawo poprosić o twoją rękę. Zrozumiała mnie pani?



Stała z głową pochyloną. — Zabierz mnie z sobą — zaraz, zaraz teraz!

Ujął ją za ramię. — Idź teraz do domu. Bóg widzi o ile mnie ciężej, niż tobie. — Pozwoliła się prowadzić, szczęśliwa, że czuje na ramieniu jego gorącą rękę.

Z gąszczu wyłonił się wysoki peon. — Va adentro, seńorita! — mówił ochryple. — Pronto!

Obróciła twarz ku Kettelringowi, a oczy płonęły jej Bóg wie czem. — Adios — rzekła i podała mu rękę.

— Ja wrócę, Mary, — mruczał zrozpaczony este hombre, miażdżąc jej palce. Pochyliła się szybko i wilgotnemi usty pocałowała go w wierzch dłoni. Omal nie krzyknął ze zgrozy i miłości.

— Va, va, seńorita, — chrypiał peon i ustąpił.

Przycisnęła tę dłoń z całej siły do serca i podstawiła mu twarz. — Adios! — wyszeptała i pocałowała go usty i twarzą pełną łez.

Stara India objęła ją ramieniem. — Ay, ay, señorita, va a la casa, va a la casa!

Pozwoliła się odprowadzić jakby niewidoma, wlokąc frendzlę szalu po ziemi.

Kettelring stał bez ruchu jak ciemny słup i miętosił w ręku małą koronkową chusteczkę, pachnącą mocno. — Va señor — mruczał vaquero tonem perswazji.

— Gdzie jest Camagueyno?

— Czeka na pana. — Peon potarł o spodnie zapałkę, by pan Kettelring mógł zapalić cygaro. — Tędy, proszę pana.

Stary Kubańczyk siedział przy stole i liczył pieniądze. Mr. Kettelring patrzył nań przez chwilę, a potem się roześmiał. — To dla mnie, prawda?

Camagueyno podniósł oczy. — To dla pana, panie Kettelring.

— Zapłata, czy udział w zyskach?

— Jedno i drugie. Może pan to sobie przeliczyć.

Kettelring powtykał pieniądze do kieszeni. — Ale żeby pan wiedział, panie Camagueyno — rzekł jak najwyraźniej — ja po nią przyjdę.

Kubańczyk bębnił palcami po stole. — Niestety,



w papierach Kettelringa stoi, że jest żonaty. Cóż robić?

— Kettelring już nie powróci — rzekł este hombre powoli.

Camagueyno patrząc na niego mrugnął oczami z wesołem niedowierzaniem. — No cóż? Ostatecznie dowody osobiste można dostać za parę dolarów. Niedrogo.

Este hombre usiadł bez zaproszenia i nalał sobie rumu. Był w tej chwili taki trzeźwy, jak chyba nigdy. — Przypuśćmy, Camagueyno, że inaczej nie dałoby się nic zrobić. Ale dobry, duży majątek byłby chyba tyle wart, co dobre imię. Nieprawdaż?

Kubańczyk potrząsnął głową. — U nas na Kubie dobre imię kosztuje bardzo drogo.

— Ile mniej więcej?

Kubańczyk się roześmiał. — Ech, mój Kettelringu — czy wolno tak nazywać pana jeszcze? — sam pan chyba wie, ile zgrubsza wynosi mój majątek.

Kettelring gwizdnął. — Niechże pan gada rozsądnie. Tyle nie zdołam zarobić przez całe życie.

— Prawda, że nie — zgodził się Kubańczyk i chichotał. — Minęły te czasy i nigdy już nie wrócą.

Kettelring napił się znowu i rozmyślał. — Prawda i to. Ale gdyby się zdarzyło, że majątek pański zmniejszyłby się w ciągu paru lat bardzo znacznie, wówczas łatwiej byłoby dogonić pana. Prawda?

Obaj spoglądali sobie w oczy z uporem. Gra się w otwarte karty.

— Przypuśćmy, Camagueyno, że ktoś zna nawskroś pańskie interesa i umowy — z takiemi wiadomościami można niejedno rozpocząć.

Kubańczyk sięgnął po butelkę z aguardiente, nie myśląc o swej wątrobie. — Bez pieniędzy — rzekł— nic się zrobić nie da.

Kettelring wskazał na swoją kieszeń. — Narazie to mi wystarczy.

Camagueyno śmiał się, ukazując długie żółte zęby, ale jego oczy były zwężone niby złe i głębokie strzelnice. — Życzę panu dużo szczęścia, panie Kettelring. Dałem panu dużo pieniędzy, prawda? No, cóż robić? A la salud!

Kettelring wstał. — Ja tu wrócę, Camagueyno.

— Adios, muy señor mio. — Camagueyno kłaniał się według starego zwyczaju kubańskiego i odprowadził szacownego gościa aż ku drzwiom. — Dobranoc, mój panie, dobranoc!

Wysoki peon zatrzasnął za Kettelringiem kratę żelaznych drzwi. — Dobranoc panu! — I Przypadek X odchodzi śród kwitnących żywopłotów bougainvillej drogą, która bieleje w gwiaździstej nocy niby droga mleczna.



## XXXIII

Teraz oddala się już nie ten obojętny człowiek, przed którego zimnemi oczami przesypywał się kalejdoskop portów i plantacyj, ale zdecydowany zdobywca i zabijaka, idący w szeroki świat z zadartą głową, człowiek przemieniony do gruntu, którego napięte mięśni zdają się szczękać, jak żelazo. Jakby się narodził poraz drugi. Ale czyż nie w tem tkwi najwyższa płciowość miłości? Czyliż nie rodzimy się naprawdę z piersi i łona kobiety, którą kochamy? I czyż to łono nie krzyczy za nami dlatego właśnie, iż chce nas zrodzić? Teraz jesteś mój, albowiem w bolesnych wstrząsach urodziłam cię młodego i pięknego. I czyliż osiągnięcie miłości nie jest nam czemś jakby początkiem nowego życia? Powiedzą: złudzenie! Ale czyliż złudzenia mają przyczyny mniej głębokie, niżli rozczarowania?

Pójdziemy więc za nim najpierw na Haiti. Jest tam moczar, o którym mówią, że w nim są złoża czarnego bitumu. Ale ten moczar wydziela taką okropną woń, że w jego pobliżu nie wytrzyma ani ptak, ani ropucha, ani nawet murzyn. Pojechał tam konno — dajmy na to z Gonaiwy, ale konia musiał pozostawić na drodze i razem ze swoimi murzynami przebijać się siekierką przez gąszcza, aby wreszcie dotrzeć do celu podrapany i pocięty cier-

niami i wysoką trawą, ostrą jak brzytew. Murzyni uciekli od niego, musiał zawracać za nimi i płacić im wynagrodzenie potrójne. Pomimo tego wysokiego wynagrodzenia dwaj spośród nich zginęli w drodze: jednego ukąsił wąż, drugiego schwyciły kurcze tak gwałtowne, iż zadusił się z żółtą pianą u gęby. Najwidoczniej jakaś trucizna, ale murzyni byli przekonani, że to sprawka czarów i nie chcieli iść dalej.

Nareszcie dotarł do tego moczaru i przekonał się, że nie jest tak źle. Były tam masy komarów, czyli że żywa istota oddychać tu może. Miejsce było w każdym razie okropne: czarne i duszne, jakby się smażyło w słonecznym żarze. Miejscami bulgotała jakaś żółta ropa i to właśnie śmierdziało nieznośnie. Wrócił do Gonaiwy, kupił te grunta i zawarł umowę z jakimś złodziejskim mulatem, który miał mu zbudować drogę do „jeziora Asfaltowego", jak je patetycznie nazywał. Poczem odjechał, powiedzmy, na Puerto Rico.

I teraz zabrał się do rzeczy nie na żarty. Postanowił prowadzić grę przeciwko Camagueynie, to znaczy przeciwko cukrowi. Już dawniej donosił staremu Kubańczykowi, że z cukrem niema dziś interesu, ale Kubańczyk nie chciał mu wierzyć. Wielka konjunktura trzciny cukrowej należy do przeszłości. Rzecz prosta, że stary wyga odczuje to na własnej



skórze. Wiedział o ludziach, którzy gotowi byli nabyć niektóre grunta Camagueyny. Poszedł więc do nich, aby ich zapytać, wiele byliby gotowi zapłacić. Dobrze, gwarantuję wam, że dostaniecie te grunta za połowę ceny, jeśli zapewnicie mi taką a taką prowizję. Kubańczyk tkwi w trzcinie cukrowej aż po uszy i będzie musiał sprzedawać jedno za drugiem, byle prędzej, byle prędzej, żeby się wydostać z tego cukru. Ale wypadnie jeszcze troszeczkę pochodzić dokoła tych spraw.

A potem pędził, dajmy na to, na Barbudę, Terre Basse, Barbados, Trinidad. Przekonał się, że Kubańczyk już czuje pismo nosem i zaczyna się wyprzedawać, żeby uratować swoje pieniądze. Kettelring zakasał rękawów i rzucił się w wir tej roboty z wielkim rozmachem. Zaproponujcie mu czwartą część, rozwiążcie umowę, powiedzcie mu, żeby was pocałował w nos. To, co nadchodzi, będzie takim cukrowym krachem, jakiego świat jeszcze nie widział. Cukrownię będzie można kupić na wagę starego żelastwa, a plantację za garść bobu. Tymczasem cena cukru spada, trzecia część zeszłorocznego urodzaju leży w składach. Naco to się zdało? Nie można tego użyć nawet za opał, chyba, że ktoś chciałby osłodzić ocean Atlantycki. Cóż to będzie za śliczny słodki bigos, panowie!

Podobne to było do lawiny, gdy wszyscy rzucili

się do ucieczki od cukru (uciekano od niego rzeczywiście) i każdy sprzedawał wszystko, co miał i czego nie miał. Dobrze, teraz stary Camagueyno może sobie poszukać nabywców swoich cukrowni i plantacyj. Trzeba przyznać, że starszy pan broni się doskonale, ale i w jego ofertach daje się wyczuwać panikę.

Chciałbym wiedzieć jak szybko podnoszą się i opadają jego krzaczaste brwi. Oczywiście, zrujnuje to mnóstwo ludzi, ale inaczej być nie może. Czyliż naprzykład litował się kto nad biedakiem Pierrem? Starzy plantatorowie chodzą z nosami zwieszonemi na kwintę i pojąć nie mogą, co się właściwie dzieje. Nikt im nie chce nic dać za ich trzcinę i kawę, wanilję można nabywać za bezcen, banany przepadają skutkiem choroby panamskiej. I nie można nawet uciec od tych fatalnych wysp, bo któż ostatecznie interesowałby się temi gruntami, aby je kupować lub choćby dzierżawić? I to nazywało się jeszcze przed niewielu laty złotemi Antylami!

Wreszcie Camagueyno przestał się bronić. Miał taki dobry nos, że nie czekał na ostateczność i wyprzedawał się, jak to mówią, za wszelką cenę. Ale potrafił, spryciarz, ocalić przynajmniej trzecią część swego majątku. Mr. Kettelring odetchnął zadowolony. Niewiele pozostało mu z tych prowizyj, jakie sobie zastrzegł, bo takie życie jest kosztowne przy koniecznej okazałości, a miejscami trzeba było wydatnie wspomagać bieg wydarzeń. Teraz więc nastanie kolej asfaltu. A tego asfaltu nie może dobywać byle kto i byle gdzie, jak się hoduje trzcinę, albo kakao. Na asfalt można postawić grubo. Stawiam na czarne przeciwko białemu.

Zamówił kotły i beczki, nabył całą kolejkę polową i przeprowadził się spowrotem na Haiti.

*

* *

Kochany doktorze, doznaję uczucia ulgi na myśl, że znów będę w domu śród zapachu tymianku, zapachu jałowca i z bukiecikiem łez Matki Boskiej w ręku. Dziwne to, że takim niepokojem napełniają nas obce kraje. Byłbym stanowczo rewolucjonistą, gdybym nie żył na ziemi ojczystej. Tutaj (mianowicie na wyspach) odczuwam bezprawie i zgrozę rzeczy mocniej... a przynajmniej nienawistniej, niż w domu. Gdybym naprawdę chciał napisać swoje opowiadanie, nie brakłoby w niem człowieka w rozchełstanej koszuli z karabinem na postronku, przerzuconym przez ramię. Tym partyzantem, tym mścicielem, tym namiętnym przeciwnikiem wszelakich Kettelringów, byłbym również ja.

Ale trudna rada, muszę z tego zrezygnować. A gdy

usiądę na ojczystej miedzy, a w palcach miąć będę zapach rezygnacji, rozpłynie się i zgroza i nienawiść, a ja upuszczę polny kwiatek, północny kwiatek, na grób mieszańca w rozchełstanej koszuli, który poległ gdzieś na Wyspach w walce przeciwko Interesom Gospodarczym.

## XXXIV

Tu zadzierzgnęły się losy Przypadku X. Dajmy na to, że mulat-kontrahent porzucił drogę niedobudowaną i uciekł oczarowany wizją powodzenia tancerza kabaretowego. Mr. Kettelring zaczął budować drogę sam i budował ją drogo, ponieważ śpieszył. Nie zdołał zmusić murzynów, aby wozili kamienie na taczkach. Taki czarny drab kładzie sobie kamień na głowę i niesie go niby kosz z ananasami. A taczki przydadzą się chyba tylko na to, żeby w nich wozić dziewczyny, wrzeszczące i wierzgające nogami.

Och, tłuc tych drani pięścią po pyskach, żeby zrozumieli, że życie nie jest li-tylko na to, aby się mogli gdakliwie chichotać! Za kolumnami robotników wlokły się gromady dziewczyn. W nocy kręciły zadami przy dźwięku gitar i tamtamów, podczas gdy Kettelring miotał się dręczony rozpaczliwą niecierpliwością. Nawet nie odważył się napędzać tych drabów do roboty, jak byłby pragnął. Kryzys gospodarczy zwalił się także na Haiti, i to z takim skutkiem,



że murzyni w mierze niebywałej oddawali się wuduizmowi i że co tydzień poręby leśne stękały ich wściekłym szałem. Powracali niby cienie, wyczerpani i zdziczali, a Kettelring nie wypuszczał rewolweru z rąk nawet w nocy, wsłuchując się w ciapanie bosych łap. W sąsiedztwie przepadło dwoje, czy troje dzieci i Kettelring ani myślał wszczynać w tej sprawie dochodzenia. Nawet czarna policja z Gonaiwy, bosa i ze złocistemi epoletami, która przybyła, aby przeprowadzić śledztwo, miała się na baczności, i za nic w świecie nie byłaby się przyznała do znalezienia w lesie pewnego kamiennego ołtarza, do którego wiodły ścieżki dobrze wydeptane.

Mijał miesiąc za miesiącem, a razem z mijającemi dniami topniały środki Kettelringa i marniało jego zdrowie. Dręczyły go wrzody i gorączki, ale nie chciał się leczyć, żeby mu się ta banda murzynów nie porozłaziła. Pilnował ich oczyma zapadłemi z nienawiści, a rozkazy wydawał ostrym sykiem. Jeszcze droga nie była gotowa, a już osiadł w pobliżu moczaru asfaltowego w baraku na słupach, aby kierować budową kolejki polowej. Ale tymczasem porozkradano mu szyny, leżące w porcie w Gonaiwie. Bóg raczy wiedzieć, na co się komu zdały! Całe to miejsce śmierdziało siarkowodorem i fermentowało żółtawem ropieniem, niby olbrzymi rozpadający się wrzód. Moczar dyszał żarem, jak rozpalony kocioł,

w którym gotuje się smołowiec, a stopy przy każdym kroku grzęzły w zastygającym drżącym i chlupoczącym bitumie.

Nareszcie droga dowlokła się do moczaru i Kettelring pojechał do Port au Prince poszukiwać kredytów, zdobywać auta ciężarowe i beczki, najmować szoferów i dozorców. Gdy powrócił, na miejscu nie było żywego ducha. W samym środku moczaru miał się ukazać djabeł i rozbujał całe mokradło tak, że kipiało ono niby wrące powidła. Z trudem spędził garść parszywych i chorych murzynów z kaprawemi oczami, pełnemi much, i zaczął kopać asfalt. Był to lśniący, czarny glancepitch najlepszego gatunku. Gorzej było z autami. Jedno rozbił mulat, wiozący kotły i beczki z Gonaiwy, drugie wjechało w moczar i po kilku dniach znikło pod powierzchnią. Pozostało więc tylko jedno do transportowania asfaltu do portu.

Kettelring dogląda kotłów, żeby smoła była dokładnie wygotowana. Jest czarny i brudny jak palacz i trzęsie się z zimnicy przy tym piekielnym ogniu. Zresztą malarję mają tu wszyscy, więc nic osobliwego. Nawet już nie dotyka rękoma wiadomej chusteczki koronkowej, żeby jej nie umazać. Nie myśli o niczem, tylko o beczkach pełnych asfaltu. No, teraz już wszystko pójdzie i Kettelring mrużąc oczy, spalone żarem, zgorączkowanym palcem rysuje



w powietrzu fabryki, które tu staną. Haiti Lake Asphalt Works, czy coś takiego.

Oczywiście, ma się i zgryzoty, choćby i z tym mulatem, który wozi beczki do Gonaiwy. Auto psuje się ciągle, a ten śmieje się w oczy. Kiepski samochód, proszę pana, i droga niedobra. Kettelring wyrzucił go i teraz jeździ sam, z brzękiem i szczękiem zwozi beczki do portu i cieszy się, że jest ich tam już tak dużo. Setki beczek, a dalsze setki zostaną zwiezione. Co za piękno! Tylko że ten wygnany mulat to wielkie ladaco i widział był kawał świata. Wałęsał się w pobliżu Haiti Lake Asphalt Works z koszulą rozchełstaną na piersi i gadał dużo o warunkach pracy i bezwstydnych obcokrajowcach tak długo, aż dnia pewnego przyszło do Kettelringa czterech murzynów, którzy przestępując z nogi na nogę, powiedzieli w niewielu słowach, że albo przyjmie tego mulata spowrotem, jako nadzorcę, albo...

Kettelringowi uderzyła krew do głowy. — Albo? — — — Pytanie to rzucił im repetując rewolwer.

Wybuchł strajk. Zorganizowany strajk obok obrzędów ludożerczych, jak to już bywa dzisiaj. Przy pracy pozostało już tylko paru ludzi tak chorych, iż nie byliby doszli do domu piechotą. Zdaje się, że Kettelring zwarjował. Chwycił oskard i stojąc po kolana w błocie, zaczął sam wyłamywać bryły asfaltu. Dysząc i sapiąc z wysiłku, dźwigał je ku kotłom, pod-

czas gdy chorzy murzyni przyglądali się mu z rozdziawionemi gębami, nie odważając się dotknąć łopaty. Gdy nanosił pełen kocieł, wybuchnął płaczem.

— Pierre! Pierre! — szlochał i tłukł się pięściami po głowie. Potem ci chorzy pouciekali także.

Przez dwa dni siedział jeszcze Kettelring nad opuszczonem jeziorem asfaltowem i patrzył, jak wykopane doły powoli zalewają się nowym asfaltem. Tysiące, setki tysięcy ton asfaltu. Setki i tysiące beczek, które czekają na nabywców! Potem w koronkową chusteczkę zawinął kawałek asfaltu surowego i kawałek oczyszczonego, lśniącego jak antracyt i turkocząc pustem autem ciężarowem, pędził do Port au Prince. Przez czterdzieści osiem godzin spał tam jak zabity.

I znów stoi przed kutą kratą Kubańczyka i wali kołatką we drzwi. Otworzyć! Otworzyć! Wysoki peon stoi za kratą, ale nie otwiera. — Que desea, señor?

— Chcę się widzieć z Camagueyną, ale zaraz! — chrypi Kettelring. — Otwieraj, człowieku!

— No, señor — mruczy stary peon. — Kazano mi nie wpuszczać pana.

— Powiedz mu—miażdży Kettelring słowa—, powiedz mu, że mam dla niego interes, ogromny interes do zrobienia. — I chrzęści w kieszeni dwoma kawałkami asfaltu. — Powiedz mu — — —

— No, señor.



Kettelring trze czoło. — Mógłbyś oddać list — — — list ode mnie — — —

— No, señor.

Cisza, wieczór pachnie kwitnącą koralitą.

— Buenas noches, señor.

*

* *

I znowu nazad, na wyspy. Puerto Rico, Barbuda, Gwadelupa, Barbados, Trinidad i Curaçao. Jankesi, Anglicy, Francuzi i Holendrzy, kreole i mieszańcy. Wszędzie ma swoje stosunki handlowe, wszędzie spotyka ludzi, którym przykładał nóż do gardła, albo którzy pomagali mu robić cukrowy smash. Tacy wiedzą dobrze, z kim mają zaszczyt. Wyjmuje z kieszeni dwa kawałki asfaltu, zawinięte w koronkowej chusteczce i pokazuje. Patrzcie, oto mi asfalt czarny i lśniący jak źrenica. Tysiące, setki tysięcy tonn, całe jezioro. Na tem można zarobić miljony. Więc co, idziecie ze mną?

Drapią się po głowie i wzdychają. Ciężkie czasy, Mr. Kettelring. Co znowu, nawet asfalt już nie idzie. Na Trinidadzie podobno zwalniają robotników - - - Zdawało się, że po utracie wiary w cukier, stracili wiarę w cokolwiek innego na świecie. Nie, nie, kochany panie, nie da się nic zrobić. Ani centa, ani penny nie warto już wkładać w te przeklęte wyspy.

Co za wspaniały wynalazek kolonje! Odkryć kraje, które nie są dla człowieka ojczyzną, lecz jedynie terenem eksploatacyjnym! Jakże to musiało spotęgować zdolności gospodarcze człowieka!

Kettelring wałęsa się statkiem od portu do portu. W dzień śpi, a w nocy stoi na dziobie statku jak słup. Możnaby linę do niego przywiązać. Co za ogromna granatowo - czarna noc, szyta błyskawicami, wyiskrzona gwiazdami! Huczące morze, fosforyzujące, błyszczące, czarne jak antracyt. Sam asfalt, proszę pana, miljony i miljardy tonn, na tem można zrobić miljony. Statek wlecze się ociężale, dygocze, szarpie się, jakby nie mógł ruszyć z miejsca. To może śruba okrętowa wierci się w czemś oleistem i gęstem, co oblepia jej łopatki. Czarne to takie, jak czarna i ciężka nafta. I czarny statek przebija się powoli przez bezmierne jezioro asfaltowe, które zamyka się za nim niby gęsta kasza. Dobranoc, señor...

Tam w górze... to mleczna droga, podobna do nocnej drogi, jasnej drogi między fioletowemi bougainvillejami i niebieskiemi gronami petrei. Jak to pachnie, jak to wszystko pachnie ciężkiemi różami i jaśminem! Kettelring przyciska do ust pogniecioną koronkową chusteczkę. Pachnie asfaltem i czemś niezmiernie już dalekiem. Ja wrócę, Mary, ja wrócę!

*

*   *



Ale wszyscy kręcą głową z wielką nieufnością. Trudna rada, nic się nie da zrobić, panie Kettelring, niema kredytów, nikt do niczego nie ma ochoty. Na Dominice też już zamknęli dobywanie brył asfaltu. Ale gdyby pan poczekał dziesięć, dwadzieścia lat, to już byłoby co innego. Przecież te przeklęte stosunki obecne nie mogą trwać wiecznie!

Teraz pozostaje już tylko jedna droga do tych panów z Trinidad Lake Asphalt Company. Na Trinidadzie jeszcze zgrzyta kolejka linowa, zwożąca beczki asfaltu prosto na statki, ale zgrzyta jakoś bardzo ostro i rdzawo. Owi zaś panowie pozwolili mu stać niby petentowi, gdy rozwijał swoją koronkową chusteczkę z dwoma kawałkami asfaltu. Nawet nie spojrzeli na niego. Co pan chce, panie... panie... Cattlering, wszak tak? My tu mamy swego asfaltu conajmniej jeszcze na pięćdziesiąt lat i starczy go aż nadto jak na nasze zapotrzebowania światowe. Tu inwestowaliśmy tyle pieniędzy, pocóż mielibyśmy otwierać nowe źródło?

— Ale mój asfalt lepszy, niema w nim tyle wody i iłu... Tryska tam także ciężka nafta.

Śmieli się z niego. Tem gorzej, panie... Cattle. Czy nie możnaby tego zatopić, żeby wszystko znikło pod wodą? W tym wypadku moglibyśmy ten objekt kupić, oczywiście, po zwykłej cenie gruntów na Haiti. Good-bye, Mr. Kling.

(Good-bye, good-bye! Nareszcie z tem skończyłem i odrazu mi ulżyło. Nie czułem się dobrze w tym świecie handlu i tranzakcyj, który był mi bardziej obcy od moczarów z aligatorami, ale cóż robić, znalazłem się w nim, jak się człek znajdzie niekiedy w lesie dziewiczym. Nawet Kettelring gubił mi się w tamtem środowisku, ale, chwalić Boga, odnaleźliśmy się znowu! Niechże pan wie, że i on odnajdzie siebie. Nikt nie spotyka się z sobą tak mocno, jak człowiek nieszczęśliwy. Chwała Bogu, teraz znów jesteśmy w domu, i to jest mój własny powrót. Wraca człowiek z pustemi rękoma, taki, co nie przedstawia nic innego, tylko człowieka, który żył).

*

* *

Pewnego wieczoru siedział przypadek X w pokoju mulackiego hotelu w Port of Spain, pełnym pluskiew i lepkich much. Poprzez cienkie ściany słychać było jak ktoś mówi i jęczy przez sen i jak marynarz pieści mulatkę. Cały hotel rozbrzmiewał brzękiem talerzy, pijanemi kłótniami, rżącym śmiechem, gorącem sapaniem i charczeniem, jakby ktoś umierał.

Przypadek X założył na swą maszynę do pisania kartę papieru z nagłówkiem Haiti Lake Asphalt Works i zaczął powoli wystukiwać: — Dear Miss Mary — — —



Nie, tego listu nie można pisać na maszynie! Kettelring siedzi zgarbiony nad kartką papieru i ślini ołówek. Rozpaczliwie trudno zacząć, gdyśmy tak dawno, gdyśmy wogóle, o ile pamięć nie zawodzi, nigdy tak nie pisali, aby łączyć litery według niezmiernie subtelnych prawideł i zwyczajów. Na maszynie dałoby się to wypisać daleko łatwiej, nie bolałoby tak i nie rozpływałoby się wszystko przed oczami. Kettelring garbi się jak uczniak piszący pierwsze swoje wypracowanie. Oh — — — oh — — — ho-o-o — — —! stęka mulatka w sąsiednim pokoju, a ktoś duszony przez zmorę, jęczy, jakby konał.

Droga, jedyna, najdroższa, to jest mój pierwszy i ostatni list. Obiecałem, że wrócę, że przyjadę jako człowiek, który ma imię i majątek. Teraz nie mam już nic, jestem rozbitkiem i odchodzę. Dokąd? Jeszcze nie wiem. Obecne życie moje dobiega końca, a nie zdołam rozpocząć życia nowego. Pewne jest tylko, że Kettelringa już niema i że daremnem byłoby dochodzenie, kim on właściwie był. Gdybym wiedział, że gdzieś na świecie jest miejsce, gdzie można żyć bez imienia, poszedłbym tam. Ale człowiek musi mieć imię, choćby był tylko żebrakiem.

Jedyna moja miłości, cóż to za szaleństwo, że nazywam cię jeszcze miłością i mówię, że jesteś moją! Teraz już wiesz, że nie powrócę, ale wiedz także, że cię kocham jak pierwszego dnia, a nawet nieskoń-

czenie bardziej, bowiem, im ciężej mi było na świecie, tem więcej cię kochałem.

Kettelring zamyślił się. Kto wie, czy jeszcze czeka na niego? Trzy lata ubiegły od chwili, gdy odszedł. Może już jest żoną jakiego Jankesa w białych trzewikach... No, niechże będzie szczęśliwa!

Nie wiem, czy wierzę w Boga, ale składam ręce i modlę się, abyś była szczęśliwa. Musi istnieć jakiś mądry Bóg, czego dowodem jest choćby to, że losu twego nie połączył z moim. Żegnam cię, żegnam, już się nie zobaczymy...

Kettelring musiał się pochylić nisko nad papierem, bo nic nie widział, i szybko nakreślił podpis. Ale w tej chwili zdrętwiał, jakby coś mocno huknęło go w łeb. Nie podpisał się imieniem: George Kettelring. Nie widząc nic poprzez łzy, zalewające mu oczy, na oślep, nieświadomie, wypisał prawdziwe imię swoje, które na tyle lat zniknęło mu z pamięci.

## XXXV

Nie wytrzymał w hotelu, musiał wyjść na dwór, w noc. Siedzi w porcie na kupie podkładów dozorowanych przez murzyńskiego strażnika, łokciami wparł się w kolana i patrzy w czarną, pluszczącą wodę. Teraz wie wszystko i nawet wspominać nie potrzebuje. Układa w sobie całe życie niby karty, żeby jedna nie wystawała nad drugą, i tylko odwraca tę



lub ową kartę. Dobrze, dobrze, są wszystkie i ani jednej nie braknie. Takie ma dziwne uczucie — — — ulgi, czy może bolesnego przepełnienia.

Powiedzmy dom rodzinny. Dom bez matki, duże pokoje z ciężkiemi zasłonami i ciemnemi meblami, pełnemi dostojeństwa. Ojciec, który nie miał czasu dla dziecka, był obcy i surowy. Wystraszona, bojaźliwa ciotka — — — uważaj chłopczyku, tam nie siadaj, nie wtykaj palca do ust, nie baw się z temi brudnemi dziećmi. Czerwono-zielona piłka, zabawka najmilsza, bo skradziona na ulicy beczącemu dzieciakowi, jednemu z tych szczęśliwych dzieci, którym wolno było biegać boso i z nosami usmarkanemi, bawić się w błocie, albo siedzieć w kucki nad kupą piasku...

Były pan Kettelring uśmiecha się i oczy mu błyszczą. No, widzisz, ciotko, jednak postawiłem na swojem i biegałem boso i umazany jak węglarz, jadałem ogórki czuczu, które murzynka ocierała brudną koszulą, i niedojrzałe guajawy, zbierane w kurzu drogi. — Niegdysiejszy Kettelring ma niemal poczucie zadowolonej zemsty. Jednak postawił na swojem!

Dalej. Niespokojny chłopak, którego naturalna dzikość tłumiona jest przez tak zwane wychowanie. Zaczyna rozumieć rzemiosło własngo ojca. Tem rzemiosłem są fabryki, jest niem to, aby jaknajwiększa

ilość ludzi zmuszona była pracować jak najtaniej i jak najwięcej. Chłopak widzi masy robotników, wylewających się z bram fabrycznych i pachnących jakoś osobliwie, kwaskowato; ma też wrażenie, że wszyscy go nienawidzą. Ojciec przyzwyczajony jest do krzyczenia i rozkazywania. Bóg sam wie, ile trzeba się nawściekać, żeby zdobyć takie bogactwo. Możnaby rzec, że ta złość nawet się nie opłaca, ale trudna rada, majątek to nie martwa masa, chce żreć, żeby nie zdechnąć i musi być należycie karmiony.

Tobie, chłopcze, zostanie kiedyś przekazana ta własność, nie poto jednak, abyś ją miał, lecz abyś ją pomnożył. I dlatego ucz się oszczędzać i zabiegać, jeśli chcesz kiedyś przymuszać innych, aby ciężko pracowali i przestawali na małem. Wychowuję cię dla życia praktycznego, wychowuję cię dla swego majątku...

Były Kettelring roześmiał się ironicznie. Aha, więc to mam po ojcu, że umiałem rozkazywać i gnębić ludzi, a więc jednak coś odziedziczyłem. Wtedy, oczywiście, wtedy takie rzeczy nie mogły się młodemu chłopakowi podobać. Był naogół lekkomyślny i leniwy, chociaż może jedynie przez upór przeciw temu, co mu było narzucane jako jego przyszłość. Nie jesteśmy przecież na świecie dla samych siebie, lecz abyśmy służyli majątkowi. Kto nie służy własnemu, stanie się niewolnikiem cudzego — tak jakoś brzmi



naczelne prawo życia. A ty, chłopcze, pójdziesz moim śladem.

Niegdysiejszy Kettelring rozdygotał się od milczącego śmiechu. Nie, stanowczo nie poszedł tym śladem. Był tylko królewiczem następcą tronu, który nie może doczekać się chwili, w której po dojściu do władzy pokaże wszystkim co i jak. Poprostu na złość i z uporu — złe towarzystwo i rzeczy podobne. Naturalnie, nie brakło i długów, śmiesznych wprawdzie, ale nie bardzo honorowych. Ojciec aż się trzęsie ze złości, gdy przesłuchuje syna, na coś to wydał i tam dalej. Myślisz sobie, ty smyku, że ja na to się zapracowuję, że na twoje gałgaństwa zarabiam i oszczędzam pieniądze?!

I wtedy synalek powiedział tatusiowi, co myśli. Oczywiście, zbudził się w nim tylko upór, chęć postawienia na swojem i namiętna gwałtowność. Zaciskając pięści wrzeszczy ojcu prosto w nos: Zabierz sobie swoje pieniądze, zeżryj je, ja ich nie chcę! Gwiżdżę ci na nie i brzydzę się niemi! Nie wyobrażaj sobie, że będę takim niewolnikiem pieniędzy, jak ty! — Ojciec zrobił się siny, aż dziw, że go wtedy szlak nie trafił. Wskazywał na drzwi i syczał: Marsz! Jeszcze tylko okazałe i mocne trzaśnięcie drzwiami i koniec. Synalek poszedł sobie.

Były Kettelring potrząsa teraz głową. Boże, co za głupstwa! Małoż to bywa w rodzinach takich scen?

A pal-że je djabli! Tylko że wtedy zderzyły się z sobą dwa łby uparte i nieustępliwe. Synalek już nie wrócił i nie usłuchał nawet wówczas, gdy wzywał go do siebie ojcowski adwokat. Dostojny przyjaciel ojca i jego doradca prawny znalazł wreszcie marnotrawnego syna w łóżku, które tamten dzielił akurat z jakąś teoretyczną i praktyczną anarchistką, a ponieważ jaśnie panek inaczej gadać nie chciał, musiał mu w takiej gorszącej sytuacji powiedzieć, co miał do powiedzenia.

Wywiązał się ze swego zadania całkiem ładnie. Trochę się wprawdzie chmurzył, nie szczędząc młodemu napomnień, ale równocześnie jaśniał taktowną i życzliwą wyrozumiałością, albowiem młodość musi się wyszumieć, osobliwie młodość dziedzica o takich perspektywach. — Ojciec pański — wywodził — nie chce się z panem widzieć, dopóki pan nie zmądrzeje. Nie wątpię, młody przyjacielu, że pan się o to postara i że się to panu uda. Nieprawdaż? Haha! Mówiąc między nami—rzekł z głową pochyloną pobożnie na bok—majątek (omal że nie powiedział: jaśnie wielmożny majątek) szanownego ojczulka pańskiego ocenia się obecnie na trzydzieści, do trzydziestu pięciu miljonów. Młody przyjacielu, z takim majątkiem żartów niema.

Był przytem bardzo poważny i uroczysty, ale znowuż się rozweselił. — Szanowny ojczulek pański polecił mi powiedzieć panu, że gotów jest aż do pełnoletności pańskiej wypłacać mu za mojem pośrednictwem pewne apanaże. — Wymienił sumę dosyć marną, bo stary sknera pozostał wierny samemu sobie nawet w sprawiedliwym gniewie swoim.—Oczywiście, że gdyby pan i potem nie doszedł do poglądów roztropniejszych — — — Adwokat wymownie wzruszył ramionami. — Ale ja mam nadzieję, że to będzie dla pana twarda wprawdzie, lecz zdrowa szkoła życia.

— No to dawaj pan mamonę — odezwał się dziedzic trzydziestu miljonów — i powiedz pan staremu, że życzę mu życia jak najdłuższego i niech sobie na mnie poczeka.

Anarchistka klaskała entuzjastycznie.

Dostojny adwokat pogroził jej żartobliwie grubym palcem.

— Niechże pani nie przewraca w głowie naszemu młodemu przyjacielowi. Pobawić się, i owszem, ale nic więcej, prawda?

Dziewczę pokazało mu język, ale promieniejący i wyrozumiały prawnik już gorąco ściskał rękę marnotrawnego syna. — Drogi, drogi przyjacielu, wszyscy z upragnieniem wyglądać będziemy rychłego powrotu pańskiego.

*
* *

Marnotrawny syn miał wtedy lat osiemnaście. Aż do pełnoletności swojej żył jakoś, jak potrafią żyć tylko ludzie młodzi. To znaczy, że teraz i sam nie umiałby powiedzieć, jak mu się wtedy żyło i, co najważniejsza, komu i ile został dotąd winien. Oczywiście: Paryż, Marsylja, Algier, Paryż, Bruksella, Amsterdam, Sewilla, Madryt i znów Paryż — — — O ile wiedział, ojciec jego po zerwaniu z synem jakby stracił ostatnią wewnętrzną zaporę, zabrał się z chorobliwym uporem do robienia pieniędzy i do wstrętnego starczego sknerstwa. Bóg z nim! Dopieroż nagromadzi mamony! Dokładnie od daty dojścia do pełnoletności przestały nadchodzić chude apanaże. Marnotrawny syn rozzłościł się. Myślą pewno, że teraz przyszurgam się na kolanach. Na złość — — — nie! — — — Próbował pracować, ale rzecz osobliwa, dopiero wtedy zwaliła się na niego bieda z nędzą, a gdy chciał powrócić do dawnego życia lekkomyślnego, już mu się to nie udawało, bo już miał na sobie znamię, które budziło podejrzenie biedy.

Miał wtedy dziewczynę, która zachorowała i straciła miejsce. Żal mu jej było i pragnął jej dopomóc. Napisał więc do ojcowskiego doradcy prawnego, że przypadkowo potrzebowałby na czas niedługi paru tysięcy franków... Otrzymał akurat tyle, ile kosztuje



podróż trzecią klasą z Paryża do domu i list, że szanowny ojciec gotów jest przebaczyć mu pod warunkiem, że syn zechce zabrać się w domu do roztropnej pracy i tam dalej. Właściwie wtedy dopiero zacisnął zęby, tym razem już bez lekkomyślnej fanfaronady i powiedział sobie: — Wolę zdechnąć z głodu.

Były Kettelring siedzący na belkach w Port of Spain na Trinidadzie, przeraził się nagle, bo słowa te wymówił nagłos. Tylko że tym razem kręcił nad niemi głową.

## XXXVI

Niegdysiejszy pan Kettelring widzi teraz z niesłychaną jasnością, że gdyby był uczciwie i rzetelnie ubogi, to już dawno byłby gdzieś osiadł na stałe, bo okazji potemu nie brakło. Mógł był przecież stać się buchalterem w Casablance, albo w Marsylji zostać komiwojażerem fabryki guzików z macicy perłowej. Ale uprzejmie proszę wyobrazić sobie, że jesteśmy spadkobiercą trzydziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu miljonów, czy też tylu, ile ich starszy pan tymczasem nagromadził. Jakże tu mieć cierpliwość i wytrwałość, aby kłócić się z grubym sapiącym sklepikarzem o cenę dwudziestu tuzinów guzików? Czasem miewał poczucie śmieszności swej sytuacji i nie zdobywał się na to, aby w pocie czoła i z należytą

gorliwością targować się o parę franków czy pesetów. Nagle widać mu było po oczach, że się tylko bawi, czy co, ludzi to obrażało, on zaś sam ulżył sobie od czasu do czasu kawałem tak prowokacyjnym, że nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zmienić miejsce i to z pośpiechem jak największym.

Były pan Kettelring przypomina to sobie z pewną rozkoszą. Niełatwo się wam poddałem, wy niedołęgi, a może jeszcze i dzisiaj robi wam się w gębie gorzko i sucho, gdy ze wściekłością wspominacie o tym zuchwalcu, który zachowywał się wobec was z takim despektem, że moje uszanowanie i raczcie mnie pocałować w nos.

Ale teraz, gdy się nad tem zastanawia, dochodzi do wniosku, że w gruncie rzeczy była to tylko taka sobie półrzeczywistość i w żaden sposób nie mógł się pozbyć uczucia, że to jest coś tymczasowego, co nie dzieje się naprawdę, ale jakby dla kawału i na próbę jedynie. Rzeczywisty był tylko ten upór, który wiódł go drogami i bezdrożami — głównie bezdrożami. Nawet w skrajnej nędzy miał te miljony tak blisko, że dość było rękę wyciągnąć, aby je posiąść. Ano możesz sobie niemi pobrzękiwać w kieszeni włócząc się ulicami jako indywiduum bezdomne i nie mające żadnego zajęcia. Możesz sobie ironicznie mrugać na ludzi, którzy skwapliwie schodzą podejrzanemu włóczędze z drogi. Gdybyście, wy głupcy,



wiedzieli, co ja zacz! Mieć miljony w kieszeni i nie móc kupić za nie nawet szklanki piwa, podczas gdy za pięć miedziaków dostaniesz herbacianą różę!

Było to dla niego niewyczerpanem źródłem uciechy i wesołości. Niepodobna ominąć dzikiej rozkoszy, z jaką poraz pierwszy żebrał. Zdarzyło się to w Barcelonie na Rambli śród stada wróbli — — — Z jakim przestrachem czcigodna starsza dama, mająca różaniec owinięty dokoła dłoni, spojrzała na łobuza, pokazującego jej zęby w uśmiechu, por Dios misericordia, seńora — — —

Niegdysiejszy Kettelring przetarł ręką czoło. Nie, nie byłbym tego wytrzymał, gdyby to było naprawdę — — — takie. Ale to była sobie tylko taka gra, czy zabawa z nicością. Jak gdyby się próbowało, jak długo można wytrzymać, zanim się wyciągnie rękę i zacznie się wołać o ratunek. Co za drażniąca udręka, stać na skraju chodnika i spoglądać na najpiękniejsze, promienne kobiety — — — Dość zechcieć, a byłybyście moje, ale teraz nawet mnie nie dostrzegacie, choroby! Cóż za cudowna wściekłość ta wyzwalająca pogarda dla wszystkiego! Oczywiście, także i dla tego, co się nazywa moralnością. Albowiem są cnoty biednych i cnoty bogatych, lecz niema żadnej moralności śród obdartusów, którzy nie chcą się zbogacić.

I nie chcą, gałgany, związać się trwale z jakiem-

kolwiek miejscem. Bo nie mówiąc już o więzach rodziny i zwyczaju, osiadłym czyni człowieka majątek albo zależność, a taki, co się nie troszczy o pieniądze i nic nie robi sobie z biedy, podobny jest do balonu bez kotwicznych lin i balastu, unoszącego się jak Bóg da i jak djabeł dmucha. Tak jest, włóczęgostwo to stanowczo szaleństwo, to zaburzenie w ośrodkach majątkowych, coś jakby utrata zmysłu stabilizacji. Włócz się więc, błaźnie, kiedy inaczej żyć nie potrafisz — — —

Zaraz, tutaj mam coś, czemu należałoby się przyjrzeć uważniej. Nie, to była tylko taka cielęca głupota. Właściwie nie — — — Wszystko jedno, nazwijmy to głupotą. Wtedy byłem czemś na statku i bawiłem w Plymouth. Wieczorem siadałem na Hoe pod pręgowaną latarnią morską z dziewczyną z Barbikanu. Taka chuda, malutka Angielka — miała lat siedemnaście. Trzymała mnie za rękę i próbowała sprowadzić spowrotem na dobrą drogę dużego zepsutego marynarza. Byłemu panu Kettelringowi roszczękały się zęby. Przecież to było prawie tak samo, jak wtedy, gdy... gdy... gdy Mary, Maria Dolores, trzymała mnie za rękę i chciała mnie doprowadzić do mego ja! O Boże, czyżby w życiu bywały takie znaki, których nie rozumiemy?

Były marynarz spogląda wytrzeszczonemi oczami na czarną wodę, ale widzi modry przejrzysty wieczór



na Hoe, czerwone i zielone światła bojek i tę dal, Chryste Panie, tę ładną i równą dal — — — Trzymała mnie za rękę i szybko oddychała, obiecaj mi, obiecaj, że będziesz dobry i — — kiedyś osiądziesz tutaj. Pracowała w jakiejś fabryce — — — Powiedzieć jej o tych miljonach, czyliż nie byłoby to czemś w rodzaju bajki z Tysiąca i jednej nocy? Miał te słowa już na języku, ale połknął je jakoś gwałtownie i pośpiesznie. Przy rozstaniu pocałowała go trwożliwie i niezgrabnie, a on powiedział, ja tu wrócę.

Jego statek odpłynął do Indyj Zachodnich, lecz on już nie wrócił.

Tak, a teraz chwalić Boga, wróciliśmy na stare śmieci i to już będzie wszystko. — Nie, to nie wszystko — odpowiada jakiś surowy i nieustępliwy głos. Przypomnij sobie tylko jak tam było dalej. — Cóż miało być? Uciekłem ze statku. Było to na Trinidadzie, akurat tutaj w Port of Spain, czy tak? — Tak, i co było dalej? — Potem spadałem coraz niżej, bo gdy człowiek raz zacznie spadać, to już trudna rada, nic mu nie pomoże. — I do czego doszło? Powiedz to sobie. — No, byłem tragarzem w porcie i magazynierem biegającym z papierami tam i sam. — I nic już więcej? — Byłem dozorcą murzynów nad jeziorem asfaltowem i pędzałem ich tak, że nie mieli czasu, żeby odwróconą dłonią otrzeć pot z czoła. — I jeszcze coś było, czy nie? — A tak,

byłem kelnerem na Gwadelupie i w Matanzas i podawałem mulatom cocktaile i lód — — —

I już nic gorszego?

Były pan Kettelring zakrywa twarz gorącemi dłońmi i jęczy. Daj spokój, to miało swoje znaczenie. To było zemstą, zemstą za to, że pozwolili mi upaść tak nisko. Żebyś wiedział, rozkoszowałem się swojem poniżeniem. Ścierwa, ścierwa, oto macie zeżryjcie sobie swoje miljony. Patrzcie wszyscy jak wygląda jedyny syn i spadkobierca miljonera!

Dobrze, tedy patrzmy!

Patrzmy, jest na utrzymaniu mulatki. Tak jest, teraz wiadomo. Kocha ją do szaleństwa i sprowadza do niej pijanych drabów, do tej dziewki najbardziej spodlałej i czeka tymczasem na dworze, na swoją cząstkę.

Tak się rzeczy miały.

Istotnie, tak było. — Głowa byłego Kettelringa opadła głęboko na pierś. — Siedział tam w kawiarni pewien Jankes, a ja uśmiecham się idjotycznie: Mogę pana zaprowadzić do pięknej dziewczyny — piękna, kolorowa — — — Amerykanin zerwał się zaczerwieniony, nie mogąc widać znieść tego poniżenia białego człowieka. Potem uderzył mnie w twarz, w ten oto policzek. — Na policzku byłego Kettelringa wyskoczyła czerwona plama. — Rzucił na ziemię pogniecioną pięciodolarówkę, podczas



gdy mnie wypychano na ulicę. Powróciłem jeszcze po tę pięciodolarówkę i łaziłem po czworakach jak pies — — —

Niegdysiejszy Kettelring podniósł oczy pełne zgrozy. Czyż się o takich rzeczach nigdy nie zapomni?!

Może jednak. Spróbuj, spróbuj zapomnieć o tem.

A tak, upijałem się jak zwierzę a jednak zapomnieć nie mogłem. Zataczałem się, łaziłem sam nie wiem gdzie — — —

— — —drogą podobną do drogi mlecznej śród żywopłotów kwitnących bougainvillej — — —

Tak, tak, właśnie tam. Słyszałem trzaskanie rewolweru i ktoś biegnący wpadł na mnie. A potem, potem wreszcie zapomniałem o wszystkiem, co było.

## XXXVII

Były Kettelring odetchnął. Tak, teraz się wszystko wydało i choćbyś robił nie wiem co, nic gorszego być nie może. A jednak i wtedy, kiedym łaził po czworakach jak pies, nie uległem, nie odezwał się we mnie głos: dość, poddaję się, a to jest mój powrót do domu, powrót z pokorną prośbą. Tylko piłem i ryczałem nad tem pohańbieniem człowieka. Było to — właściwie — — — pewne zwycięstwo.

A teraz się poddasz.

Tak, teraz się poddam, i jak chętnie, dobry Boże, jak chętnie! Gdyby mi kazali napluć sobie w twarz albo łazić po czworakach, zrobiłbym to. Wiem dla

czego. To dla niej, dla córki Kubańczyka.

Nie, to może dla tego, żeby zwyciężyć starego Camagueynę.

Milczeć, to nieprawda! To dla niej! Czyliż jej nie powiedziałem, że wrócę, czyliż nie dałem jej na to słowa honoru?

Twoje słowo honoru, włóczęgo, włóczęgo!

Niech będzie włóczęga, ale już wiem kim jestem. Cóż chcesz, całym staje się człowiek dopiero wówczas, gdy jest pokonany. Wówczas poznaje: oto jest prawda i rzeczywistość, rzeczywistość nieodmienna.

Ta porażka?

Ta porażka. Ogromne uczucie ulgi, że można się poddać. Skrzyżować ręce na piersi i poddać się — —

Czemu?

Miłości. Kochać w porażce i upokorzeniu — — — wtedy człowiek wie dopiero co to jest miłość. Już nie jesteś bohaterem, ale zhańbionym i spoliczkowanym włóczęgą. Łaziłeś po ziemi jak zwierzę, a jednak odziany będziesz w szatę najpiękniejszą, a na rękę twoją włożony będzie pierścień. To jest właśnie ów cud. Ja wiem, ja wiem, że ona czeka na mnie. A teraz mogę pójść po nią. Jezusie Chrystusie, jestem szczęśliwy!

Naprawdę szczęśliwy?

Niezmiernie szczęśliwy. Aż dreszcz mnie przebiega, dotknij, dotknij, zobacz jak mi płoną policzki.

Tylko lewy policzek. Ten, w który cię uderzono.

Nie, to nie to. Czyliż nie wiesz, że w ten policzek mnie pocałowała? Tak jest, pocałowała i zrosiła go łzami, nie pamiętasz? Wszystko odkupione — małoż to bólu kosztowało? Samej tęsknoty ile było, a to piekło, ta straszna praca, — wszystko było dla niej.

I ten policzek?

— — — Tak, i ten policzek był dla niej. Aby mógł stać się cud. A teraz po nią pójdę. Będzie czekała w ogrodzie, jak wtedy — — —

— — — i dłoń swą włoży w twą rękę.

Na Boga, nie mów o jej dłoni! Powiesz: dłoń, a mnie dygocą palce i usta. Jak to ona mnie wtedy wzięła za rękę — — — Wspominam gładkie jej palce. Przestań, przestań!

Jesteś niezmiernie szczęśliwy?

Tak, nie, poczekaj, to minie. Przeklęty płacz! Jak to być może, żeby człowiek tak szalenie kogoś kochał! Gdyby na mnie czekała tam oto, koło tego żórawia, przeraziłbym się, o Boże, jak to daleko, kiedy ja do niej dojdę! Nawet gdybym ją trzymał za ręce, za ramiona — — — Boże, jak daleko!

Jesteś więc szczęśliwy?

Nie gadaj głupstw, sam przecie widzisz, że omal nie szaleję! Kiedy ją zobaczę? Przedtem muszę wró-

cić do domu, prawda, muszę pochylić głowę i przeprosić kogo trzeba, muszę wziąć na siebie imię człowieka. A potem znowuż za morze — — — Nie, to przecie niemożliwe, tego nie przeżyję, to niemożliwe, taki kawał czasu!

Czy nie lepiej pojechać najpierw do niej i powiedzieć jej — — — ?

Nie, tego uczynić nie mogę, to nie wypada. Powiedziałem, że po nią przyjdę, gdy będę miał prawo do tego. Nie mogę jej zawieść. Najprzód do domu, a potem, dopiero potem — — — Zakołaczę w tę kratę, jak ten, kto ma prawo kołatać. Otwórzcie, idę po nią.

Czarny strażnik, który już od dość dawna przyglądał się temu człowiekowi, rozmawiającemu z sobą i wymachującemu rękoma, podszedł do niego. — Hej, panie!

Były Kettelring podniósł oczy. — Rozumie pan — mówił szybko —, najpierw do domu. Nie wiem, czy ojciec mój jeszcze żyje, ale Bóg widzi, że pocałuję go w rękę i powiem: pobłogosław, ojcze, włóczęgę i pastucha świń, który żądał sycić głód młótem dawanem świniom. Zgrzeszyłem przeciwko niebu i przed tobą i nie jestem godzien być nazywany synem twoim. Zaś on, stary sknera, ucieszy się i powie: — Oto ten syn mój był umarł i znowu ożył,



i zginął, a znaleziony jest. — — — Tak to, bratku, stoi w Piśmie.

— Amen! — rzekł czarny strażnik i chciał się oddalić.

— Poczekaj jeszcze chwilę, to przecie znaczy, że marnotrawnemu synowi będzie odpuszczone, czy nie? Będzie mu odpuszczone jego wszeteczeństwo i jego świński głód. Zmazany będzie i ten policzek — — — Przynieście szatę najprzedniejszą i odziejcie go, i włóżcie pierścień na rękę jego. — — —Były Kettelring wstał, a z oczu jego płynęły łzy. — Mam jednak nadzieję, że ojciec mój żyje i czeka na mnie w starości swojej, aby uczynić ze mnie bogacza i sknerę, jakim był sam. Ty nie wiesz, nie wiesz, czego się wyrzekł syn marnotrawny. Nie wiesz, ile składa w ofierze — — — Ale nie, ona czeka. Ja przyjdę, Mary, ja wrócę, lecz najprzód muszę być w domu.

Odprowadzę was, panie, — rzekł czarny strażnik. — Dokąd idziecie?

— Tam! — wskazał ręką przez całe niebo ku horyzontowi, gdzie zapalały się ciche błyskawice.

* *

Opętała mnie myśl, że nie wracał statkiem. Podróż statkiem jest zbyt długa i uspakajająca i niema w niej takiej gwałtownej spadzistości. Zachodziłem do biur linij lotniczych, aby zapytać, czy istnieje

komunikacja lotnicza z Trinidadem. Zdaje się, że istnieje stała linja lotnicza z Europy do Port Natalu, a stamtąd do Pará, ale nie umieli mi odpowiedzieć jaka jest powietrzna komunikacja z Pará na Trinidad albo na inne miejsce na Antylach.

Wykluczone takie połączenie nie jest, więc przypuszczam na chybił trafił, że Przypadek X wybrał linję najkrótszą i najszybszą. Musiał ją wybrać, ponieważ ostatecznie widzimy go spadającego w płomieniach, iżby mógł dotrzeć do celu drogi swojej jako meteor w pośpiechu najstraszliwszym. Musiał lecieć, opierając spojrzenie o linję horyzontu. Pilot siedzi nieruchomo, jakby spał, och — — — grzmotnąć go pięścią w kark, żeby się zbudził i leciał szybciej!

Przesiada się z maszyny na maszynę, ogłuszony, zgłupiały rykiem motoru, świadom tylko jednej rzeczy: pośpiechu. Na ostatniem lotnisku, niemal na progu stron ojczystych, ta struna rozedrgana szybkością, zacięła się nagle. Niema komunikacji, bo wichura przeszkadza. Szaleje z pianą na ustach. Wy to nazywacie wichurą? Wy psy parszywe, cóż powiedzielibyście dopiero o tamtejszych huraganach? Dobrze więc, weźmie samolot prywatny, choćby to miało kosztować nie wiem ile! I jeszcze raz ta kurczowa, wściekła agonja niecierpliwości, zacięte pięści i zęby zagryzione w koronkową chus-



teczkę i — — — koniec. Wir, płomień, zapach nafty i czarne jezioro nieświadomości, które zamyka się ciemnym gąszczem.

Kochany doktorze, chciałbym pana uczcić należycie i odmalować cię z twemi szerokiemi, statecznemi ramionami, pochylonego nad śmiercią Przypadku X. Widziałem pana przy tem łóżku, a jednak nie umiem wyobrazić sobie dokładnie jak tam było. Niechże mi pan pozwoli, że jeszcze raz oddalę się od uczciwej rzeczywistości. Przy łóżku jego usadowię długowłosego, dość niesympatycznego młodziana. Trzyma pacjenta za przegub ręki i uważnie pochyla nad nim rozwichrzoną czupryną. Piękna pielęgniarka omal oczu nie wypatrzy, spoglądając uparcie na te płowe kudły, albowiem jest w młodym doktorze zakochana po uszy. Ach, zagarnąć ich pełną garść, i targać, przeczesać je palcami delikatnie, jakby tchnieniem — — — Młodzieniec podnosi głowę. — Puls niewyczuwalny. Przysuń, siostrzyczko, parawan...

## XXXVIII

Chirurg doczytał rękopis i mechanicznie go układał, aby ani jedna kartka nie wystawała.

W odwiedziny przyszedł stary internista. —Szkoda — powiada — że kolega nie był na sekcji. Ciekawy przypadek. Ten człowiek wiele przecier-

piał. Trzeba było widzieć jego serce.

— Duże?

— Duże. I wie pan, że już nadeszła wiadomość? Depesza z Paryża. Był to samolot prywatny.

Chirurg podniósł oczy. — No i?

— Nie wiem, jak się nazywa, imię było zniekształcone. Ale został zapisany jako Kubańczyk.